

IWONA BANACH

Seks,

KSIAŻKI I PIENIĄŻKI



KOMEDIA
KRYMINALNA



SKARPA
WAR
SZAW
SKA

IWONA BANACH

Seks.

KSIAŻKI
I PIENIĄŻKI

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Spis treści

Karta redakcyjna

SEKS, KSIĄŻKI I PIENIĄŻKI

Redakcja
Monika Orłowska

Korekta
Bożena Sigismund

Skład i łamanie
Marcin Labus

Projekt okładki
Agnieszka Kielak

Zdjęcie wykorzystane na okładce
©AdobeStock

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023
© Copyright by Iwona Banach, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83291-13-0



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 2519

redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Świat zaczynał się budzić, to znaczy oczywiście nie cały, bo przecież gdzieś na drugiej półkuli właśnie zapadł w sen, ale ten tutejszy ze snu wstawał. Okoliczny. Podzielony na małe, prywatne światy, w których każdy nieco inaczej zaczynał swój dzień. Gdzieś tam bibliotekarka Róża szykowała się do poprowadzenia spotkania autorskiego, jakiego świat jeszcze nie widział (niestety zobaczył), Józeczek, bo tak zawsze go nazywano, szykował się do swojej znienawidzonej pracy w tej samej bibliotece, jego żona Anita już była, co miał jej straszliwie za złe, w warsztacie samochodowym, Karolina właśnie po raz ostatni wchodziła do wanny, bo wierzyła, że będzie to najważniejszy dzień w jej życiu, a Eleonora wyszła przed dom i z przerażeniem odkryła, że jakiś łysy, wytatuowany osiłek podlewa jej ogródek.

Trzytygodniowy pobyt w sanatorium wcale jej nie przypadł do gustu. Żarcie było mdłe, towarzystwo koszmarnie, a zabiegi nieprzyjemne. Wynudziła się, umęczyla, prawie oszalała z bezczynności i oślepla od oglądania starczych wygibasów do chryzantem złocistych, ewentualnie disco polo na wieczorkach tanecznych dla seniorów. To nie było to, co lubiła. Postanowiła, że nigdy więcej nie narazi się na takie katusze.

Stwierdzenie „turnus mija, a ja niczyja” bardzo ją cieszyło, kilku panów chcących zmienić ten stan zostało potraktowanych odmową, kilku ciosem torebką po głowie. Jeden kopniakiem w gołęń.

Poprzedniego dnia Eleonora wróciła nocnym pociągami do domu. Mieszkała w małym domku z ogródkiem, z tym że domek był bliźniakiem. Z jednej strony mieszkała ona, z drugiej...

– Co pan, do cholery, robi?! – wrzasnęła Eleonora, wściekła, choć podlewanie ogródka w zasadzie jej nie przeszkadzało, za to ten, kto to robił, zdecydowanie jej się nie spodobał.

Są ludzie, którzy lubią krasnale ogrodowe, są tacy, co tolerują gipsowe amorki, ale nikt, a już z pewnością nie panie w wieku Eleonory (nieco podeszłym, żeby nie było) nie reaguje radością na widok łysiego, napakowanego faceta z tatuażami we własnym ogródku.

– Eeeee – odpowiedział facet, jakby go zatkało.

– No tak, czego ja się spodziewałam? – westchnęła do siebie Eleonora. – To pewnie nie potrafi mówić! – dodała cicho, ale usłyszała. Na dyskrecji jej specjalnie nie zależało. Lubiła tępić tłumoków.

Oczywiście spodziewała się agresji, ale nie należała do grzecznych starszych pań. W czasach swojej świetności była w stanie doprowadzić do placzu połowę populacji gimnazjum, przstraszyć drugą i zasypać jedynkami dwa dzienniki w dwie minuty, wrzaskiem zapanować nad kilkoma klasami naraz, i to bez interwencji dyrektora.

– „To” ma na imię Makary i podlewa pani ogródek! – warknęła osiłek.

Nawet się nie zawstydzila, tylko prychnęła z pogardą.

– Nie będę płacić! – odwarknęła, spodziewając się niezbyt wyrafinowanej formy wymuszenia.

– Jessu, ależ z pani suka! Rośliny prawie zdechły, susza, nie widzi pani?! A poza tym wynajmuję ten dom, więc chcę, żeby było w miarę ładnie.

I tak Eleonora odkryła, że będzie dzielić bliźniaczy dom z Makarym, który nie zapowiadał jej się na specjalnie dobrego sąsiada.

Zresztą dom domem, każde miało oddzielne wejście, ale ściana, główna ściana, ta wspólna dla obojga, do pancernych nie należała i wszystko było przez nią słychać.

Eleonora już widziała oczyma duszy siebie siedzącą nocami z młotkiem w ręku, wsłuchaną wbrew woli w wrzaski, pijatyki, mordobicia i jakiś deathmetalowy jazgot, który takie osobniki nazywają muzyką.

Zakup tego domku był genialnym pomysłem jej koleżanki i sprawdzał się przez lata, dopóki koleżanka nie postanowiła się wynieść. Domek przeszedł jakimś cudem w ręce jej siostrzeńca, a ten zaczął

go wynajmować naprawdę komu popadnie.

Spokój, ciszę i przespane noce szlag trafił najpierw za przyczyną starszej pani oglądającej tureckie seriale na full, dwadzieścia cztery godziny na dobę, potem przyszyły okropne czasy dwóch dziewczyn, które uprawiały najstarszy zawód świata, a ściany drżały od jęków i westchnień ich klientów, następnie zamieszkała tam jakaś poetka, która po nocach słuchała ambientu, a od rana waliła w klawisze jak oszalała. A teraz to.

– Tylko mi po nocach Metalliki nie puszczaj, bo skopię ci dupę przy najbliższej okazji! – oświadczyła grobowym głosem, żeby wziął to ostrzeżenie na poważnie.

Skopanie mu dupy mogło się wiązać z połamaniem sobie nóg, ale Eleonora miała specyficzne podejście do życia, ona nazywała je walecznym, wszyscy inni samobójczym.

– Pewnie, jasne, może Zenka każe mi pani słuchać, co?! – odgryzł się osilek, nie za bardzo nawet speszony, nie wyglądał na kogoś, kto potrafi się speszzyć.

– O ty gnoju! – wrzasnęła Eleonora. Oczywiście ona nie była owcą ani owieczką i też potrafiła dać sąsiadom w kość za pomocą muzyki, ale nigdy nie robiła tego za pomocą Zenka. Wolala *Marsz żalobny* albo *Etiudę rewolucyjną* Chopina, dlatego teraz zdenerwowała się naprawdę bardzo. – Ja? Zenka? Ja?! Jak śmiesz, troglodyto?! Ty mało tatuowana! Ty...

Sytuacja stawała się zdecydowanie nerwowa. Przewidywalna długość życia Eleonory zaczęła gwałtownie się kurczyć i możliwe, że skurczyłaby się do zera, gdyby nie to, że nagle ktoś zawołał z daleka podpitym głosem:

– Makaron, Makaron, ty ciulu! Jak cię dopadnę, to tak cię wyściskam, że płuca wyrzygasz, ty... Ty chamie bydlaty!

Chłopak skamieniał.

Eleonora osłupiała. Przekaz był dziwny, bo pominąwszy wyzwiska, sugerował uczucia. I to wielkie.

Głos dochodził od strony tej części ogródka, która należała do osilka, a widok jego miny sprawił, że Eleonora zdębiała jeszcze bardziej. Osilek był przerażony. Prawdziwie i bez wątpienia, a jego oczy przybrały wyraz wręcz błagalny.

– Jezu, tylko nie ona! – jęknął. – Muszę się gdzieś schować – szepnął prosząco. – Muszę, niech mnie pani ratuje przed tą wariatką!

– Cięża i te klimaty? – zapytała z wrednym błyskiem w oku, już sobie układając w myślach, co też tak mogło go przerazić, ale chłopak pokręcił głową.

– Nie, nic z tych rzeczy, tylko wariatka. Niech mnie pani ratuje, błagam, do cholery! Do siebie nie mogę. Jest za blisko! Jeszcze tyłem wlezie... Zostawiłem otwarte drzwi tarasowe.

To Eleonorę trochę uspokoiło, choć oczywiście mógł kłamać. I nie chodziło też o solidarność jajników czy jej brak, po prostu w tym momencie uznała, że właściwie dlaczego nie pomóc?

– Leć do mnie, drzwi są otwarte. – Kiwnęła podbródkiem w kierunku swojej połowy bliźniaka.

Złapała wąż ogrodowy i jak gdyby nigdy nic kontynuowała podlewanie ogródka. Wpuszczenie obcego chłopaka do domu i zostawienie go bez nadzoru nie było najlepszym pomysłem świata, ale czasami lubiła zaryzykować. Ciekawa była, czy to wszystko jest ukartowane i osilek ją okradnie, czy może rzeczywiście się przestraszył.

Eleonora była w pewnym sensie paranoiczką. Doskonale pasował do niej stary kawał o sowieckich robotnikach w więzieniu. Jeden przyszedł do pracy o pięć minut za wcześniej i oskarżyli go o szpiegostwo. Drugi spóźnił się o pięć minut i oskarżyli go o sabotaż, trzeci był na czas i oskarżyli go o kupienie zegarka za granicą. I ona tak właśnie działała, w każdym aspekcie każdego wydarzenia potrafiła znaleźć jakiś problem. Nawet w naleśnikach. Albo były za słodkie, albo za tłuste, albo za duże, a jak nic nie pasowało, to na pewno miały cholesterol.

Teraz zobaczyła, jak zza domu wychodzi nieduża, też dość wytatuowana kobieta. Może byłaby niebrzydka, gdyby była trochę trzeźwiejsza i uczesana.

– Makaron! – wrzasnęła. – Gdzie jesteś, ty słodki bydlaku?! Maaakaaaroon!

– Nie ma go – odpowiedziała Eleonora, zastanawiając się, jakim cudem te tatuowane cudaki wokół niej zaczynają się tak mnożyć. – Czego pani od niego chce?!

– A tobie co do tego, stara raszpło? On jest mój! – Dziewczyna wyraźnie zaznaczyła teren łowów i nie zamierzała się dzielić nawet z kimś, kto mógłby być jego matką albo ciotką. Makarona oczywiście, a nie terenu łowów, choć zwierzyzną łowną jak najbardziej był on.

– A w łeb chcesz? – odparowała szybko Eleonora, wchodząc na ten jeden, jedyny poziom porozumienia, który był w stanie zadziałać. I zadziałał, mocno podkreślony ostrym strumieniem wody z węży ogrodowego skierowanym pod nogi przybyłej.

– Bo ja go kocham! – jęknęła płacząco kobieta. – A on mnie nie chce!

– A, takie buty – mruknęła Eleonora do siebie, kombinując, jak by sprawę załatwić raz a dobrze. Nie chciała takich romantycznych wizyt pod oknami nawet za dnia, a co dopiero nocą, która przecież rozrzewnia najbardziej.

Przez chwilę zastanawiała się, co powiedzieć. Spojrzała na ogródek, na krzaki, na jakieś latające owady i nagle już wiedziała. Kleszcze! Pomyślała, po czym wypaliła:

– Babeszjozy dostał! U lekarzy jest. Musi się leczyć.

– A ta ona babecostam to co? – Kobieta aż czkawki dostała z wrażenia. Choć może też i od alkoholu.

– No choroba, nie słyszysz, co mówię? Zakaźna przecież!

– Ale na co? Znaczy na co ona działa, ta choroba? Na baby? – Wytatuowana milczenie Eleonory wzięła za potwierdzenie. – O ja pierdołę. To ja spadam. Żadnych takich nie chce.

– Znaczy, że już go nie kochasz? – zaciekawila się Eleonora, spodziewając się jakichś wykrętów, że owszem, ale... a jednak nie. Nieznajoma była do bólu szczerą.

– No coś pani? Kiedy on taki chory, to nawet wypić nie będzie mógł, a ja zarazić się nie zamierzam, bo to by dziwnie było tak jak chłop na baby latać, nie?

I tak wielką miłość do Makarona szlag trafił. Pewnie chwilowo, ale jednak trafił.

Kobieta zniknęła za pobliskimi drzewami przy jednym z dalszych bliźniaków, których przy tej ulicy stało kilka. Eleonora poczekała jeszcze chwilę.

– Ej ty, Makaron, wylaż! Podobno ogródek miałeś podlewać, co tam tak siedzisz jak jakiś debil?! – zawołała w stronę domu, chcąc zobaczyć, z czym chłopak będzie od niej wychodził. Była pewna, że ją okradnie.

Wyszedł, stanął przed drzwiami. Nie miał przy sobie telewizora.

– Ale pani to jest pojebana! – oświadczył z zachwytem. – Niewykluczone, że będę panią wielbił do końca życia.

Józeczek pracował w bibliotece jako konserwator. Całe szczęście nie jako bibliotekarz, ale jednak w bibliotece i nienawdził tego z całego serca. To go definiowało. Dodatkowo miał wredne, bo książkowe, nazwisko. Józef Mickiewicz, dobrze, że ojciec na Adama się nie zgodził. I tak było z tym sporo kłopotu, bo jak tylko ktoś do niego przyszedł, to była opera.

– Mickiewiczza szukam – mówił ten i ów, a bibliotekarka natychmiast na to, że w głębi na czwartej półce leży. I wszyscy się z niego nabijali, że on w tej pracy tak sobie leży na półce, może nawet odłogiem, i pewnie dlatego tak marnie mu płacą. Kiedy tylko ktoś go zapytał, gdzie pracuje, Józeczek dostawał ataku czkawki. Bo jak to? On, mechanik z zawodu, w bibliotece? Mówi się niby praca jak praca, dobrze, że płacą, ale on po prostu jej nienawdził. Biblioteki też nienawdził, a ludzi, których tam spotykał, jeszcze bardziej; sprawę pogarszało dodatkowo to, że jego własna żona pracowała w warsztacie samochodowym. To była wielka niesprawiedliwość dziejowa. I małżeńska jak najbardziej też.

– Panie Józeczku... – Bibliotekarka sprowadziła go do piwnicy i pokazała składowisko jakichś śmieci. – Te parawany na górę i z grubsza odkurzyć – rozkazała. – Mamy dziś spotkanie autorskie, będą potrzebne.

Spotkań autorskich Józeczek też nienawidził, jako że zaczynały się późno i trwały w nieskończoność, a on był na nich konieczny, bo a to jakieś rzutniki, a to jakieś inne gówna, nagłośnienie, w każdym razie siedział tam do nocy, co mu się nie podobało.

– A po co komu parawany? Się rozbierać będzie czy co, ta, znaczy ten... no, autor?

– Potrzebne, trzeba wziąć trzy i ustawić tak, żeby były trzy oddzielne jakby klatki, a co więcej, nie powiem, bo to będzie niespodzianka.

Wziął drewniane konstrukcje i wytaszczył po kolei na górę do sali, w której miało się odbyć spotkanie.

– Normalnie jak toi-toie wyglądają – oświadczył, wzruszając ramionami, ale rzeczywiście trochę to wyglądało dziwnie, jakby trzy kabiny, tyle że otwarte od tyłu.

Odkurzenie całkiem dobrze się udało, bo ktoś owinął te parawany folią i dzięki temu prezentowały się nie najgorzej. Zostały w bibliotece po tym, jak robiono tu jakąś wystawę, i przez lata do niczego nikomu nie były potrzebne.

Teraz się przydały, ale tylko dlatego, że to jedno spotkanie autorskie miało być zupełnie inne niż wszystkie.

Tajemnicze, nieco szalone, wzbudzające wielkie emocje i zwieńczone efektownym trickiem.

– Cholerna idiotka! – krzyknęła Róża, wychodząc spomiędzy pótek z książką w rękę. – Znowu? Naprawdę? Czy nikt nie uspokoi tej baby?!

– A kto ma ją uspokoić? Przecież ona jest walnięta. – Jej koleżanka pokręciła głową z dezaprobatą. – Ta sama? Pokaż?

Pytanie mogło dotyczyć książki albo autorki, tu i teraz mogło też dotyczyć czytelniczki, bo dzięki plastikowym kartom i czytnikom oraz kodom w książkach bardzo szybko było wiadomo, kto dany egzemplarz wypożyczył jako ostatni.

Róża podała koleżance książkę, w której tkwił nóż. Nie jako zakładka pomiędzy stronicami, a przecież i to byłoby paskudne, on został wbity w okładkę, a jego ostrze przebiło wszystkie strony, bo czubek odrobinę wyłaził z tyłu.

– Agresja – westchnęła koleżanka, znowu kręcąc głową.

– Co ty! Premedytacja! Ona musiała go wbijać młotkiem specjalnie, przecież inaczej by nie dała rady, papier jest bardzo trwały w takim skupisku. Położyła na czymś, może na desce, i tłukła w nóż, o patrz.

Rzeczywiście na trzonku widać było rysy i uszkodzenia, a na tylnej okładce kilka tłustych plam.

– I po co ona to wypożycza? Tylko po to, żeby niszczyć?

Tu niestety nie było pewności, bo czytelniczka, owszem, książki wypożyczała, ale nikt jej nie przyłapał na podkładaniu tych przebitych nożami, a ona twierdziła, że książki ktoś jej ukradł. Pewnie policja jakoś by sprawę rozstrzygnęła, tyle że nie chcieli jej zawiadomić.

Kobieta wypożyczająca romanse erotyczne tylko po to, żeby je dźgać nożem? Z pewnością zainteresowałyby to prasę, nawet ogólnopolską, ale przyniosłoby wstyd i jej samej, i bibliotece, i chyba nawet miastu.

Karolina, Marietta i Kaśka szykowały się na spotkanie autorskie. Wszystkie trzy były autorką. Właśnie tak, autorką, choć także i autorkami. Po prostu były trzema kobietami, które napisały jedną książkę, a ta książka zdobyła całkiem sporą popularność.

To je bardzo zmartwiło.

Choć wydaje się to niezbyt logiczne, to jednak logiczne jest jak najbardziej. Książka sprzedawała się w tysiącach egzemplarzy i początkowo naprawdę były tym zachwycone, a potem jakby dotarły do nich związane z tym pewne kłopoty.

O ile pieniądze są jakoś tam wymierne, choć pracy przy książce i wkładu czasu czy talentu za bardzo wymierzyć się nie da, to jednak podział pieniędzy jest dość prosty. Jedna trzecia to jedna trzecia, i tyle. Owszem, powstają później niesnaski, że ta napisała kilka lepszych scen, ta wymyśliła genialnego bohatera, a tamta tylko dialogi, ale to nie był największy problem.

O ile bowiem pieniądze podzielić się da, to sławy niestety nie można.

A każda z nich sławy chciała. Zresztą, kto by nie chciał?!

Początkowo pisały pod pseudonimem i wszystko było jak najbardziej w porządku. Karolina była świetna w scenach seksu, Marietta odwalala wielce zabawne dialogi, a Kaśka szalała z akcją, bo, nie czarujemy się, nawet w romansie erotycznym jakaś akcja jest konieczna, niestety wkrótce poszło o to, że przecież są sławne, a tak jakby nie były.

Mogłyby na bazie pierwszej publikacji pójść nieco dalej i na przykład wydawać swoje własne odrębne powieści, ale były właściwie całkowicie anonimowe.

To nie sprzyja sprzedaży.

Pisać kolejnych książek pod wspólnym pseudonimem już nie chciały, bo jakoś to, co na początku między nimi zaiskrzyło, chyba się wypaliło na popiół i teraz zdecydowanie trudno im się współpracowało. Dopóki książka była marzeniem, zabawą, ewentualnie szalonym projektem, było dobrze, kiedy stała się faktem, nagle je poróżniła.

Dlatego teraz postanowiły się ujawnić.

Trochę to było skomplikowane, bo każda jakoś, gdzieś pracowała. W końcu musiały jeść i do czasu, aż zostaną poczytnymi autorkami bestsellerów, z czegoś płacić za prąd, gaz i wege burgery, obrzydliwe, ale wege. Karolina kelnerowała w wegańskiej knajpie, którą potem zlikwidowano, teraz szukała pracy i to właśnie trochę komplikowało sprawę. Seks jest poniekąd jak tatuaż, nie każdy pracodawca takiego tatuowanego pracownika chce. Marietta i Kaśka pracowały jako pomoce przedszkolne, co też trochę paskudziło sprawę, bo zbitka myślowa „seks i dzieci” (i nie chodzi o seks idący w kierunku prokreacji, skoro dzieci już na świat przyszły) nie każdemu się podoba, a często idzie jakoś w parze z myśleniem o zboczeniach, demoralizowaniu nieletnich, przynoszeniu wstydu przedszkolu Wesołe Małpiątka i polowaniach na mężów naiwnych i występnych. Większość pracownic mężów miała, zresztą dyrektorka też. A ci występni i naiwni mężowie tylko czekali, żeby załapać się na wdzięki tej czy innej dziewczyny, nawet niekoniecznie pięknej, a raczej wyzwolonej, wiadomo. Na pracownice przedszkoli czy knajp nie lecieli, bo co to za atrakcja, ale na autorki książek erotycznych? Bezwstydnie piszące o seksie i nazywające rzeczy po imieniu, takie od gorejących buław, przesywających mieczy rozpusty i szarów pożądania? Nawet bardzo.

W każdym razie takie bywały oczekiwania żon. Co mogło nieco przeszkadzać.

No i dzieci. Nikt oczywiście nie zabroni pracować w przedszkolu autorom książek. Autor kryminałów, w których ściany lepią się od bebeczków, a sufity od wydłubanych oczu, nikomu nie wadzi, autorka thrillerów z psychopatycznymi lalkami Barbie jest w porządku, taki, co pisze horrory, w których zmutowany miś koala odgryza głowy przechodniom, może być, ale seks? Seks to przecież zboczenie!

Dlatego ten erotycznoautorski coming out był czymś ryzykownym, ale w dużej mierze koniecznym, bo gdyby wszystko poszło dobrze, to już za kilka lat, a może nawet tylko miesięcy, mogłyby przestać przejmować się pomysłami pracodawców i zacząć żyć za zarobione na pisaniu powieści pieniądze. Taką miały nadzieję. Była równie realistyczna jak opisy seksualnych wygibasów w ich książkach, ale ludzie lubią mieć nadzieję.

– Ja jestem pojebana? Ja?! – wrzasnęła Eleonora. – Ja sobie dupy w ciapki nie zafundowałam, a ty cały jesteś w jakieś bohomyzy!

Osilek popatrzył na nią i podszedł do swoich drzewi.

– Idzie pani, kawy zrobię – zaproponował wizytę u siebie i nie czekając na odpowiedź, ruszył do wejścia.

– Jasne, jeszcze mnie zgwałcisz albo co? – Eleonora jak zwykle szukała pretekstu do awantury, ale chłopak już wszedł do środka.

Poszła za nim, z czystej ciekawości.

– Nikogo nie gwałcę, a próchna to już zupełnie – odpowiedział, kiedy podążała za nim do salonu.

– O ty, gnoju! O... Książki masz? – zdziwiła się niebotycznie i gładko przeszła nad próchnem do porządku dziennego. – I jeszcze mi powiesz, że umiesz czytać?!

– Nie, no co pani! Na kilogramy kupowałem – odburknął wściekły. – Panią to ktoś powinien przetrzącić – dodał z krzywą miną – ale przykro mi bardzo, umiem czytać. Jakoś tak się złożyło, że umiem i nawet lubię.

Dom osiłka był dokładnie taki sam jak dom Eleonory, tylko jakby odwrotny. Jedna sypialnia, jeden spory salon, kuchnia, z tyłu taras i to wszystko. Mały, biały, przeznaczony zdecydowanie dla osób nieposiadających rodzin, bez strychu, a nawet piwnicy. Doskonała opcja dla emerytów, ale przecież nie tylko.

Miasto wybudowało ich kilka przy tej jednej ulicy. Miały docelowo być przeznaczone dla samotnych emerytów, ale kiedy już domki sprzedano, mógł w nich zamieszkać, kto chciał.

Usiedli przy stoliku, na którym chłopak postawił dwie musztardówki z kawą. Nie były to prawdziwe musztardówki, raczej jakieś nowomodne szklanki z jednego ze sklepów z gadżetami, ale robiły niezbyt miłe wrażenie. W ogóle mieszkanie na zamożne nie wyglądało, choć, co wydało się Eleonorze dziwne, było w nim czysto.

– Dzięki za splawienie Pijawki, jest normalnie obrzydliwie namolna. – Chłopak wyraził swoje podziękowanie w bardzo skrótowej formie i oszczędnym stylu.

– Pijawka?

– Taką ma ksywkę, bo jak się przyssie, to odczepić się nie chce, taka jej uroda.

– Uroda? To coś było brzydkie i pijane.

– No cóż, takie klimaty... – Osilek wzruszył ramionami. – Ale dobrze, że ją pani przegoniła.

– Czy ona aby nie była z tobą w ciąży? – Kobieta niby nie chciała się wtrącać, ale pomagać w ukrywaniu się przyszłemu alimenciarzowi nie zamierzała.

Chłopak aż się zakrztusił i w akcie desperackiej próby przywrócenia sobie czynności oddechowych opluł ścianę.

– Bo ona zdalna? – wycharczał po chwili. – Nie, zresztą nawet jej nie przeflancowałem, chyba bym na głowę musiał upaść.

– „Przeflancowałem”? A co to, do cholery, ma znaczyć, co to ona? Pomidor czy sałata?

– Właśnie, sałata. Bo jak ktoś ma kasę, to się Pijawka uczepli, a jak nie ma, to odpuszcza. Niech zgadnę, nauczycielką pani była?

– Ty mi tu nie podskakuj, byłam nie byłam. Ja się przed tobą spowiadać nie będę – odburknęła opryskliwie, choć uwaga chłopaka sprawiła jej przyjemność. – Idę stąd, bo tu tylko myszy brakuje – stwierdziła, już chyba jedynie po to, żeby chłopakowi zrobić przykrość.

– A myszki mam, pani patrzy, znaczą szcurki, ale dla pani to pewnie prawie to samo. – Odslonił terrarium, w którym siedziały dwa całkiem spore gryzonie. – Ładne, nie?

– Fuuuu! – wrzasnęła i wstała. – Takie świństwo w domu trzymać? No ja cię proszę... To zboczenie! I co z tą sałatą, na bogacza to ty mi nie wyglądasz, więc skąd takie zainteresowanie?

– Mieszkanie – powiedział, wzruszając ramionami. – No, pod mostem nie koczuję, znaczy muszę jakieś pieniądze mieć, nie?

Zupełnie inne pojęcie o zboczeniach miała Marianna, która właśnie położyła na desce kolejną książkę i zaczęła za pomocą tłuczka do mięsa wbijać w nią nóż. Umieściła go dokładnie w tym miejscu okładki, gdzie znajdowały się bujne, ale dość jednak osłonięte damskie piersi, chętnie wbiłaby go w zupełnie inne miejsce – tam gdzie się kończył męski tors, ale mężczyzna na okładce nie miał ani głowy, ani czego innego poza tym torsem i jedną ręką, tak więc wbicie mu noża w przyrodzenie było niestety niemożliwe.

Marianna facetów nienawidziła.

Tak samo zresztą jak kobiet, seksu i wszystkiego, co się z nim łączyło. Dlatego postanowiła wziąć się do naprawiania świata, ale zamiast go zacząć naprawiać od siebie i może pójść na jakąś terapię albo do psychiatry, zaczęła od biblioteki.

Wcześniej miała w planach dziurawienie prezerwatyw, ale wstydziła się nawet koło nich przechodzić, poza tym nie chodziło o dzieci, prokreację, płodność czy co tam innego, chodziło o rozbuchane książkami potrzeby seksualne.

I to wcale nie jej własne.

Wszystkie trzy uważały się już w pewnym sensie za pisarki; na podstawie recenzji pierwszej książki wyczuwały w sobie spore możliwości w tym zakresie.

Spotkały się na Wattpadzie i bardzo szybko doszły do wniosku, że gdyby skleić to, co pisały (każda oddzielnie), to coś z tego można by zrobić i jak najbardziej puścić w świat wydawniczy.

Wybrały sobie zagraniczny pseudonim, łatwy do zapamiętania, ale też romantyczny i elegancki, i wysłały książkę.

No i się zaczęło. Znalazło się wydawnictwo. Książka pojawiła się na półkach księgarskich.

Było cudnie, aż do pewnego momentu.

Wszystkie trzy szalały z zachwytu i niemocy, bo nie mogły chwalić się własną chwałą, a bardzo chciały.

Każda chciała zaciągnąć do Empiku znajomych i rodzinę i wykrzyzczyć im swoją radość: „Patrzcie, moja książka!”, ale nie mogły, bo po pierwsze pseudonim to jednak nie własne nazwisko, po drugie było ich trzy.

I tak się kotłowały w swojej bezsilności, coraz bardziej wrogo do siebie podchodząc.

W końcu doszło do incydentu, który skłócił je jeszcze bardziej.

Na Facebooku jedna z nich wstawiła swoje zdjęcie z ich książką i podpisem: „Nie powiem, kto się kryje pod tym pseudonimem”.

Miała prawo, bo nie powiedziała. No i to nawet nie było kłamstwo.

I niby było w porządku poza jednym. Połowa jej znajomych zaczęła ją podejrzewać o to, że właśnie ona jest słynną w tym momencie autorką.

– Patrz, ona to zrobiła specjalnie! – stwierdziła jedna ze współauterek.

– Suka! – odpowiedziała druga.

Trzeciej nikt słuchać nie zamierzał.

A ona nie dementowała. Miała niby prawo, przecież to w pewnym sensie było prawdą, ale nie całą i nie było w porządku.

Bo jak to?

Ona kradła sławę dla siebie. Całą, a nie przynależną jej jedną trzecią...

Wszystkie zaczęły się zastanawiać, co zrobić i jak to rozsądnie podzielić. Można było oczywiście pstryknąć zdjęcie i ogłosić Facebookowi, bo Facebook to przecież świat, że oto autorkami są wszystkie trzy, ale wydawca stwierdził, że można to rozegrać o wiele bardziej wystrzałowo.

Z korzyścią dla promocji.

No i miał rację.

Marianna z trudem przebijała się przez książkę i pożałowała, że zamiast noża nie wzięła tym razem taska, ale i tak to już ją za dużo kosztowało. Do zniszczeń się nie przyznawała, ale kary musiała płacić. Plus do tego noże, te lepsze są drogie, te bazarowe przebijają się przez dwadzieścia, trzydzieści stron i się łamią, dziś postanowiła na dodatek pójść do biblioteki na spotkanie autorskie, a więc musiała ja-koś wyglądać.

Mocno walnęła tłuczkiem w trzonek, ten zadrżał, trochę się zsunął i sama sobie przywalila w kciuk.

– Szlag! – jęknęła, ale po chwili powróciła do pracy.

To, co robiła, uważała za swoją misję.

– Seks uprawia się w łóżku, a nie w książkach – tłumaczyła sobie samej, żeby się ugruntować w tejże misji – a pornografia powinna być zakazana!

Gdyby mogła, zakazałaby wszystkiego, nawet sugestynnych reklam, billboardów, zbyt odsłoniętych zdjęć w gazetach, ale nie mogła. Na nic nie miała wpływu, tylko na książkę.

Marianna nie była starą dewotką, nic z tych rzeczy, nie podchodziła do tego w sposób duchowy czy związany z religią, nie, ona miała swoje własne powody, żeby tak postępować, i były one naprawdę ważne.

W każdym razie dla niej.

Zresztą w mieście nie tylko ona prezentowała takie podejście do tych spraw. Mieszkało tu bardzo wiele starszych pań, które w życiu swoje już przeszły, wybawiły się na całego, a teraz, kiedy tych zabaw im się odechciało, walczyły o to, żeby ich całkowicie zakazać.

Bo skoro ich seks już nie interesuje, to dlaczego miałby interesować innych?!

Starsze panie zacięcie wojowały o to, żeby innym w życiu nie było zbyt przyjemnie, skoro im samym już nie jest.

Oczywiście najbardziej dotyczyło to seksu, ale przecież nie tylko. Wyciągały takie argumenty jak przywoitość, skromność, cnota oraz zakaz hałasowania po dwudziestej nawet we własnych łóżkach, bo ludzie chcą spać.

I zakaz grillowania w ogródkach, bo szkodzi na wątrobę, oraz zakaz spożywania alkoholu, bo one nie piją, to inni też nie powinni.

Marianna bardzo do nich pasowała, z jednym wyjątkiem.

Nie była starszą panią.

Ujawnienie się autorek, o którym oczywiście nikt poza organizatorami nie wiedział, miało nastąpić tego dnia o godzinie siedemnastej w sali biblioteki miejskiej w Zastroniu i miało być wielkim wydarzeniem.

Oczywiście miasto jak miasto, wcale nie było wielkie, a to samo wydarzenie, gdyby miało miejsce w Warszawie, dałoby o wiele lepszy efekt, ponieważ jednak wszystkie tu mieszkały i prawdę powiedziawszy, gdzieś trzeba było zacząć, więc dlaczego nie tutaj?

No i Warszawa była zdecydowanie nieosiągalna.

Liczyły, że potem, już jako nieco „odsłonięte autorki”, pokażą się w innych bibliotekach pod własnymi nazwiskami i wreszcie same zaczną coś wydawać, to znaczy każda z nich z osobna.

I nie będzie, że jedna sceny, druga dialogi, a trzecia akcję – każda będzie tworzyć pod własnym nazwiskiem, pisać wszystko i nagle każdej wydawało się, że nie tylko potrafiły to zrobić, ale że byłyby w tym o wiele lepsza od innych, bo przecież to właśnie ona, jej kawałki ciągnęły całą książkę.

I wcale nie chodziło o erotyki czy romanse, jedna miała ochotę na obyczajówkę, inna na thriller, a jeszcze inna na kryminał, może nawet komediowy, tyle że jakoś nie miały takiego przebiecia, na jakie liczyły. Owszem, gdyby wydały romans czy kryminał razem, znowu razem, jako Lamila Luxia, to jakoś by się to może i udało, ale one już nie chciały.

Wszystkie niewymierne sprawy dotyczące sławy, dobrych czy nawet złych recenzji naprawdę je rozdzieliły.

Bo jak w recenzji było, że książka świetna, ale dialogi drętwe, to obrywała Marietta, ale tamte puchły z dumy; jak ktoś napisał, że sceny seksu jak z pornusa, to znowu obrywała Karolina, a inne się cieszyły i tak dalej.

Bo takie zdanie, na przykład, że książka świetna, ale akcja ciągnie się jak flaki z olejem, dawało spory powód do awantury.

Autorom trudno znieść krytykę, kiedy cała książka jest ich własnym dziełem, ale w takim pisaniu na trzy głosy jest jeszcze gorzej, bo nagle okazuje się, że nie wiadomo, kto jest autorem... sukcesu.

Tak więc spotkanie w bibliotece miało jakoś je uwolnić od tej nagle ciężącej im anonimowości, której początkowo chciały.

Miało to być trochę jak randka w ciemno z publicznością – najpierw na scenie we trzy zasłonięte parawanami miały odpowiadać na zadawane im pytania, każda jakby ze swojej dziedziny albo razem, zależnie od tematu, a potem po odsłonięciu parawanów, kiedy zza nich wyskoczą jak z tortu na męskich urodzinach, okaże się, że są trzy i że są tutejsze, i że prawie każdy je jakoś zna, ze szkoły, sklepu czy, powiedzmy, spacerów po parku, nastąpi coś w rodzaju zakończenia i będzie to początek nowej ery, bo zrobione przez profesjonalnego fotografa zdjęcia wstawią na swoich profilach i jakoś to zaczną się kręcić.

Będą wreszcie kimś, każda z imieniem, nazwiskiem i własną twarzą. Będą mogły się chwalić i promować.

Pisanie książek pod pseudonimem nie zawsze wszystkim się udaje, bo ludzie z różnych przyczyn pragną anonimowości, jedna autorka nie chciała przekazywać mężowi dochodów, inna lubiła pisać o seksie, ale się wstydziła do tego przyznać, jeszcze inna była nauczycielką i bała się reakcji uczniów, ale autorzy niekiedy pragną też nie tylko pieniędzy, ale i sławy. Takie pisanie jest możliwe, czasami się nawet sprawdza, choć wymaga samozaparcia.

No i jak podzielić pseudonim na trzy?

– O widzisz, co tu piszą? Na LC: „Ta autorka to kretynka, dialogi do bani” i o tu: „Może jeszcze byłoby to jakie takie, gdyby nie te drętwe teksty w dialogach” – przeczytała Karolina i z niechęcią popatrzyła na Mariettę.

– Ta, jasne – odburknęła obwiniona. – A to? „Sceny seksu są jak z kulawego pornosa” – wyczytała z kolejnej recenzji. – I co ty na to?

Karolina, właśnie za sceny seksu odpowiedzialna, aż zapłonęła wściekłością.

– To nie moja wina, patrzcie tu: „Akcja kuleje na wszystkich frontach, miało być romantycznie, a jest apatycznie”. – Tym razem obie spojrzały na Kaśkę.

Pewnie by się pobily w imię szeroko pojętego propagowania dobrej literatury, gdyby nie mające się odbyć za kilka godzin spotkanie autorskie, na którym siniaki nie wyglądałyby najlepiej.

Uważały, że będą mogły pobić się później. Czasami jednak tak jest, że niektórych rzeczy nie powinno się odkładać.

Istnieją takie internetowe mądrości w stylu Coelho: „Chwytaj okazję, więcej się nie powtórzy” albo „Czas na nikogo nie czeka”, i to właśnie był ten moment, ale nie mogły przecież tego wiedzieć.

Jak wszyscy początkujący autorzy i autorki oczywiście, siedziały nad laptopami, wyluskiwały z sieci recenzje swojej książki i brały sobie te recenzje bardzo do swoich pisarskich serc. Miło nie było.

Nikt nie kocha złych recenzji, nawet jeżeli chodzi tylko o dialogi.

Bały się, że przykre słowa tego czy innego czytelnika zakończą ich pisarską karierę, jak tylko jakiś wydawca je przeczyta, bo skoro czytelnik tak pisze... No przecież czytelnik nasz pan, a na niektórych portalach to pan wielce okrutny.

– Mówiłam, że lepiej bym to napisała – westchnęła Karolina. – Te dialogi są słabe – jęknęła.

– Taaaa, a w twoich scenach to tylko buławy, berła i miecze namiętności, lepiej byś się batalistyką zajęła, a nie seksem – odburknęła wściekle obrażona Marietta.

– Odwal się od moich buław! Jak miałam pisać? Przyrodzenie? Penis? A co w tym romantycznego?

– Miało być erotycznie, od romantyki to jest Kaśka, a i tak akcja nie powala. Co chwila coś jedzą, a jedyne zwrot akcji to zamiana makreli na łososia...

Tak to już jest, że kiedy jest dobrze, to jest dobrze, a kiedy zaczyna być źle, to nawet trawa rośnie krzywo.

– Zostawmy to. Załatwimy to po spotkaniu – oświadczyła Karolina. – Teraz nie ma sensu.

Wszystkie poszły się szykować, każda do swojego domu, ale umówiły się za dwie godziny przed wejściem do biblioteki.

– Mickiewicza szukam – powiedział wchodzący do biblioteki mężczyzna w usmarowanym kombinezonie.

– W głębi na czwartej pół... – zaczęła bibliotekarka, działała jak automat, bo był to okres, kiedy wielu uczniów o Mickiewicza pytało.

– Nie tego! – westchnął mężczyzna i pokazał trzymany w ręku pojemnik. – Obiad Józeczkowi przyniosłem. Żona przysłała, bo on dziś długo siedzi.

Józeczek nie siedział. Biegał, dzwigał, ustawiał i kłął. Trzeba było krzesła ponosić, stół wynieść, dobre poustawiać parawany, żeby się nie chwiały, a także umieścić za każdym z nich krzesło dla autorki.

No i kwiaty, nagłośnienie, kotary na okna, żeby zrobić ładny półmrok, oraz puścić slajdy z lekko erotycznych zdjęć na ścianach.

Obiad musiał poczekać.

No i Józeczek był wściekły. Żona pracowała w warsztacie samochodowym jako księgowa i o piętnastej mogła wrócić do domu. Nie dość, że miała świetną, męską, dobrze płatną pracę, to jeszcze nikt jej nie wtykał palcami ani nie ośmieszał, a on jak ten debil za grosze tyrał do nocy w bibliotece.

Bo on pracę miał babską.

Dlatego, na złość żonie, postanowił obiadu nie zjeść.

Nie, nie był jej wdzięczny, nie musiał, bo to był jej obowiązek, no i tam była jakaś zielenina, to znaczy czerwienina raczej, bo buraczki, ale liczyło się za sałatkę, więc jednak zielenina, choć czerwona. A tyle razy jej mówił, ale nie, bo to zdrowe... Gównno nie zdrowe! To nie mogła drugiego kotleta dorzucić? Też byłby zdrowy, i to bardziej! Musiała dawać to świństwo?

Rozżalony, zostawił pakunek za sceną i wrócił do pracy.

Eleonora, wychodząc, podeszła do ściany i rzuciła okiem na stojące na półce drewnianej biblioteczki książki. Były wyraźnie zaczytane.

– Komiksy? – zapytała, licząc na jakąś reakcję z jego strony; wyczuła, że jej nie zaatakują, nie pobije, nie zwyzywa, to mogła sobie pozwolić na złośliwość, którą uwielbiała stosować.

„Ludzie inteligentni są złośliwi” głosiła jedna z mądrości internetowych i ona się tego trzymała.

Ta maksyma nie dodawała oczywiście, jak długo żyją tacy „inteligentni” ludzie ani czy zdrutowana szczeka szybko się goi, ale Eleonora aż tak daleko nie wybiegała w przyszłość.

– Jasne – odpowiedział Makaron. – Dostojewski doskonale się nadaje na komiks, szczególnie *Zbrodnia i kara*.

Eleonora pokręciła głową z niedowierzaniem.

– *Zbrodnia Ikara*? – rzuciła, ale się zorientował. W szkole dzieciaki zawsze uważały, że chodzi o zbrodnię popełnioną przez Ikara. Myślała, że on też taki niedouczony.

– Nie, *Zbrodnia i kara*, niech pani przestanie, bo się wkurzę. Czy pani musi być taka wredna?

– Jasne, że muszę! Przecież specjalnie dla ciebie bym się nie wygłupiała. – Wzruszyła ramionami, ale chyba jej było mało. – A ty jesteś łysy, bo łysy, czy wygolony? I dlaczego żeś się tak wytatuował? Przecież to jest obrzydliwe, wyglądasz, jakbyś dopiero wyszedł z więzienia!

Eleonora należała do pokolenia, które tatuaże kojarzyło właśnie z tym przybytkiem.

– A dlaczego pani sądzi, że nie wyszedłem? – zdziwił się bardzo szczerze.

I w tym momencie Eleonora odrobinę się przestraszyła. Jakoś tak o tym więzieniu niby pomyślała, a jednak nie pomyślała. Bo byłych więźniów jakby się bała, zasadniczo nie miała doświadczenia w tym zakresie, ale coś w tym jednak było.

Makary był spory, umięśniony, wiadomo: w więzieniu pewnie chodził na siłownię, łysy, jak wszyscy więźniowie wedle jej wyobrażeń, i wytatuowany. Na kolorowo – na rękach miał jakieś rośliny, na nogach jakieś zwierzaki, a na jednym z ramion nawet Tatusia Muminka i Małą Mi.

– Nie sądzę. To znaczy wszystko mi jedno. – Postanowiła delikatnie zatrzeć wcześniejsze złośliwości, bo zaczęła się go odrobinę obawiać. – A jak długo będziesz tu mieszkał?

– Proszę nie liczyć na cuda, będę tu mieszkał do usranej śmierci, tu jest najtaniej! Myśli pani, że co? Mam ochotę na to geriatryczne osiedle dla upierdliwych bab? Jasne, że nie mam, ale nic innego nie znalazłem. Jest pani na mnie skazana...

Eleonora aż jęknęła.

Takie sąsiedztwo bywa koszmarem. Nie ma się komu nawet poskarżyć na nocne awantury, bo policja też się takich boi, a jak przyjdzie co do czego, to może być naprawdę paskudnie. I krwawo.

Trochę żałowała swojego zachowania, a trochę nie, choć teraz zdecydowała się nieco przystopować.

– A łysy nie jestem – dodał chłopak po chwili, spoglądając na nią z uśmieškciem, i to nawet wrednym. To ją zezłościło.

– Jesteś! – odpowiedziała z rozpędu.

– Ogolony nie łysy! Co panią to obchodzi? Wie pani co? Pani jest nienormalna.

– Wiem – stwierdziła, wzdychając. – A co do ogródka... – zaczęła, licząc, że uda jej się chłopaka wmanewrować w podlewanie choć raz na jakiś czas.

– Bardzo przepraszam, już więcej nie będę! – powiedział, patrząc jej beczelnie w oczy.

Wyszła wściekła. Niby znajomość jakoś się zadzierzgnęła, ale nie zapowiadała się bezkonfliktowo.

Marianna przygotowała książkę z wbitym nożem do dostarczenia między półki i postanowiła teraz przygotować siebie do wyjścia. Przeczesała się, lekko umalowała, włożyła wyciętą sukienkę z dekoltem i szpilki.

Jej nienawiść do seksu... A może nie do samego seksu, ale bardziej do książek, a ogólnie do pornografii zaczęła się od tego, że pożyczyła książkę przyjaciółce. Był to właśnie erotyk, no może romans erotyczny. W każdym razie seks tam występował w sporych ilościach i ta koleżanka książkę przeczytała, niestety wraz z mężem Marianny, w łóżku, jej własnym, małżeńskim, w sypialni ich domu...

No i na tym czytaniu wraz z praktycznym odtwarzaniem pozycji złapała ich Marianna.

Byli tak zapętleni, że kiedy weszła, bardzo się zdziwiła, dlaczego jej mąż ma na uszach czerwone szpilki, jakiś zdecydowanie damski biust w okolicach jąder i drugą głowę wyłażącą spod ud.

Fakt, książka była zamotana, oni też.

Marianna zadzwoniła po teściową, żeby pomogła ich rozplątać i dać w kość niewiernemu mężowi w jej laskawej obecności i przy świadku, niestety, to, co się mówi o teściowych, bywa prawdą.

– To twoja wina – oświadczyła matka jej męża, głaszcząc syna po głowie. – To twoja wina, nie trzeba było takich książek w domu trzymać.

No i właśnie wtedy Mariannę trafił szlag.

Seksualny.

I ten szlag przetrwał wszystko – rozwód, podział majątku, awantury z koleżanką, wszystko minęło, przeszło, a szlag seksualny trwał w najlepszym.

No, a teraz w bibliotece...

Józeczek wyszedł zapalić przed budynek i oniemiał. Plakat aż nim szarpnął. Klata, w sumie męska klata bez faceta, i damski biust bez kobiety przytulały się na nim bardzo erotycznie do siebie ze sporym polem manewru dla wyobraźni.

Wrócił zaciekawiony do pani Róży.

– Porno będziemy puszczać? – Kiwnął głową w kierunku plakatu przed wejściem.

– Nie, no co pan, to jest biblioteka. A to jest książka. Romans – wyjaśniła z niezadowoloną miną.

Józeczek się zagotował. Książek nie czytał, a tym bardziej takich. Wiedział, jak bardzo szkodzą. Dziewczyny się nakręcają, wpadają w romantyczny amok, zaczynają od mężów żądać biżuterii, kwiatów, czekoladek, a skąd taki mąż ma na to brać? Potem tylko chwila i wszystko się rozpada. Bo faceci to tam niewiele od życia chcą, ale kobiety, jak się naczycją romansów, zaczynają mieć nierealistyczne oczekiwania. Tulipany czy gorzka wedlowska to jeszcze jeszcze, ale biżuteria? No horror! Nie jest to jednak najgorsze, o wiele gorzej się robi, jak się baby naczycją pornoromansów, bo wtedy oczekiwania zaczynają obejmować nie tylko kwiaty i czekoladki, ale i łóżko, a z tym niestety często są problemy.

Eleonora też szykowała się na spotkanie autorskie, bo należała do tutejszej elity i dostawała zaproszenia imienne na takie wydarzenia, no a jeżeli się już dostało takie zaproszenie, to nie wypadało nie pójść.

Książki nie czytała, ale wiedziała, że jak trzeba będzie się odezwać, to też sobie bez problemu poradzi.

Dzień chylił się ku upadkowi, słońce jeszcze, co prawda, nie zachodziło, ale w powietrzu czuć było wieczór. Pół miasta stroiło się, czesało, szykowało na spotkanie w bibliotece. Było to bardziej żeńskie pół miasta, bo mężczyźni jakoś mniej uczestniczyli w takich spędach. Pośród tej żeńskiej grupy były panie w każdym wieku. Te młodsze z zachwytem i odrobiną zawiści szły po to, żeby się dowiedzieć, jak to jest zostać pisarką, te starsze chciały na własne oczy zobaczyć autorkę wyzwoloną, bo ktoś, kto pisze takie książki, musi być wyzwolony, jeszcze starsze panie chciały się rozerwać albo rozerwać kogoś na strzępy, jeżeli okaże się, że spotkanie im się nie podoba, ale ogólnie wszyscy liczyli na dobrą zabawę.

To znaczy nie. Nikt nie liczył na zabawę. Autorka była kobietą, one były kobietami, więc właściwe mogło się zdarzyć cokolwiek, ale raczej nie zachwyty. Kobiety nie lubią kobiet, zaraz włącza im się tryb oceniania: „Ten tyłek to sobie na pewno robiła w Turcji”, „Ale ona paskudna, no pewnie dlatego pisze, zamiast żyć”, „Ja na pewno dałabym radę lepiej”.

Co ciekawe, kiedy autorem jest mężczyzna, do tego typu przemyśleń nie dochodzi prawie wcale, chyba że na sali jest jakiś mężczyzna.

Wtedy on zadaje często tylko jedno pytanie:

– A ja przepraszam bardzo szanownego autora, dlaczego pisze pan takie babskie książki?

* * *

Sala była pełna. W tle cichutko pobrzmiwała jakaś pościelowa muzyka, autorki już zasiadły na swoich miejscach, ukryte przed wzrokiem widzów za parawanami.

Zazwyczaj podczas spotkań autorskich dyrektorka biblioteki wprowadzała pisarza, przedstawiała go, a po burzy mniej więcej szalonych oklasków zaczynała mu zadawać pytania.

Teraz wyglądało to trochę inaczej.

– Za tymi parawanami siedzi Lamila Luxia, autorka powieści, której okładkę widzimy na plakacie. *Mordercze pożądanie* to książka, która zdobyła uznanie czytelników, a w naszej bibliotece wciąż są na nią zapisy. Niestety ostatnio straciliśmy dwa egzemplarze, więc kolejka się wydłuży...

– Ukradł ktoś? – Z sali padło pytanie, które chyba paść nie powinno, ale dyrektorka uciszyła pytającego gestem ręki.

– Nie będziemy teraz o tym rozprawiać, jesteśmy tu, by porozmawiać z autorką. Proszę o zadawanie pytań, autorkę przedstawię na koniec i to będzie niespodzianka. Zapewniam, że wielka.

– A dlaczego ona ma taki duży parawan? – rzucił ktoś z sali.

– To w pewnym sensie jeszcze tajemnica, w każdym razie może porozmawiamy o książce. – Dyrektorka musiała odwrócić kolejność całego spotkania, bo w tej chwili nie mogła przecież przedstawić autorkę, zamierzała to zrobić dopiero na koniec, kiedy usunie się parawany. Liczyła, że ich obecność ośmieli widownię.

Ośmieliła, ale chyba aż za bardzo.

– A o czym tu rozmawiać, przecież to pornus! – powiedział jakiś młody głos, w którym jedna z autorek rozpoznała swoją kuzynkę. No tak, z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciach, a w rodzinie niektórzy przecież wiedzieli.

– I w ogóle, czy powinno się pisać pornografię? Nie ma nic lepszego do pisania? – zapytał ktoś zniechęconym tonem.

– Bo teraz wszędzie ten seks – dodał ktoś z tylnych rzędów.

– Ale co wy chcecie od seksu! Jest w porządku! – krzyknęła jakaś młoda osoba siedząca przy oknie.

W ogólnym rozgardiaszu ktoś jednak chyba starał się trzymać fason choć odrobinę, co ucieszyło dyrektorkę.

– Czytałam, akcja jest naprawdę świetna, a sceny, znaczy momenty, super! – powiedziała kobieta spod samej sceny. – Jak pani to napisała? Z doświadczenia?

Sala umilkła, bo takie pytanie właściwie nie powinno było paść i pewnie by nie padło, gdyby autorka nie była zasłonięta parawanem.

– Nie, to tylko moja wyobraźnia – odpowiedziała Karolina, sądząc nie bez racji, że to pytanie skierowane jest do niej. – Ale nie jestem pruderyjna – dodała po chwili, bo czuła, że powinna.

– No, jasne, ale po co pisać takie świństwa? Seks to sprawa intymna. Nie powinno się go wywlekać poza łóżko! – oświadczyła jedna ze starszych pań.

– Oj tam, zaraz łóżko, ale ta scena na palce była genialna! Poważnie!

– No, i ta w basenie z piłeczkami.
– Baseny z piłeczkami są dla dzieci, nie powinno się tam uprawiać seksu! Dzieci mogą się czymś zarazić!
– Plemnikiemami!
– Dajcie spokój, to przecież powieść. Od czytania nikt się niczym nie zarazi.
– No a czy panie nie uważają, że to jest po prostu nieobyczajne?
– Neeeeee! – krzyknęła jedna z autorek. Był to bardzo głośny protest, ale i tak nikt nie zwrócił na to specjalnej uwagi.

– Co tu robisz te buraczki? – jęknęła sprzątaczką stojącą za kulisami.
– Pewnie ktoś rozdeptał mój obiad – odpowiedział jej szeptem Józeczek. – Moja żona jest do bani! – westchnął.
– A ja będę sprzątać – sapnęła niezadowolona. – Żeby tylko na korytarz i wypożyczalnię nie roznieśli, bo podłogi mi szlag trafi. Nie chce mi się myć drugi raz!

– Powieść? Powieść to zupełnie coś innego! Taka Rodziewiczówna, albo *Trędowata*, to są powieści, a nie książki pornograficzne, młodzieży nie powinno się ich nawet do ręki dawać! O, albo ta, Orzeszkowa.

– Tu jest wypożyczalnia dla dorosłych – jęknęła dyrektorka, nie wiedząc, co robić, bo zamiast dotrzeć książki i jej bohaterów, dyskusja zeszała na tematy obyczajowe, a seks potrafi rozgrzać dyskusję do mordobicia.

Dyrektorke zrobiło się przykro. Wszystko wymykało się spod kontroli. Postanowiła zakończyć tę pierwszą część i przejść do przedstawienia autorek. Liczyła, że to trochę onieśmieli publiczność.

– A teraz na własne oczy zobaczą państwo autorki tej książki. Autorki, bo pod pseudonimem Lamila Luxia kryją się trzy mieszkanki naszego miasta. Mam nadzieję, że przywitacie je wielkimi brawami. Panie Józeczku, proszę zabrać parawany. Muszę powiedzieć, że mamy w mieście niezwykle utalentowane młode pisarki, które jeszcze niejedną raz nas zadziwią.

Karolina zadziwiła wszystkich bardzo, i to natychmiast.

Na chwilę zasłonięto scenę prowizoryczną kurtyną, Józeczek na szybko złapał najpierw jeden, potem dwa parawany naraz, bo nie były specjalnie ciężkie.

– O ja pierdole! – wrzasnęła z czymś w rodzaju przerażenia w głosie. Chyba z rozpędu odsłonięto kurtynę.

I nagle wszyscy zobaczyli to, co dotychczas było zakryte dla ich oczu.

Dwie pisarki siedziały jak przymurowane, trzecia, no cóż, chyba leżała, ale nadal siedziała, głowę miała odrzuconą w tył, oczy wybałuszone, cała była zalana krwią, w której kałuży stało krzesło.

Krew skapywała z jej rąk, trzeba powiedzieć malowniczo, a od plamy krwi za kulisy wiodło kilka sznureczków jak najbardziej krwawych śladów.

– To jednak nie buraczki – stwierdziła sprzątaczką i zemdlała.

Ludzie siedzący przed zaimprovizowaną sceną początkowo się nie przejęli. Zamarli, to fakt, zadziałało zaskoczenie, ale i tytuł książki *Mordercze pożądanie*; byli pewni, że ta krwawa scena jest właśnie niespo-

dzianką, którą przygotowała dyrekcja biblioteki.

– Ale to ma symbolizować, że to tak jakby to pożądanie ją tak załatwiło? Mordercze? Poważnie? Chodzi o to, że seks jest morderczy?

– No ale nożem? Pożądanie nożem? Mnie to nie koreluje.

– Rozumiem, że to taka przenośnia, że pożądanie zabija? Tak?

– A ta krew to jakaś alegoria?

Trzeba przyznać, że na sali było sporo nauczycielek, co prawda w stanie spoczynku, ale nauczycielstwo tak łatwo z człowieka nie wychodzi. Wyciągniesz człowieka z ciała pedagogicznego, ale ciało pedagogiczne wciąż w nim jest i trawi go od środka.

Niektórzy zaczęli nawet klaskać, ale widok był tak paskudny, że jednak rachityczne oklaski szybko ucichły i to tu, to tam w tłumie zaczęły rozlegać się piski przerażenia.

Zwłaszcza że na scenie wybuchła panika.

Tłum na sali wielkim tłumem nie był, znajdowało się tam może ze dwadzieścia pięć osób, ale sala nie była duża, a kiedy wydzielono z niej jeszcze miejsce na parawany, po prostu zapanował ścisk. Zastronie było miastem na prawach miejskich i takim pozostało, ale historia obeszła się z nim dość paskudnie – wojny go nie omijały, za to szlaki handlowe owszem, toteż do naszych czasów dotrwało w formie niedużego miasteczka, które z metropoliami nie miało nic wspólnego, choć było ładne, sympatyczne i zadbane. Ot, jedno z tych miast, w których całkiem przyjemnie się żyje, ale pracy jest jak na lekarstwo. Bo choć wszystko tu było, włącznie ze szpitalem, urzędem pocztowym, trzema kościołami i kilkoma hotelami oraz biblioteką, to wszystko było niewielkie.

Na dodatek nie było miejsc pracy w przemyśle. Żadnych fabryk ani zakładów produkcyjnych. Ludzie żyli na pożyczkach od bardzo paskudnych firm pożyczkowych, biorąc chwilówki, żeby spłacić inne chwilówki, albo kredyty z RRSO trzysta procent, których i tak nie spłacali.

Istniał tu też miejski posterunek policji, choć zbrodni tu nie notowano. Nie to, że ludzie żyli zgodnie, wcale nie, ale starali się nie zwracać tym głowy policji.

Raz czy dwa zaginął jakiś poborca chwilówkowy, ale nikt się temu nie dziwił. Z pewnością po prostu uciekł z pieniędzmi od klientów, żeby pożyczyć trochę jak człowiek w Radomiu, bo na Malediwy z pewnością by nie starczyło, ale i tak nikt policji nie zawiadamiał, bo firmy wołały to załatwiać we własnym zakresie.

Posterunkowy Miziołek bardzo się zdziwił, kiedy około osiemnastej trzydzieści zawiadomiono go, że w bibliotece popełniono morderstwo.

– Zaraz będziemy, ale niech pani mi tutaj niczego nie sugeruje, wszyscy, że morderstwo, a potem okazuje się, że zatrucie sernikiem – burknął.

– Jakim arsenikiem? – jęknęła dyrektorka. – To skąd nóż?!

– Arsenikiem? A skąd pani wie?!

– No mówię, że nie wiem, ale nóż, jest nóż i krew...

– Taa, jasne, skaleczenie. Oczywiście, że skaleczenie, a wszyscy zaraz, że...

Początkowo chciała iść zadzwonić ze swojego biura, z telefonu stacjonarnego, tak zresztą powinna była zrobić, ale się bała.

Bała się, że ktoś gdzieś tam czyha, za regałem, za drzwiami, w biurze...

– Morderstwo! – krzyknęła wściekle do policjanta, stojąc za kulisami i zrobiła to zdecydowanie bardzo głośno.

W tym momencie sala też wybuchła wrzaskiem.

Nagle wszyscy na własne oczy zobaczyli zwłoki i krew, choć przecież dotychczas widzieli dokładnie to samo, ale jakoś inaczej interpretowali tę bardzo krwawą scenę.

Ludzie mają czasami problem z interpretacją rzeczywistości. Jak choćby w sklepach – chodzą, patrzą, marnują czas, a niech tylko ktoś krzyknie „wyprzedaż!” i już nic się nie liczy, połamane ręce, nogi, zwichnięte kariery, nadwyżęzone zdolności płatnicze, a przecież nic się nie zmieniło, tylko ktoś mógł zinterretować sytuację.

I tu nastąpiło to samo.

Ludzie zaczęli krzyczeć, pisać, kotłować się i oczywiście mdleć.

Eleonora siedziała i patrzyła na wszystkich i na wszystko jak zaczarowana. Dwie siedzące na scenie dziewczyny znała ze szkoły, zdaje się, że na jakimś etapie ich szkolnej kariery gdzieś je uczyła, trzeciej nie była w stanie rozpoznać, ale też mogła ją znać albo chociaż kojarzyć.

Nauczycielki zapamiętają uczniów, choć nie wszystkich. Zazwyczaj zapadają im w pamięć geniusze i ci, którzy najbardziej się opierali procesowi kształcenia.

Geniuszy w życiu spotyka się rzadko. Przeciętnych się nie zapamiętuje, tak więc podejrzewała, że są to dziewczyny, które trochę krwi jej napsuły.

Marietta i Kaśka siedziały skamieniałe na swoich krzesłach i nie były w stanie nawet głębiej odetchnąć. Wszystko było nie tak. Od początku wszystko było nie tak, a teraz jeszcze bardziej spotworniało.

Jeszcze w czasach prób na Wątpadzie Marietta była sceptycznie nastawiona do całego przedsięwzięcia. Wcale nie dlatego, że nie chciała, nie dlatego, że nie wierzyła, ani nie dlatego, że coś jej się nie podobało, ba, podobało jej się wszystko i to właśnie jej się nie podobało. Brak logiki w takim myśleniu nie przeszkadzał jej wcale; Marietta była młoda, ale to nie znaczyło, że jest całkowicie normalna. Była katastrofistką. Koszmarną katastrofistką, która, jak tylko coś się jej udało, wietrzyła wredny podstęp losu i paskudne konsekwencje, a jak się nie udawało, to było w porządku, bo przecież właśnie tego się spodziewała. Na początku z dziewczynami nawet fajnie jej się pisało, więc podejrzewała, że są kretynkami, z którymi zupełnie się nie dogada w realu, a jednak udało jej się dogadać.

Potem pisanie, którym się bawiły, wyszło jakoś poza sferę zabawy. To ją zmartwiło, ale na wysłanie tekstu do wydawnictwa zgodziła się obojętnie, nie wierząc, że ktoś to przeczyta, wiedziała, jak jest, skrzynki mailowe wydawnictw zapchane są setkami propozycji wydawniczych, których nikt nie czyta, więc dlaczego ktoś miałby przeczytać tę? A potem jeszcze i wydać? Coś jednak się stało i okazało się, że książka zostanie wydana.

Wtedy naprawdę poważnie zaczęła się bać.

Każdy zna powiedzenie „zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe”. I to właśnie takie było. Zbyt piękne. Nagle wszystkie trzy zaczęły marzyć o pisarskich karierach, pieniądzach, sławie... Celebryckich ściankach, bo skoro mogła jakaś Blanka, to i Marietta może, i Kaśka, a nawet i Karolina.

Teraz Karolina już nie mogła. Marietta popatrzyła na nią i ze strachu ją zemdlilo, a jeżeli wredny los po prostu się pomylił? Było ciemno, miał zabić ją, a zabił Karolinę?

Tak tylko z czystej złośliwości?

Marietta jeszcze na początku całego tego przedsięwzięcia poszła do wróża, który przepowiadał z kamieni magicznych. Powiedział jej coś, co ją zaniepokoiło.

– Będzie jak będzie, nic więcej.

Wielka prawda uderzyła Mariettę jak obuchem w splot słoneczny, a ta wtedy już wiedziała, że będzie źle, ale nie, że aż tak.

Kaśka, której się zwierzyła, chciała jej wyjaśnić, że właściwie to wróż nie powiedział nic i zapłaciła mu niepotrzebnie, ale takie teksty na Mariettę nie działały, bo ona wierzyła.

Kaśka też siedziała jak rażona piorunem, ale to trochę dziwne określenie, bo przecież rażenie piorunem nie wyklucza wrzasków czy ucieczki, a Kaśka była skamieniała, niema i cicha, jakby naprawdę coś ją poraziło. A była to z pewnością rzeczywistość.

A miało być tak pięknie.

Problem polegał na tym, że Kaśka wiedziała coś, czego nie wiedzieli inni, coś, co wyznała jej w tajemnicy Karolina i co mogło naprawdę wszystko zepsuć.

Jeżeli powie to policji, oczywiście Kaśka, bo przecież Karolina już nie może, to pewnie znajdą mordercę, ale wtedy wszystko szlag trafi, jeżeli zaś nie powie, to może nie znajdą i jeszcze przez jakiś czas niczego szlag nie trafi, ona będzie mogła się jakoś pokazać, może wydać coś samodzielnie, a potem się zobaczy, o ile morderca nie zechce zabić i jej.

Choć to całkowicie mało prawdopodobne. Trzeba by założyć, że to, co mówiła Karolina, jest prawdą, że morderca o tym wie i że postanowił z tego powodu ją zabić, a przecież wcale nie musiało tak być.

Nóż wystający z piersi dziewczyny, widziany kątem oka, bo Kaśka na całościowe spojrzenie jakoś nie bardzo miała ochotę, świadczył o tym, że ktoś Karolinę zabił.

Tylko czy to było związane z tym, co jej powiedziała?

Kaśka była zdecydowana milczeć, nie w ogóle, ale na ten jeden konkretny temat. Była, jak to polecił jej trener od samoświadomości, „sfokusowana” na swoich zadaniach, marzeniach i pragnieniach, bo tylko to się liczyło.

– O Boże, kiedy oni przyjadą? – jęknęła dyrektorka, odciągając wraz z Józeczkiem sprzątaczkę z drogi, bo sama nie dałaby rady, a Paraciejowa przeszkadzała.

Przeszkadzała w ogóle i przeszkadzała, bo była duża i zwalista, a przecież nikt nie chciał, żeby ktoś się o nią potknął, przewalił i zabił.

Rozgardiasz na sali trochę ucichł, kiedy usłyszano dźwięk syreny radiowozu i zawodzący sygnał karetki.

Nikt nie wiedział, które jest które, bo mało kto to rozróżnia, ale sygnały rozbrzmiewały dwa, więc było pewne, że to policja i karetka, straży pożarnej chyba nikt do zwłok nie zwywa.

Ludzie cieszyli się, że są w centrum wydarzeń, ale w chwilkę potem poczuli, że w tym centrum wydarzeń zostali uwięzieni. Niby zawsze każdy o tym marzy, żeby się w takim centrum znaleźć, ale jak przychodzi co do czego, to jednak wcale tego nie pragną, bo policja, bo pytania, bo zmarnowany czas, a w domu dzieci i wnuki czekają na kolację.

A potem to ciągnięcie po sądach i nikt nie wie, co mówić, a czego nie, żeby nie wyjść na kapusia czy donosiciela.

Czy powiedzieć, że kobieta obok szeptala do telefonu, że już wszystko załatwiła, albo że ta dwa rzędy dalej zniknęła na pół godziny, po czym przyszła z mokrymi rękami, albo że ta stojąca u wejścia skaleczyła się chyba kolcem trzymanej w dłoni róży i zakrwawiła chusteczkę, ale przecież... To nie musiało być chusteczka.

Kilka osób uciekło pomiędzy krzesłami, przemykając się pod ścianą, bo nikt wyjścia nie pilnował, ale i tak było wiadomo, że policja się do nich dogrzebie i będą ciągnięci po posterunkach, oby nie po sądach.

Policja w pierwszym rzucie zajęła się zwłokami i obiema autorkami siedzącymi na scenie oraz obsługą.

Wpadli z tupotem i zaczęli rozstawiać wszystkich po kątach, normalnie na cały głos, jakby nie wiedzieli, że są w bibliotece.

Pogotowie ocuciło Paraciejową, ale zaraz im znowu zemdląła, tym razem na widok stanu podłogi.

Dyrektorka trzęsła się jak osika, Józeczek się wstydził.

– Pan tu pracuje? – zapytał go jeden z funkcjonariuszy, a Józeczek nie odebrał tego jako zwykłego pytania, ale jako przytyk.

– Ale panie władzo, innej pracy nie było! – wykrzyknął cały czerwony, przyrzekając sobie solennie, że od jutra zacznie szukać czegoś bardziej męskiego, nawet żeby miał iść na grabarza.

Reszta obecnych została jako tako spisana i wypuszczona do domów, co nie wszystkim się podobało, bo skoro już zostali spisani, to przepadło, więc mogliby jeszcze zostać i zobaczyć co się będzie działo

dalej.

Marianna porzuciła książkę z wbitym w nią nożem w reklamówce w toalecie i wyszła przez okno, żeby nikt jej nie spisał.

Czuła, że to było głupie, bo książkę wypożyczyła sama, kilka osób ją widziało, ale ponieważ starannie wytarła odciski palców z trzonka noża, liczyła, że się wywinie.

Teraz nagle wydało jej się to bez sensu. Z pewnością dyrekcja na nią doniesie. Pomyślała, że mogła książki jednak nie zostawić. Postanowiła więc wrócić tą samą drogą, którą wyszła. Wejść do łazienki oknem, zabrać książkę z tym cholernym nożem, która nagle zaczęła mieć odrobinę mroczny wymiar, i wtedy dopiero wyjść, choćby nawet drzwiami.

Eleonora stała bardzo blisko, przy kotarze, co chwila posuwając się w kierunku miejsca, gdzie odbywała się policyjna krzątania, a że robiła to inteligentnie, cicho i bez rzucania się w oczy, została uznana za osobę, która tam z jakiegoś powodu być powinna.

– Pani też tutaj pracuje? – zapytał ją jeden z policjantów.

– Nie, oczywiście, że nie, ale jestem – i tu na moment inwencja ją zawiodła. – Jestem świadkiem – powiedziała po chwili, bo tak naprawdę była świadkiem, wszyscy byli.

– Widziała pani mordercę?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Ja widziałam, ja widziałam! – Zza kotary, nie zasuniętej, ale jednak osłaniającej nieco widok, dało się słyszeć jakiś głos. – To był ten no, Makaron! Bo on to takiej choroby dostał, co mu teraz każe za bami latać, to może i zabijać.

– Jaki makaron? Nitki? Muszelki? – zapytała jedyna kobieta wśród mundurowych, widząc wytatuowaną postać, która nie tylko się chwiała, ale też naprawdę zionęła alkoholem.

– Pijawka! – mruknęła Eleonora.

– Ja ci, kurwa, dam pijaczka! – wrzasnęła wytatuowana i rzuciła się do walki. Wysupłała się zza kotary i rzuciła do biegu w kierunku Eleonory, która stała niedaleko, ale jak rasowy toreador usunęła się z drogi, stając bokiem. Pijawka wdepnęła w mokrą plamę tam, gdzie wszystko już sprawdzono i kazono umyć podłogę, i pośliznęła się.

– Uważajcie, ona może zanieczyścić miejsce zbrodni! – krzyknęła policjantka.

– Jak zanieczyścić? Przecież sraaała nie będę – zdołała wykrzyzczeć, lecąc ślizgiem przez scenę i wywijając rękami na podobieństwo wiatraka. Przeleciała kilka metrów i zaryła głową w stos krzeseł po drugiej stronie. Krzesła chrupnęły i zwały się za scenę, ale że nie była specjalnie podwyższona, po prostu utworzyły bezkształtny, a jednak niebezpieczny stos. Pijawka padła na nie, zdecydowanie robiąc sobie krzywdę.

– Łooo, moje oko... – zaczęła jęczeć, usiłując wstać. Nie było to łatwe. Jej stan nie pomagał. W końcu ją podniesiono. Oko miała trochę obite, wargę rozciętą, łuk brwiowy krwawił. Wyprowadzono ją z dala od ścisłego centrum wydarzeń, ale nie ze sceny.

– Nazwisko, adres zamieszkania – spacyfikował ją funkcjonariusz, a Eleonora zastanowiła się, czy to możliwe, że Makaron, jej nowy znajomy, wytatuowany osiłek rzeczywiście tu był i zabił, czy Pijawka tylko na niego doniosła z czystej złośliwości. Ani jednego, ani drugiego nie mogła wykluczyć.

– Rozumiem, że pani coś widziała?

– No widziałam Makarona. No Makarego.

– Kto to jest Makary?

– No, ziomal, Makary Pawicki, Strunowa dwadzieścia osiem B.

Eleonora, ze sporym zgrzytem w umyśle, zorientowała się, że słyszy swój własny adres; domki bliźniacze nosiły ten sam numer, ale miały dodane litery A i B, ona mieszkła pod A. Jednak co innego ją zdziwiło o wiele bardziej. Ludzie z takich pijackich, żeby nie powiedzieć patologicznych, kręgów, rzadko znają swoje imiona i nazwiska, a co do reszty, owszem wiedzą, gdzie kto mieszka, ale adresów

nie znają. Prędzej pokażą, zaprowadzą, powiedzą, że ktoś mieszka koło kiosku z pamiątkami, niż podadzą ulicę i numer domu.

Czyli albo Pijawka bardzo dobrze się przygotowała, a zatem coś wiedziała, albo z Makarym łączyło ją o wiele więcej, niż on twierdził.

– A co pani tu robi?! – usłyszała nagle i zdała sobie sprawę, że to pytanie jest skierowane do niej.

– A co mam robić? Stoję! – odpowiedziała butnie, widząc przed sobą starszego aspiranta Lipskiego. Nie było sensu udawać, że się nie zna. Owszem, znali się, ale nie kochali, choć teraz ostatnio jakoś mniej rzucało się to w oczy.

– Kurczę, jak panią widzę, to aż na mnie skóra cierpnie – westchnął nawet dość przyjaźnie. – Matematyka z panią i zastępstwa z biologii po nocach mi się śnią.

– Cieszę się bardzo – odpowiedziała cała rozpromieniona. – Czyli coś ze szkoły jeszcze pamiętasz!

– O tak. – Roześmiał się szczerze, ale gorzko. – Była tu pani cały czas? Widziała pani tego Makarego? Zna go pani?

– Znać znam, to znaczy poznałam, ale nie widziałam go i nie jestem pewna, czy ona go widziała.

– Skąd takie podejrzenie?

– Muszę zapytać jednej koleżanki, ale wydaje mi się, że Pijawka siedziała koło niej, a to było na środku sali, więc nic nie mogła zobaczyć, ale jeżeli widziała, to była z tyłu za parawanami, musiała tam wyjść, czyli i ona powinna być podejrzana, no ale nie wiem.

– Pijawka?

– No ta tam. – Wskazała głową na udzielającą posterunkowemu informacji podpitą kobietę.

– A w ogóle? Może coś się pani, nie wiem, nie spodobało? Skojarzyło? Zdziwiło? Coś było nie tak?

– Termos. Zauważyłam, że jedna z kobiet, nie jestem pewna która, ale chyba to była kobieta, przyniosła ze sobą na spotkanie termos. Taki stary, kraciasty. To dziwne, bo herbata miała być podawana po spotkaniu, no i ciepło jest przecież... Butelka wody mineralnej by mnie nie zdziwiła... I wydała mi się jakaś znajoma.

– To jest małe miasto, tu ludzie się znają, choćby z widzenia. Dlaczego to panią zdziwiło?

– I właśnie o to chodzi, że gdybym ją znała, widywała, znała z internetu czy z targu, z apteki, nie wiem, ale skądś znała, to by było normalne. Pomyślałabym, że chyba ją znam i już, a tu miałam jakieś dziwne wrażenie, takie właśnie nieokreślone, było w niej coś znajomego, coś nieuchwytnie znajomego, ale nie wiedziałam co. Wiedziałam, że nie znam, a równocześnie czułam, że znam albo choć powinienam.

Takie psychologiczne, a na poły też filozoficzne wywody w takim momencie nie miały według Lipskiego większego sensu, bo ani obecność w bibliotece, ani termos, ani to, że ktoś kogoś powinien znać, a nie zna, nie były powodem do uznania tego kogoś za podejrzanego, choć uznanie Eleonory za wariatkę kusilo go nawet bardzo.

– Dobrze, gdyby coś sobie pani przypomniła, to proszę się zgłosić na posterunek, a teraz niech pani już idzie.

– Może mogłabym jakoś pomóc? – zaryzykowała Eleonora, mając nadzieję na jakiś, może wcale nie skromny, udział w śledztwie.

– O Boże, tylko nie to! – odpowiedział pospiesznie Lipski. – Ja jeszcze pamiętam, jak pani nam na klasówce pomogła, dreszcze mnie przechodzą.

– Dałam wam ściągę, przecież tego chcieliście – burknęła.

– Tak, ale z całkowicie błędnymi rozwiązaniami! Cała klasa się na to złapała. To był horror.

– Trzeba było myśleć! No ale wy woleliście bezmyślnie ściągać!

– Niech pani już idzie i w miarę możliwości... Więcej mnie nie nawiedza – westchnął, wyraźnie chciał być grzeczny. Chciał, ale nie umiał.

Eleonora stwierdziła, że jest z siebie dumna. Była jedną z niewielu nauczycielek, które uczniowie przypominali sobie nawet po wielu, wielu latach, fakt, że zgrozą, ale jednak.

* * *

Zwłoki wywieziono, pozbierano wszelkie dostępne dowody. Na podłodze zostały tylko plamy.

Dyrektorka stała z dala od samego miejsca zbrodni i niczego nie rozumiała. Najbardziej nie rozumiała, jakim cudem ktoś tam się dostał i zaatakował dziewczynę w pewnym sensie od przodu, bo gdyby jeszcze od tyłu, byłoby to bardziej wykonalne. Po prostu w tamtym miejscu nie było jak podejść, trzeba było się przeciskać, poza tym zamordowana siedziała pośrodku, więc morderca musiał przejść za jedną z autorek niezauważony.

– I po co tam poszedł? – zdziwił się posterunkowy Miziołek.

– Żeby zabić? – Aspirant Lipski lubił, jak jego ludzie myśleli, ale wolał, jak myśleli logicznie.

– No nie bardzo – wtrąciła się Eleonora, która bynajmniej nie miała zamiaru iść jeszcze do domu. – Przecież wcale nie musiał jej zabijać tutaj, ona jest tutejsza. Mógł ją zabić na przystanku, w sklepie, w parku. Wszędzie.

– Może on nie jest tutejszy?

– To jakim cudem znał i pomysł na spotkanie, i bibliotekę, rozkład pomieszczeń...

– Dyrektorka! – Józeczek aż zadrzał. – Ona to wiedziała. Ona, to mogła być ona, o Boże, co się na tym świecie porobiło, a baby fałszywe!

– Ale stałam cały czas z przodu! A pan też mógł. Cały czas był pan z tyłu. I, o, nienawidzi pan kobiet!

– Ja? Ja nienawidzę? Może jeszcze Kocham facetów, co? No, to mi pani przysrała. – Józeczek poczerwieniał. – Ja Kocham kobiety! Kocham, wszystkie jak leci! Ja nikogo nie zabiłem, to może Paraciejowa za tę podłogę, co jej zapaprało?!

Było to z wielu względów mało prawdopodobne, bo podłoga okazała się zapaprana po morderstwie, a nie przed nim, więc jako motyw nie miała sensu, choć Paraciejowa zdolna byłaby za podłogę zabić, może nie tak, żeby sobie robotę spaprać, ale udusić kogoś by mogła, a potem użyć go jako froterki, żeby śladów nie narobić.

– Ktoś jeszcze znał cały plan? – zapytał posterunkowy Miziołek.

Marietta podniosła rękę jak do odpowiedzi.

– Myśmy znały, nawet same to wymyśliłyśmy, a nasz wydawca też wiedział, ale on jest z Warszawy, chyba nie przyjechał tu, żeby ją zamordować?

– A chciał? – To pytanie było ze wszech miar interesujące, bo odległość zawsze da się pokonać, chociaż po co?

– No nie wiem, nic nie mówił, ale przecież ludzie są dziwni, może on w ogóle morduje swoich autorów, tylko nikt tego nie wie?

Taki pomysł mógł się zrodzić jedynie w przeżartym katastrofizm umyśle Marietty.

– Ale dlaczego? – Z kolei to pytanie wyrwało się z ust aż trzech osób, bo pomysł wydał się wszystkim naprawdę karkołomny.

– Żeby na przykład im nie płacić?

– Nam zapłacił. – Kaśka ucięła dyskusję.

– A ktoś jeszcze wiedział o całej tej imprezie? Ktoś z rodziny?

W tym momencie odezwała się drżącym głosem Kaśka.

– No ale z rodziny? Dlaczego? Nie wiem, ja swoim mówiłam, ona też mogła, ale dlaczego z rodziny? Sądzicie, że kto ją zabił? Matka, ojciec? Bo w sumie to nie byli zachwyceni tymi scenami, fakt, ale żeby mordować? Tak o?

Eleonora nie za bardzo chciała się pokazywać Lipskiemu, ale też dopóki nikt jej nie wyrzucił, nie zamierzała odchodzić.

Owszem, sugestię aspiranta, żeby sobie poszła i go więcej nie nawiedzała, mogła wziąć za sposób na pozbycie się jej albo wręcz wyrzucenie, ale nie wzięła.

– Bo w rodzinach ludzie też się mordują, nie słyszałyście o tym? – powiedziała głośno i w tym momencie usłyszała jęk.

– O jessssu, sorka? Tylko nie to! Co sorka tu robi?! To jakiś koszmar czy jak?! – wydukała Kaśka.

– Ty mi tu nie będziesz decydować, gdzie ja mogę chodzić, a gdzie nie, lepiej powiedz, co ty tu robisz.

– Ale, bo ja... Bo sorka... Czy to mi się śni? Czy naprawdę ktoś zamordował Karolinę? Bo jak mam koszmary, to sorka zawsze obecna, więc może się obudzę? I ona będzie żyła, i nie napiszemy tej kretyńskiej książki...

– Ale dlaczego kretyńskiej? – Policjantka popatrzyła na obie autorki, ale Marietta machnęła ręką.

Eleonora była z siebie dumna. Całe lata terroryzowania uczniów na coś się przydały. Bali się jej, a więc ją szanowali. To tak właśnie działa.

– Tylko że wie sorka co? – zapytała Marietta.

– Hmm. – Eleonora popatrzyła na policjantów i na miejsce, na którym dotąd siedziała ofiara.

– To jest bez sensu – dodała Marietta po chwili. – To wygląda, jakby to któraś z nas ją zabiła.

– Słuszna uwaga. – Aspirant Lipski ochoczo czerpał z rozmowy, którą słyszał, a słyszał ją tylko dlatego, że to nie on rozmawiał z dziewczynami, jego by się przestraszyły, skamieniałyby, kombinowałyby, co powiedzieć, a czego nie, tymczasem potwornej nauczycielce mówiły wszystko jak na spowiedzi, ciekaw był, czy tylko dlatego, że przeżyły horror szkolny z nią w roli głównej, czy ona po prostu umiała z takimi ludźmi rozmawiać.

– I to najbardziej ja – wtrąciła Kaśka – bo ja siedziałam od tej strony, z której była dźgnięta.

– Ale i tak musiałabyś wyjść zza parawanu. To fakt, byłaś najbliżej, ale nie aż tak blisko, natomiast mogłaś zobaczyć mordercę albo choć, nie wiem, coś z nim związanego. Nic nie widziałas?

Kaśka i Marietta nie widziały nic, były jak w transie, przeżywały swoje pierwsze i jedyne dotąd spotkanie autorskie, więc nie były nawet w stanie niczego zauważyć.

– Kota – stwierdziła po chwili Marietta. – Wydaje mi się, że coś jakby kota wyczułam, ale kot nie mógłby być mordercą.

– Też widziałas kota?

Kaśka pokręciła głową.

– Ja go nawet nie widziałam, ja tylko pomyślałam, że tu gdzieś jest kot – doprecyzowała Marietta. – Ja przepraszam, muszę iść do łazienki, ale tak jakby...

– Pójdę z tobą – zaproponowała Kaśka – tylko, bo...

Nagle zaczęła się trząść, jakby ta sprawa dopiero teraz do niej dotarła, szok często odsuwa reakcję na moment, kiedy już się człowiek trochę oswoi ze zgrozą, i dopiero wtedy zaczyna człowiekiem pomiać; Kaśka skuliła się i rozplakała.

– Ja się boję – jęknęła.

– Jaaaa teeeeż – wychlipała Marietta i choć wszystko było tak jakby w porządku, to jednak nie było – szok, strach, płacz to normalna reakcja, niestety, bo należało je czymś zająć, zaangażować w coś, żeby przestały panikować.

Marianna stała pod oknem i nie wiedziała, jak ma się dostać z powrotem do łazienki. Problem w tym, że wychodząc, zapomniała zamknąć od środka drzwi wejściowe. No po prostu zapomniała, każdy by

zapomniał. W łazience były dwie kabiny, więc każdy używał zatrzasku w swojej, ale nikt nie przekręcał zamka w głównych drzwiach łazienki. Wyszła przez okno, ale okno nie było w kabinie, tylko obok umywalki, toteż nawet kabiny nie zamknęła, tak więc w każdej chwili ktoś mógł tam wejść i znaleźć to, co tam została.

Wejście przez normalne drzwi i udanie się do łazienki nie było dobrym posunięciem, bo natychmiast ktoś by ją zauważył (nie daj Boże policja) i musiałaby się tłumaczyć, a ona miała nadzieję, że jakoś uda jej się sprawić wrażenie, że w ogóle jej tu nie było. Może nikt jej nie zapamiętał? Może zdoła się wymknąć po cichu? Na to liczyła.

Doskonale wiedziała, że w takich skupiskach ludzie naprawdę niewiele widzą, a zapamiętują jeszcze mniej.

Tyle że gdyby ktoś odnalazł książkę, tę z wbitym nożem, to będzie na sto procent uważał, że to ona jest morderczynią. Co za kretynstwo. Że też jej się zachciało świat naprawiać!

Nie mogła sobie tego darować.

O ile wyjście było w miarę łatwe, wejście miała utrudnione. Z tej strony było wyżej, ale istniał niewielki gzyms nad okienkiem do piwnicy.

Na ten gzyms powinna się wspiąć, złapać za parapet, trochę się podciągnąć i wciągnąć do środka. Nie była osobą wysportowaną, na dodatek szpilki nie ułatwiały sprawy. No i nie miały sznurowadeł.

Cały problem polegał na tym, że nie mogła wejść tam bez butów, bo gdyby potem wyszła bez nich z łazienki, wzbudziłaby sensację, więc musiała je mieć ze sobą, a nie miała kieszeni. Gdyby szpilki miały sznurówki, toby je sobie zawiesiła na szyi, a tak musiała mieć je na nogach.

Brała pod uwagę to, że kiedy będzie wychodzić, ktoś ją niestety zauważy, ale to był już mniejszy problem, bo książkę miałyby na powrót przy sobie, a nie sądziła, że ktoś zechce ją przeszukać.

Zresztą mogłoby się jej udać przemknąć tak, żeby jej nie zauważono.

Postanowiła wspiąć się na gzyms i ostrożnie złapać za parapet, potem za futrynę. Nie była to bułka z masłem, ale nie było to też jakieś trudne, gzyms znajdował się nisko, jakieś pół metra nad ziemią.

Chropowaty piaskowiec, z którego go wykonano, bardzo ułatwił jej sprawę, bo choć gzyms był wąski, udało jej się zrealizować pierwszą część planu. Trzymając się parapetu, zajrzała do środka. Było ciemno.

To jej odpowiadało.

– To ja też pójdę z wami – zaoferowała Eleonora. – Na pewno się przydam, jesteście przerażone.

– Idzie pani z nami, żeby nas przerazić jeszcze bardziej? – mruknęła Kaśka, która przez całe swoje szkolne życie bała się tej nauczycielki.

– Przystań gadać głupoty! – warknęła Eleonora tak, że obie dziewczyny aż się skuliły.

– Posterunkowa Chucherko, proszę iść z paniami na wszelki wypadek – rozkazał aspirant Lipski. – Lepiej dmuchać na zimne, nie wiadomo, co się dzieje. Nie wiadomo, czy morderca zrealizował to...

– Jak zrealizował? – Eleonora się skrzywiła.

– No jakby go pani oceniała, to pewnie na niedostateczny, ale chodziło mi o to, że nie wiemy, co sobie zaplanował, ich jest, to znaczy było, trzy, chciał zabić tę jedną albo wymordować wszystkie i możliwe, że teraz się gdzieś czai.

– To przecież mógł od razu. – Wzruszyła ramionami, wcale się nie przejmując, że mówi to takim obojętnym tonem, gdy stoi tuż obok ewentualnych ofiar.

– Coś mogło go przestraszyć.

– Kot?

– A nawet i kot, różnie bywa. Idziemy? – Posterunkowa Chucherko z niechęcią zauważyła, że Eleonora idzie z nimi.

– Ciocia też? – zapytała zdziwiona i natychmiast aż się złapała za usta. Była przyzwyczajona do tego, że do ciotki się nie przyznawała, w szkole było to bardzo niebezpieczne, w życiu wiele utrudniało, a w pracy... Już sam stosunek jej przełożonego do ciotki wiele mówił, bardzo trudno jest być siostrzenicą kogoś takiego jak Eleonora.

Przez lata pracy w różnych szkołach podpadła połowie populacji miasteczka, uczniom, rodzicom, dziadkom. Chodziły legendy, że niektórzy uczniowie ją lubili, ale mało kto wierzył w takie bajki.

Wszyscy popatrzyli na posterunkową Luiżę Chucherko, zwaną Luśką, z pełnym chyba nagany zaskoczeniem.

– No i co? – warknęła. – Ja sobie rodziny nie wybierałam! Idziemy, bo jeszcze... – Chciała dodać, że Marietta posika się w gacie, na szczęście udało jej się powstrzymać. Nazwisko Chucherko sugerowało osobę delikatną, ale nie miało racji.

Ruszyły tylnym korytarzem do łazienki dla czytelników, bo ta dla personelu zawsze była zamknięta.

Metalowy parapet zewnętrzny pozwolił jej utrzymać równowagę na gzymsie. Włożyła ręce do środka i złapała parapet wewnętrzny, żeby się go przytrzymać i podciągnąć. Nie było źle, biustem prawie całym leżała już na oknie, kiedy usłyszała kroki i głosy.

Nagle zapaliło się światło, zresztą ono zawsze zapala się nagle.

Ktoś wrzasnął. Gdyby uświadomiono jej, że była to ona sama, toby nie uwierzyła, ale w panice puściła parapet. Odchyliła się odrobinię. W tym momencie szpilki zsunęły się z gzymsu i z potwornym wrzaskiem zleciała na ziemię, a potem pod nią. Piwniczne okienko załamało się i całą siłą grawitacji wpadła w jakieś podziemia.

– Aaaaa – zadudniło na zewnątrz strasznym głosem i odgłosem przytłumionego, ale jednak huku.

– Aaaaa – odpowiedziały równocześnie trzy głosy z łazienki.

Posterunkowa Chucherko nie krzyczała, była na to zbyt profesjonalna, ale podbiegła do okna i natychmiast zobaczyła dziurę w ziemi.

Dziurę, z której wydobywał się piekielny skowyt.

– Boże, co tam jest?! Co tam tak strasznie wrzeszczy?! Co się dzieje?!

Nie skorzystawszy nawet z łazienki, wszystkie pobiegły z powrotem.

– Klucze, gdzie są klucze do piwnicy?!

Upadek z wysokości parterowego okna na ziemię nie był szczególnie bolesny, natomiast to, co nastąpiło potem – bardzo.

Najpierw jak u klasyka zobaczyła ciemność, a potem w ciemności pojawiły się oczy. I było ich całe mnóstwo. Ciemność była nimi usiana jak biedronka kropkami, ale nie istnieją czarne biedronki w świeące kropki, no i ta ciemność zakotłowała się, miała pazury. Coś spadło na nią jakimś sypkiem deszczem, a potem coś innego, tym razem żywego, z wrzaskiem rzuciło się na nią, jakby ją chciało rozszarpać. Oczywiście nie zawiadomiło jej o tym na piśmie, ale pewne rzeczy się wie jakoś instyktownie, nawet jeżeli dookoła panują egipskie ciemności. Coś charczało, prychało, szarpało i wyło.

– Ratuunku! – krzyknęła, słysząc w oddali jakieś krzyki i tupot. – Jezu, to coś mnie zeżre!

Tupot dał jej nadzieję, zgrzyt klucza w zamku był muzyką raję, a światło...

Światło ukazało scenę jak z horroru – pod rozwalonym oknem, takim przy suficie, leżała Marianna w letniej sukience, a na niej kotłowały się koty.

Wszędzie, w tym także i na niej, pełno było suchej kociej karmy, musiała być kocia, bo chyba psiej nikt by im nie dawał. Gdyby jeszcze to ona leżała na karmie, to byłoby poniekąd logiczne, ale karma na niej? Skąd? I to nawet we włosach?

Kobieta była już niezłe podrapana, ale kiedy zapaliło się światło, napastnicy rozpięzchli się po wszystkim dookoła i po ścianach trochę też.

I coś jeszcze uciekło. Było duże i sapało. Gdyby było kotem, musiałyby być kocią Godzillą, ale nikt się temu nie przyjrzał.

Po chwili koty zniknęły i nie chodziło o to, że się pochowały, choć miały gdzie, ale chyba uciekły, a zatem musiało być stąd jakieś inne wyjście. Może tylko kocich rozmiarów, ale musiało być, bo przecież nikt chyba nie łapał kotów i nie zamykał ich w tym miejscu specjalnie, owszem, mogły wskakiwać, przez okienko, dopóki jeszcze istniało, ale ktoś tutaj dawał im jeść, co było wyraźnie widać, i z pewnością tego jedzenia nie wypywał przez okno, a dyrektorka wydawała się zupełnie nie mieć pojęcia o tej piwniczce, to znaczy o jej przeznaczeniu.

– Ktoś tu hoduje koty? – zdziwiła się dyrektorka, nie wiedząc w sumie, co powiedzieć, bo biblioteka to było jej miejsce pracy i powinna ją znać jak własną kieszeń, a wyraźnie nie znała, co było karygodne i mogło się wiązać z jakąś karą, w końcu higiena, zarazki, śmieci, kocie odchody, alergią... A ona nic, zupełnie nic nie wiedziała o tej kociej samowolce.

– Ja tam nie wiem, ale to pewnie ta tajna hodowla – odezwała się Paraciejowa, ze zgrozą rozglądając się naokoło. – Ja tu sprzątać nie będę, na bibliotekę jestem, a nie na hodowlę jakieś.

– Hodowlę? Jaką? Kotów?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Kotów, oczywiście, że tak, koty się teraz hoduje, one mają zęby jadowe i ktoś je hoduje na jad, na pewno! Wiem, bo widziałam w telewizji, koty są potrzebne takim różnym do straszenia ludzi, na piątki trzynastego, najbardziej te czarne, potem prezydent je wypuszcza...

– Jaki znowu prezydent? Pani mi tu polityki nie uprawia! To jest biblioteka, a nie jakiś wiec. – Dyrektorka nakrzyzczała na sprzątaczkę, ale ta tylko popukała się w głowę.

– No nasz, prezydent miasta, nie ten ogólny! Nawłocki, wypuszcza je na ludzi, o, te czarne, a te inne to na koci jad, no! Albo dla czarownic, bo teraz jest zapotrzebowanie, ludzie bardzo muszą.

– Co muszą?

– No koty mieć, bo w internecie to potrzebne. Dla emerytek, żeby mogły dokarmiać, dla cerberetek, żeby mogły się pokazywać, dla pisarek, bo książki się lepiej sprzedają, dla... w ogóle dla wszystkich, bo jak ktoś nie ma kota, to on nic nie zarobi i taka jedna mi mówiła, że sobie prezydent kocią farmę założył i koty sprzedaje, pożycza, a nawet inne straszne rzeczy robi.

Istnieją ogólnoswiatowe teorie spiskowe, o chipach i różnych kosmicznych zaszłościach albo niedoszłościach, ktoś gdzieś nie ładował, a mówił, że był, jacyś płascy kosmici albo inne ziemskie sprawy, istnieją też lokalne teorie spiskowe. Takie naprawdę lokalne, że ten a ten radny jest na przykład wilkołakiem, bo raz chodził nago po mieście w czasie pełni, albo takie tylko czasowo lokalne, bo pewnie się rozprzestrzenia, tak jak ta o kotach bibliotecznych.

Wszystko zaczęło się od tego, że prezydent w zimie wziął udział w akcji „otwórzcie okienko dla kota”, a że wielu ludzi go nie lubiło i mu nie dowierzało, poszła plotka, że musi coś z tego mieć. A co to znaczy to „coś”? Oczywiście pieniądze.

– Ale co pani za bzdury opowiada! – jęknęła Marianna, która, co prawda, z tą opowieścią się już zetknęła, ale nie za bardzo w nią wierzyła.

– Kim pani jest?! – krzyknęła posterunkowa Chucherko do Marianny. – I skąd się pani tu wzięła? I w ogóle dłaczo pani tu siedzi...

– A co, do cholery? Tańczyć mam? Po prostu zleciałam! – Wskazała podbródkiem rozwalone okienko. – Tak sobie szłam i zleciałam.

W tym momencie nikomu nie przyszło do głowy, że to jest skrajnie niemożliwe. Ludzie często zadawała się prostymi rozwiązaniami, bo te skomplikowane należałoby zrozumieć, a komu się chce? Bo kto spaceruje z tyłu biblioteki pod samymi ścianami? W miejscu gdzie nie ma ścieżek, a krzaki rozpleniły się tak, że aby się przedostać, trzeba by wyrąbywać sobie drogę maczetą?

– Pani Marianna! – Dyrektorka zrobiła tak zmęczoną minę, jakby na sam widok Marianny odechciało jej się żyć. – Mam nadzieję, że to nie pani dźgnęła autorkę? Bo ma pani dziwne pomysły, ale ludzi chyba nie? Prawda?

I tak Marianna dostała się na górę w bardzo paskudnym charakterze, czyli w charakterze podejrzanej.

Powrót do domu wcale Eleonory nie usatysfakcjonował, bo po pierwsze niczego się nie dowiedziała, po drugie niczego nie rozumiała, a uważała, że kto jak kto, ale ona powinna.

Bo to morderstwo jej się nie podobało, choć oczywiście trudno, żeby miało się podobać, ale było w nim coś naprawdę niezwykłego. Przede wszystkim ktoś wybrał Karolinę, która siedziała pośrodku, więc nie był to atak z powodu seksualnej zawartości książki, gdyby tak było, to zadźgałby albo całą trójkę, albo którąś z brzegu, którąkolwiek, wybranie Karoliny sugerowało konieczność zabicia właśnie jej, co prawda to ona pisała sceny seksu, ale tego dowiedzieli się dopiero z rozmowy z dziewczynami, autorkami, skąd więc mógł to wiedzieć morderca? One jeszcze się nie za bardzo ujawniały i coś takiego nie mogło do nikogo dotrzeć, czyli według Eleonory książka nie mogła być przyczyną morderstwa, a jeżeli nie książka, to co?

W tej chwili optowano za Makarym, zwanym Makaronem, bo Pijawka podsunęła go jak na tacy, choć jeżeli chodzi o motyw, to nie mieli pojęcia, dlaczego miałby to zrobić. Drugą najbardziej podejrzaną osobą była Marianna, ze względu na swoją awersję do książek erotycznych, która była możliwa do udowodnienia, jednak gdyby o to chodziło, to powinna dźgać którąkolwiek, a nie akurat tę pośrodku.

No i oczywiście Józeczek (bo tam był, a nienawidzi bab, choć kocha kobiety), Paraciejowa (za podłogę, choć nie bardzo), dyrektorka (ale ani jak, ani dlaczego – nie wiadano) oraz około dwudziestu pięciu osób z sali, w tym Pijawka.

Plus bliżej nieokreślona liczba tych, którzy mogli, ale których obecności nikt nie zauważył, co też nie było wykluczone, przecież biblioteka nie miała monitoringu, drzwi nikt nie zamykał, więc na uparte go każdy mógł to zrobić.

Nawet Eleonora, choć kiedy usłyszała taką insynuację od Luśki, to aż prawie się na nią rzuciła.

Teraz spacerkiem wróciła na swoją ulicę, gdzie latarnie świeciły mniej więcej jako tako, i ruszyła do swojego ogródka. Nie była strachliwa, wiedziała, że nie wszyscy ludzie życzą jej dobrze, a właściwie poprawka: ludzie nie życzą jej dobrze, nie miała złudzeń, dlatego nosiła zawsze przy sobie w torebce pałkę teleskopową oraz kastet. O ile pałka była łatwa w użyciu, lekka i bezproblemowa, oraz nie zawadzała w torebce, to z kastetem Eleonora sobie nie radziła, ale czytała, że jest świetny, więc go nabyła. Najchętniej kupiłaby granat, ale niestety nie było to możliwe.

Kiedy weszła do ogródka, krzaki zafalowały.

– Crhhhhhhh – powiedziało coś, tak jakby do niej.

Nie zareagowała, nie wiedziała, czy jej pałka da radę dzikowi, przyspieszyła tylko kroku.

– Purkwa, purkwa, purk... Purk... – usłyszała.

– Że co? Ja? – sapnęła do siebie, łapiąc pałkę. – Prukwa?! Wyłaż, gnoju!

Coś szeleściło w krzakach.

Eleonora nie miała się czego bać, była u siebie, nie podejrzewała, że ktoś ją zaatakuje pod drzwiami własnego domu, ale jak to zawsze bywa w takich sytuacjach, jednak się bała.

Na szczęście była zabezpieczona, miała przy sobie coś genialnego. Alarm osobisty, który nosiła przyczepiony do torebki, wystarczyło wyszarpnąć wtyczkę, a zaczynał działać. To znaczy był tak, że można było ogłuchnąć, a złodzieje czy napastnicy nie lubią takich dźwięków, na ogół się ploszą.

– Purkła, purkła, purk... Purk... – usłyszała znowu. Eleonora odróżniała starzenie się od bycia starą. Ona, owszem, starzała się, ale stara prukwą nie była.

– Sam jesteś prukła! – Wyciągnęła palkę i walnęła w krzaki jaśminu, w tym roku oblepione paskudną czarną chmurą mszyc.

Ktoś chyba tam stał.

– A, au, pani przestanie! Moja głowa, do cholery, zdurniała pani do reszty?! – wrzasnął, wychodząc i masując sobie łysą głowę osilek. – Pojebało panią?! Czy jak?

Eleonora jednak nie zdążyła go usłyszeć, bo z wielką siłą wyszarpnęła wtyczkę alarmu z torebki. Rozległo się takie wycie, że nagle oboje aż skulili się na ścieżce.

– Pijana pani? – wrzasnął, zatykając sobie uszy. – Da pani to gównu. – Wyrwał jej torebkę, ale zanim udało mu się wetknąć wtyczkę w miejsce, z którego została wyszarpnięta, pół ulicy się obudziło.

– Cholerny szmaciarz! Znów policja? Ty kiedyś skończysz w pierdlu! Ja ci to mówię.

– Zabierzcie gnoja na wytrzeźwiałkę.

– W kajdanki i won z nim, toż to menel!

Wszyscy oczywiście pomstowali na Makarego, wiadomo, starsze panie nie powodują takich awantur, nie zakłócają spokoju, nie chodzą pijane. A osilki z tatuażami oczywiście.

– Będę miał z panią same kłopoty! – jęknął Makaron, unieszkodliwiając wyjca z torebki, zadziwiająco podobnego do syreny radiowozu.

– To było mnie nie wyzywać!

– Nie wyzywałem, gdzieżbym śmiał?! – Eleonora nie wiedziała, czy to nie była złośliwość z jego strony.

Zarzykowała.

– To co to były za prukwy?

– Ćwiczyłem?

– Co? Wyzwiska?

– Nie pani interes! – odburknął, ale po chwili jakoś tak skulił się, jakby zmarniał. – Pomoże mi pani? – zapytał raczej prosiącym tonem.

– Ale, do licha, w czym? – Eleonora tego akurat się nie spodziewała.

– Z tą policją. Przecież oni mnie za to morderstwo wsadzą jak nic! Sama pani widzi, jak jest, pani wyje, a wszyscy, że ja!

– Trzeba było się nie tatuować! – warknęła ze złośliwą satysfakcją.

– Czyli przez tatuaże wsadzą mnie za morderstwo? Tak? Przecież ja tego nie zrobiłem!

– Czyli nie masz alibi?

– Mam, nawet dwa, jedno prawdziwe, drugie fałszywe, prawdziwego podać nie mogę, a fałszywe jest tak durne, że tym bardziej mnie wsadzą.

– Ale ty jej nie zabiłeś?

– No co pani, na łeb upadła? Oczywiście, że nie! Nie mógłbym... Jej nie mógłbym...

– A kogoś innego tak? I dlaczego akurat jej nie?

– Niech pani nie będzie wścibska! Mówię, że nie, to nie!

– No ale jeżeli mam ci pomóc, to muszę wiedzieć. – Eleonora zrobiłaby wszystko, żeby się dowiedzieć czegokolwiek związanego z tą sprawą, choć wcale nie zamierzała nikomu pomagać, to znaczy nie wykluczała, że pomoże, ale nie było to dla niej jakieś bardzo ważne. Była egotystką w obu znaczeniach tego słowa, bo uważała, że są dwa, oba oznaczają osobę, która myśli tylko o sobie, ale jedno określało kogoś, kto jest zdrowym egoistą, a drugie egoistą chorym, jej nic nie dolegało, więc była zdrową egoistką. Dodatkowo lubiła robić sobie przyjemność.

– A pomoże pani?

– Jeszcze się zastanawiam. – Wzruszyła ramionami, ale i tak tego nie zauważył. – Chodź na herbatę, pogadamy.

Było już dość późno, ale po wszystkich tych wrażeniach uważała, że jeżeli sobie z kimś pogada, to na pewno lepiej zaśnie, a pogaduchy z nowym znajomym mogły być ciekawą opcją.

Makary miał lepszy pomysł.

Wyjął z krzaków wino i nie było to wino marki „uśmiech sołtysa”, choć jakieś specjalnie eleganckie też nie było.

Luśka początkowo się załamała, widząc ciotkę na miejscu zbrodni, ale знаła ją na tyle, że jeżeli to nie ona była tej zbrodni ofiarą, to prawdopodobnie nie była też mordercą, choć niewinna być nie musiała.

Bo ciotka od zawsze miała swoje metody działania, często wyciągała kasztany z ognia cudzymi rękami.

Zresztą to nawet nie było tylko to. Ciotka była bardzo zdolna, cwana i wiedziała ogromnie dużo, miała dostęp do plot i ploteczek oraz znajomości – takie jakie się wyrabia przez lata i do jakich młoda policjantka nie mogła mieć dostępu.

A bardzo chciała.

Pomyślała, że mogłaby z ciotki jakoś skorzystać.

Luśka swoją pracę kochała, ale kochała też matkę i ojca, co niby nie przeszkadza, ale czasami nie pomaga, bo do policji poszła wbrew całej rodzinie.

– Przedszkolanka. To jest praca dla dziewczyny z twoim charakterem! – twierdził ojciec. Luśka już widziała, jak tabun maluchów ucieka przed nią z przerażeniem na twarzyczkach, a ona ziele ogniem i rzuca iskry z oczu tylko dlatego, że któreś z dzieci złamało kredkę. Doskonale zdawała sobie sprawę, że ona, jako przedszkolanka, byłaby przyczyną nocnego moczenia się i koszmarów sennych swoich podopiecznych, a traumy dzieciakom fundować nie chciała, wystarczyła już ciotka, która była sławna na całe miasto, sławna, choć niesławna zarazem.

Matka Luśki chciała za to wnuków, to częste marzenie starszych pań, które mają za dużo wolnego czasu i marzą o powrocie do pieluch. Nie, nie namawiała córki do pracy w żłobku, wręcz przeciwnie, chciała jej kupić restaurację, którą Luśka mogłaby prowadzić, nauczyłaby się wtedy dobrze gotować, a dzięki temu trafiłaby przez żołądek do serca jakiegoś interesującego mężczyzny.

Dziewczyna uważała, że zważywszy na jej zdolności kulinarne, przez ten żołądek to trafiłaby do więzienia, bo z pewnością kogoś by otruła.

Nie umiała gotować, nie lubiła, a prowadzenie restauracji uważała za paskudnie nudną robotę od rana do nocy. Fakt, matka była na tyle zamożna, żeby w taką restaurację zainwestować, ale ona uważała, że byłyby to stracone pieniądze.

Luśka pragnęła pracować w policji.

– Krawężniczką będziesz? Z pijakami będziesz się użerać, z narkomanami? prostytutki ganiać?! To nie jest praca dla mojej córki! – oświadczył ojciec i nastąpiła zima nuklearna w stosunkach z rodzicielelem.

– Ale jak to tak, córeczko, to ty wolisz przestępców od dzieciaczków? – Matka załamywała ręce. – No przecież ty nienormalna jakaś się zrobiłaś! Jak ja cię wychowałam?!

Z matką Luśka czasami rozmawiała. Ich stosunki były mniej więcej temperatury lądolodu, a i tak o wiele cieplejsze niż te z ojcem.

A Luśka była bardzo rodzinna.

Brakowało jej rodzinnej atmosfery, pogaduszek, wspólnych kawek i wypraw na ryby.

Zaczęła się łamać.

I o mało by się złamała, gdyby nie to, że w ostanie święta podsłuchiwała rodziców. Kiedy ona poszła do łazienki, oni w kuchni szeptem dodawali sobie otuchy.

– Nie denerwuj się, kochanie – powiedział ojciec do matki. – Jeszcze chwila, a wróci do domu z podkulonym ogonem i założy restaurację z przedszkolem dla pracowników. I wilk będzie syty, i owca cała.

Luśka nie widziała dla siebie miejsca w tej przypowieści o wilku i owcy. Ona się po prostu wkurzyła.

I postanowiła trzymać się rękami i nogami, a i pazurami też, swojej pracy w policji, żeby nie dać satysfakcji rodzicom.

A teraz nagle zbrodnia w bibliotece oraz obecność ciotki Eleonory podsunęły jej pomysł, co i jak zrobić, żeby wyjść z rodzinnej opresji obronną ręką, żeby pokazać rodzicom, że nie będą rządzić jej losem, że ona sama będzie o sobie decydować.

Gdyby tak się wykazała! Gdyby tak udało jej się może nie rozwiązać sprawę, w takie cuda jednak nie wierzyła, ale choć pomóc w śledztwie! Znacząco pomóc.

Do tego potrzebna była jej ciotka.

Była jej wręcz konieczna jako ktoś, z kim można uczciwie pogadać, i jako ktoś, kto potrafi łączyć fakty, myśleć nieszablonowo i krytycznie. Jako ktoś, kto zastąpi jej matkę, ojca, oczywiście bez przytulania i tylko chwilowo, bo ciotka przytulna nie była, ale była namiastką rodziny i jako ktoś, kto albo zna, albo może w jednej chwili poznać wszystkie plotki z Zastronia i okolic oraz uzupełnić je historią rodzin, problemów szkolnych, rozwodów, zerwań, klap finansowych tudzież tego wszystkiego, o czym się nie mówi, ale plotkuje bardzo chętnie.

Kiedy tylko skończyła służbę, poszła natychmiast do ciotki, wiedząc, że dwudziesta trzecia to nie jest dla niej jakaś bardzo późna godzina.

– Gadaj teraz, o co chodzi! – Eleonora postawiła na stole butelkę. – Powiedz: co z tym alibi?

Chłopak otworzył usta, zawahał się, sapnął i poderwał się z krzesła.

– Wie pani co? Ja muszę coś załatwić, a przy okazji coś pani pokażę i jakoś to pani inaczej wyjaśnię. Dobra? Pojedziemy? Jeździła już pani na motorze?

– A ty trzeźwy jesteś? – Skrzywiła się z niechęcią, ale więcej było w tym udawania niż prawdziwej niechęci.

– Jasne. To co? Jedzie pani?

– No, mogę jechać... – Wzruszyła ramionami, żeby nie pokazać, jak bardzo ją kusi ten pomysł. W końcu nie mogła sobie na coś takiego pozwolić.

– Tylko tak jakby... Jak ma pani na imię? Bo kumplom muszę jakoś panią przedstawić, jakby, może moją ciotkę?

– Eleonora, mam na imię Eleonora.

– No trudno, dziwne imię, ale ostatecznie może być. Eleonora, czyli Norka? Będzie pani ciotką Norką.

– Ale... – Kobieta chciała zaprotestować, że może wolałaby jakieś inne zdrobnienie, jednak po chwili machnęła ręką. – Niech będzie.

Wyszli przed dom. Chłopak przyprowadził całkiem spory motocykl, który stał z tyłu na jego części tej tak jakby wspólnej posesji.

– Ciotka wsiada! – rozkazał, a kiedy zrobiła zaszokowaną minę, uśmiechnął się przeproszająco. – Ćwiczę, muszę się jakoś przestawić. Ciotka to ciotka, rodziny się nie wybiera, przecież nie mogę powiedzieć kumpłom, że się ze starą babą przyjaźnię!

– Ty! – wyszczała wściekle. – Możesz im mówić, że się nawet ze starym diablem przyjaźnisz, ale mnie w to nie mieszaj, ja z debilami się nie zaprzyjaźniam, choć czasem się zadaję. Ech... życie! – dodała filozoficznie, chcąc go wkurzyć.

Potem jednak zrezygnowała.

Wsiadła na motocykl za nim i od razu pożałowała. Od czasu kiedy ostatnio odbyła taką podróż, minęło co najmniej trzydzieści lat. Trochę się od tamtej pory nauczyła o życiu, a także o polskich drogach, pijanych kierowcach i służbie zdrowia, dlatego była trochę przestraszona.

Kiedy ruszali spod domu, przestraszyła się jeszcze bardziej. Na ścieżce przy furtce zobaczyła Luśkę.

– Zaczekaj, chyba zaraz wracam! – krzyknęła do niej przez ryk motoru.

Ciotka w kasku siedząca za jakimś facetem na motocyklu? To Luśce pasowało do ciotki i nie pasowało zarazem. Z jednej strony ciotka była dość przewidywalna, z drugiej było ją stać na każdą ekstrawagancję, nie, nie finansową, bo jednak aż tak zamożna nie była, ale nie przejmowała się nikim i niczym.

Nie należała do ludzi, którzy robią wszystko, żeby ktoś ich polubił i przez te swoje starania tracą nie tylko przyjaciół, ale i szacunek dla samych siebie.

Ona nikim się nie przejmowała. Robiła, co chciała, miała pewne swoje wewnętrzne ograniczenia, które przekraczała tylko wtedy, kiedy ktoś jej czegoś zabraniał, ale tak zazwyczaj była po prostu tylko irytująca.

Kiedy już wszyscy wyszli z biblioteki, dyrektorka dostała napadu wyrzutów sumienia.

– O Boże, co ja zrobiłam, co myśmy zrobiły? – jęknęła do jednej ze swoich podwładnych, Róży Naneckiej, łapiąc ją za nieistniejące klapy od bluzki tak, że aż jej rozpruła rękaw. – Róża, myśmy ją skazały na więzienie, tę biedną Mariannę!

– Jaka tam ona biedna, pani dyrektor, rękaw mi się pruje, pani puści. – Róża poprawiła z godnością swoją naderwaną szatę. – Przecież to wariatka. Od kiedy mąż ją zostawił, zachowuje się jak jakaś cnotka niewydymka.

– Taka ryba?

– Nie, ryba to rozdymka, a niewydymka to taka, co to... No, powinna faceta sobie znaleźć, a nie szaleć po bibliotekach z nożem. To na pewno przyjemniejsze i mniej niebezpieczne dla otoczenia!

– No nie szalała i tylko po jednej. – Dyrektorka stanęła w obronie Marianny.

– A gdzie tam po jednej? W filii robiła to samo. Podobno jeździła też do powiatowej. To wariatka.

– No ale chyba nie zabiła tej dziewczuchy?

– A kto ją tam wie? Sama pani widziała. Trzy książki w trzy tygodnie i ta w łazience to cztery. Mogło jej odwalić? Mogło! – odpowiedziała sama sobie.

– No tak, teraz tyle się tych erotyków wydaje, co druga książka to facet z klatą.

– Z klatą? – zdziwiła się Róża.

– Z klatą na okładce, to już wiadomo, że seks i te rzeczy, a niektóre to prawdziwe pornusy, ech...

Dyrektorka westchnęła nad stanem czytelnictwa. Ogólnie wszyscy nad stanem czytelnictwa wdychali, wdychają i będą wdychać, bo jest to coś, co się zmienia. Kiedyś nie wypadało czytać *Trędowatej*, wkładało się ją w okładki podręczników, żeby mama nie widziała, że czyta się książki dla kucharek, potem kryminały to był wstyd tak wielki, że wkładało się je w okładki książek naukowych, żeby się nie wydało, że ma się spaczony gust, następnie ukrywało się okładki erotyków, a wszystko to, żeby inni ludzie...

– I myślisz, że ona od tego? I że mogła?

Róża wzruszyła ramionami.

– Od tego, nie od tego, ale mogła. Jak przyłapała męża z tą jakąś, to jakoś jej się porobiło, podobno właśnie to wszystko była wina książki. Pożyczyła koleżance Greya, te pięćdziesiąt twarzy czy coś i ona przyniosła ją oddać, a tam był ten mąż i zaczęli czytać razem, niby dla zgrywu, a w chwilę później ich omtała szał pożądania. I posypało się! Nie było co zbierać!

– Co się posypało?

– Ano jej małżeństwo. A teściowa, teraz już była, to powiedziała, że to wina Marianny, bo święństwo do domu przywlokła. No więc ona teraz to wcale nie szaleje, ona ratuje innym małżeństwa. Ona to wcale taka wariatka nie jest, tylko hopla ma.

– A taki hopel to jako poczytalność się liczy czy nie? Bo jak nic zabiła tę Karolinę.

– Z hoplem to nie mam pojęcia, ale w tej piwnicy to już przegięła, pewnie schowała się tam przed policją. Ja to nie uwierzę, że zleciała, bo co by w krzakach robiła? Neeee, ja tam myślę, że specjalnie to rozkopała i wlaźła, ale jak te koty ją dorwały, to zaczęła krzyczeć i dlatego ją znaleźliśmy. Bo tak po prawdzie to ona serio się nadaje. Noże, fiksum dyr dum na punkcie seksu i książek, no a ta Karolina przecież, no jakby... Rozumie pani? Ona walczyła z książkami porno, a ta pisała, więc to mogło być to, mtyw jak się patrzy.

– Ale dlaczego tę środkową?

– Może ją znała? Może coś wiedziała? A może przypadek? Wcale jej nie dźgała, tylko rzuciła nożem? I wtedy przez przypadek padło na środkową? Zawołała, odwróciły się, rzuciła i ciach, Karolina padła.

– Ale tamte nie mówiły, że ktoś je wołał!

– Bo to teraz powiedzą? Może im też to było na rękę? Nie zawsze wszystko się mówi policji, w każdym razie nie od razu, a wie pani, że niby tak nikt nic nie wie, ale Paraciejowa to przecież ją znała. Cała awantura z tym była, bo się jej syn w Karolinie kochał, a dziewczucha go nie chciała. Chłopak małego rozumu dostał, nawet maturę dla niej zrobił, na studia poszedł, na pedagogikę, aż się Paraciejowej mąż wściekał, bo on chciał chłopaka do swojego warsztatu wyszkolić na mechanika, a tu nici, podobno w rurkach zaczął chodzić i włosy mył trzy razy w tygodniu. No i przepadło. Był chłop, nie ma chłopca!

– No ale...

– No co? Syna im spaskudziła! Zamiast porządnie, jak ojciec, jako mechanik ciężkie pieniądze zarabiać, to on w szkole będzie uczył. Tak że ten, ona też mogła.

Kiedy tak wszyscy w zaciszach swoich domów i umysłów rozważali zbrodnię, nagle wszystkim przyszło, że praktycznie może nie każdy mógł, ale każdy mógł chcieć.

Była to zbrodnia szczególna, niejako elitarna i romantyczna, ona pisarka, on nóż rzeźnicki, miejsce: biblioteka. To nawet jeszcze lepsze, niż gdyby była artystką, bo artyści teraz różni, nie każdy jest prawdziwy, mówi się artysta nawet o dobrym fryzjerze czy cukierniku, a pisarz to pisarz, elitarny zawód.

A miasteczko zwyczajne, niewielkie, zaściankowe dość, spokojne jak mucha w burszynie. Tu każdy każdego znał, nie tak jak na wsi, że osobiście, ale choć z plotek.

Tu wystarczyło, że ktoś powie:

– To córka tego, co to był synem tamtej, no wiesz, co to pracowała w piekarni u tego...

– A już wiem.

I niby żadnych informacji nie udzielono, ale plotkarska mapa zadziałała natychmiast.

I nawet jak ktoś kogoś nie znał osobiście ani z plotek, bo był stanowczo mało rozplotkowany, to i tak po kilku zdaniach wiedział, o kogo chodzi i co z tym się wiąże.

Karolina dotychczas była ledwie punkcikiem na takiej mapie, a teraz stała się wielką czarną kropką.

Wszyscy o niej mówili. I myśleli. I zastanawiali się, kto ją zabił, dlaczego i dlaczego tam.

To musiało coś znaczyć.

* * *

Pęd powietrza zawrócił Eleonorze w głowie, kask ją uwierał, było jej niewygodnie i nagle pomyślała, że jest durną babą, a osiłek ją zamorduje i jej ciało zostawi w krzakach. Do tych przemyśleń natychmiast dopasowała wszystkie możliwe fakty.

Przecież on robił wszystko, żeby ją zamordować!

Tylko ona dotychczas tego jakoś nie dostrzegła, ale teraz zobaczyła to nadzwyczaj wyraźnie – zamorduje ją i podrzuci jej ciało krokodylom, choć z braku krokodyli (a brakowało ich w okolicy) porzuci gdzieś w krzakach.

Pewnie chciał zrobić to na miejscu, w domu, ale pomyślał, że transport żywego ciała w odróżnieniu od transportu zwłok będzie wygodniejszy.

Nie wiedziała, dlaczego miałby ją zamordować, ale było to możliwe.

Nawet to wino, które zostało na stole.

Będzie świadczyło na niekorzyść Eleonory.

Jak Luśka wpadnie do domu i zobaczy, to od razu wszyscy pomyślą, że raczyła się z kimś, upiła, pojechała i doszło do wypadku.

Olśniło ją.

– Wypadek! Chcesz spowodować wypadek i mnie zabić?! – zawołała, ale niewiele usłyszał, choć nie jechali szybko.

Motor pyrkotał na nocnej dróżce i trochę się krztusił.

– Co pani mówi?

– Wypadek – powtórzyła.

– Tam w bibliotece? Ale jak? To nie mógł być wypadek, kto w bibliotece rzuca nożami, to nie cyrk, chyba?

– Nie tam, tu, na drodze...

– Tu nie? Jakby ją przenieśli – odpowiedział właściwie swoim myślom – ale nie, niemożliwe!

Motocykl zatrzymał się w dość ciemnej, zakrzaczanej alejce na tyłach murów obronnych, a właściwie tego, co z nich zostało. Mury obronne w mieście istniały w bardzo rozczłonkowanej formie, pozostały z nich ledwie trzy fragmenty, ten, o którym mowa, tkwił w samym środku miasta, niedaleko galerii handlowej z jednej strony, a biblioteki z drugiej.

– No, dojechaliśmy. Pani zsia... Ciotka, zsiada! – rozkazał Makaron, starając się zapamiętać, jak powinien się do niej zwracać.

Następnie ustabilizował motocykl i gestem zachęcił Eleonorę, by poszła za nim. Weszli w ciemną bramę. Pozbawiona wypadku samochodowego Eleonora zdecydowała, że pewnie chłopak zechce zabić ją w bramie, ale ciekawość jednak zwyciężyła. Makaron zapukał w jakieś drewniane, półokrągłe od góry drzwi. Ktoś wyjrzał przez prowizoryczny, nieco więzienny wizjer i zostali wpuszczeni.

Kłęby papierosowego dymu, dziki wrzask muzyki, ledwie żywa żarówka i czterech rozwalonych na siedziskach z byle czego osiłek z tatuażami sprawiło, że Eleonora zaczęła kasłać, żeby ukryć zaskoczenie. W końcu to by źle o niej świadczyło.

Ona nie powinna być niczym zaskoczona.

– To moi kumple – oznajmił Makaron, wskazując siedzących na podłodze, na różnych sprzętach du-
żych ludzi, którzy o czymś zawzięcie dyskutowali, przekrzykując jazgot muzyki.

Trzeźwi nie byli. – A to ciotka Norka – przedstawił ją kolegom.

Na chwilę zapadła cisza.

– Poważnie? Ciotka Norka? Nie mówiłeś, że masz znajomości w telewizji! – zawołał jeden z więk-
szych.

– Nie ciotka Norka, tylko ciotka Norka – sprostował Makaron, ale w sumie nic nie wytłumaczył.

– Nie kogo, co, tylko kto, co! – warknęła ciotka. – Deklinacja!

– Tfu, jakaś choroba zakaźna? Tak?

– Nie! Zresztą – Makaron pokręcił głową – widzi pani, znaczy, widzisz ciotka? Debile! I o to chodzi
z tym fałszywym alibi. Oni mi je dali. – Wymówił to tak, jakby alibi było czymś zgniłym i śmierdzącym.

– No to nie rozumiem, po co prosiłeś? – Eleonora od razu przystąpiła do dedukcji w swoim stylu.

– Nie prosiłem, dali sami z siebie! Nieproszeni, jak przyszedł ten policjant, posterunkowy! – Wściekł
się i poczerwieniał. Tamci wyglądali na zadowolonych.

– No, pytał, gdzie Makaron był. To wszyscy powiedzieli, że tu, o tutaj, tylko się wysrać wyszedł.

– Teraz pani, Jezus, ciotka rozumie? Takie alibi jest gorsze od ospy, nawet tej, cholera, malpiej. Prze-
cież to dosłownie znaczy, że mogłem ją zabić!

Miał rację, bo to miejsce było oddalone od biblioteki o rzut beretem, nawet mniej, właściwie znajdow-
wało się po drugiej stronie uliczki. Wejść tam, zadźgać? To by zabrało najwyżej pięć minut.

– Ale dlaczego to zrobili?

– Bo my jesteśmy jak bracia, pani Norkowa! Jak prawdziwi bracia, my za Makaronem to we wrzątek
byśmy skoczyli i nie damy jakiemuś szmaciarzowi go po posterunkach włóczyć i rozwlekać.

– Nie jestem Norkowa...

– No dobra, pani ciotko Norkówna! Lepiej? A my jak?

– Jak to jak. Wiecie, co robicie?

– No... – odburknął jeden z leżących. – A nazwiska masz?

– Już daję. – Makaron wyjął z kieszeni kartkę i podał jednemu z nich. – No, do roboty! I co ja mam te-
raz zrobić? – Odwrócił się do Eleonory i wydał jęk skrzywdzonego osiłka niebezpiecznie zbliżający się
tonem do pisku.

– Podać to prawdziwe alibi? Podobno masz?

– Mam, ale nie mogę podać, a co do tego, no to i tak będzie, że kręcę. Nikt nie uwierzy, że to nie był
mój pomysł, tylko tych cudaków. Tak to jest mieć kumpli debili, ale oni to jeszcze, gdyby nie Pijawka,
w ogóle bym się nie przejmował, ale ta kretynka mnie tam widziała.

– Naprawdę?

– Nie, na żarty. – Skrzywił się. – No jasne, że naprawdę. Byłem tam, ale tylko na początku, a potem
mnie nie było, a potem... OK, jestem usrany po samą szyję, ale ja jej nie zabiłem!

– Ty, czekaj, a może Luśka coś pomoże? – zasugerowała zaafierowanym głosem Eleonora. – Jest poli-
cjantką. To moja siostrzenica.

Makaron popatrzył na Eleonorę z pewną dozą nadziei, ale po chwili westchnął z rezygnacją.

– Jest normalna?

Eleonora wzruszyła ramionami, jakby to nie miało znaczenia.

– Chodźmy stąd, tu nic nie wymyślimy – nie odpowiedziała na pytanie.

– Czyli nie jest. – Makaron sam sobie odpowiedział. – Szlag!

Eleonora, wychodząc, jeszcze raz popatrzyła na kolegów Makarona. Wizualnie pasowali, ale intelek-
tualnie raczej nie. Jej osiłek był w miarę rozsądny, czytał książki i się mył, co zauważyła, siedząc z nim

na motocyklu. Nie cuchnął z bliska, jego koledzy cuchnęli z daleka.

Zauważyła jednak, że jest między nimi spora zażyłość.

– Ty mi powiedz, Makaron, dlaczego ty się z tymi mętami zadajesz, przecież to debile?! – zapytała, rzykując, że z zemsty zrzuci ją z siodełka albo rozjedzie, albo jedno i drugie.

– Ja też według pani jestem debilem. Sama pani mówiła!

– No ale... Nie, no, nie tak, oni są debilami o wiele bardziej, a ty ich traktujesz jak kumpli!

– To moi pracownicy!

– Jakim cudem?! Kto zatrudniłby takich...

– No tak – przerwał jej – debili? Otóż do tego, do czego ich zatrudniam, są idealni.

– Ale co to jest?

– To specjalna firma ochroniarska. Ochroniają ludzi.

– Czym, do cholery? Smrodem czy wyzywami? Przecież chyba broni nikt im do ręki nie daje, na liść boską?!

Luśka usiadła na schodku i zastanawiała się, jak długo ma czekać na ciotkę i czy w ogóle czekać. Oczywiście zadzwoniła do niej, ale telefon nie odpowiadał.

Nie mogła wiedzieć, że ciotka na swoją motocyklową wyprawę z osiłkiem pojechała bez torebki.

W ogóle motocyklowa wyprawa ciotki nie za bardzo jej się spodobała, ale Luśka nie zamierzała ciotki wychowywać, w każdym razie nie teraz, kiedy jej pomoc była jej przydatna. Swoje uwagi w stylu „w twoim wieku” albo „na twoim miejscu” kiedyś oczywiście zastosuje, ale kiedyś, kiedy będzie pewna, że jej nie zaszkodzi.

Marietta i Kaśka siedziały w mieszkaniu tej ostatniej i zapijały przerażenie.

Początkowo wcale ich nie dopadło, potem trochę potarmosiło, a w końcu usiadło im na ramionach jak niewidoczny ciężar i sprawiło, że zaczęły bać się własnego cienia, wszystkich innych też.

Nawet cień draceny sprawił, że Marietta wrzasnęła na półpiętrze – tak że przestraszyła rodziców Kaśki.

Odprowadzone do domu przez posterunkowego Miziołka i zapewnione, że mogą dzwonić, kiedy tylko chcą, wyjęły zapas alkoholu, który był przeznaczony na imprezę po spotkaniu autorskim, jak najbardziej radosną, a stał się czymś, czym zalewały całkiem sporego robaka lęku.

Zresztą policja bardzo się ucieszyła, że będą nocować w domu jednorodzinny, w którym będą tylko rodzice, bo trochę się jednak obawiano. Nie było przecież wiadomo, jak podejść do całej sprawy, a tak dziewczyny nie będą same, ale nie będą też w tłumie.

Będą z kimś, kto im nie będzie przeszkadzał, ale gdyby co, zareaguje i nie zechce ich zamordować, prawdopodobnie nie zechce, a właściwie najprawdopodobniej nie zechce. No był to w pewnym sensie los na loterii, bo mordercą mógł być praktycznie każdy, ale musieli komuś zaufać, rodzice stanowili całkiem dobrą opcję, a policjanci, niestety, nie mogli dziewczyn wsadzić do więzienia, gdzie może byłoby bezpieczne, ale niezbyt szczęśliwe.

Przez dłuższy czas piły w milczeniu, jakby na wyścigi.

– Czy myślisz, że to może być związane z Karoliną? – wybełkotała w końcu Kaśka, nalewając sobie kolejnego drinka.

– Ale co? To morderstwo?

– Noooo!

– Wiesz, to ją zamordowano, jeżeli ci umknęło, czyli to coś musi być z nią związane. Musi, nie ma wyjścia.

– Wiem, ale może chodziło nie tyle o nią, ile o którąś z nas albo o wszystkie, a nie o Karolinę konkretnie.

– Strasz mnie, strasz, jeżeli chcesz, żebym padła na zawał, to dawaj więcej takich rewelacji.

– Nie, źle mnie zrozumiałaś, chodzi o to, że to morderstwo nie dotyczyło tylko Karoliny, ale nas wszystkich. Książki, nie wiem, seksu, erotyki...

– Co to zmienia?

– To, że albo dotyczyło Karoliny i tyle, już, załatwione, bo na przykład Karolina ukradła komuś coś i teraz już sprawa się skończy, albo nie dotyczyło jej i teraz ktoś zechce zamordować właśnie nas.

– Aaaaaaa – wrzasnęła Marietta na widok osoby, która właśnie weszła do pokoju. – Ratuuuunku!

Waza z zupą wypadła z rąk stojącej w drzwiach kobiety i z chłupotem rozprysła się na podłodze. Matka Kaśki jęknęła przestraszona.

– O przepraszam. Chciałam wam przynieść coś ciepłego do jedzenia.

– Skradałaś się z tą zupą?!

– Nie, nie skradałam się, zwariowałaś?!

Dziewczyny były przerażone, a rozmowa o morderstwie jeszcze je nakręcała, niestety rozmawiać o czym innym nie były w stanie.

– A myślisz, że Karolina miała coś na sumieniu? – Marietta bardzo chciała usłyszeć odpowiedź pozytywną, bo to by oznaczało, że one są bezpieczne. Ktoś ją zabił, bo miał powód, ale ich nie zabije.

– W sumie miała.

– Jesssss, jak dobrze! – ucieszyła się Marietta. – Wiesz, co to było?

– Tak jakby wiem, mówiła mi, ale nie wiem, czy powinnam ci mówić, bo to może być... wiesz...

– Nie, nie wiem! Mów!

– Bo ona te sceny seksu to od kogoś podkładała. Potem przerabiała i tak jakby to był niby plagiat, tu jedno zdanie, tam dwa, zmieniała tylko miecze na buławy i takie inne, ale gdyby ktoś się czepił, to może byłby problem. Nie kopiowała na żywcą, ale gdyby to ktoś poskrobał, toby się wydało.

Marietta zmartwiała.

– No to mamy przesrane! Teraz to na pewno i nas wymordują jak kurczaki! Przecież to jest horror!

– Ale dlaczego mają nas wymordować? Ty też coś kopiowałaś? – zdziwiła się Kaśka.

– Nie, ja nie, ale to nie ma znaczenia, chodzi o to, że to jest związane z naszą książką! – Marietta przelęczyła tryb katastroficzny na najwyższe obroty. – Musimy o tym komuś powiedzieć!

Kaśka skrzywiła się i pociągnęła drinka.

– Nie możemy – powiedziała z zaciętą miną. – Nie możemy, bo wtedy wyjdzie, że nasza książka to plagiat, nie będą patrzeć, że tylko te sceny, powiedzą, że plagiat, i stracimy wszystko! Rozumiesz? Zero sprzedaży, zero nowych umów, nikt już nam nic nie wyda. Nic, nigdy! – dodała twardo.

– Jak nas wymordują, to też raczej nic nie wydamy! – Marietta była chyba bardziej praktyczna w swoim katastrofizmie. – Poza tym jaki plagiat? Przecież książka to nie są same sceny seksu?

– Zgłupiałaś? Trzy czwarte to seks, ale nie wszystko skopiowała, część podobno pisała z własnego doświadczenia, inną wymyśliła albo pozmiała tak, żeby nie było jak się zorientować.

– Wiedziałaś? – Marietta popatrzyła z naganą na koleżankę.

– Nie, nie od razu. Powiedziała mi kilka dni temu, chyba się przestraszyła tego naszego ujawnienia. Bo tak to nikt nie kojarzył autorki, ale po spotkaniu każdy poznałby nasze nazwiska i każda z nas miała się przyznać do swojej działki i tu powstał problem, ale i tak nie mogliśmy nic zrobić. Oszukała nas. To proste.

Pomysł, że ktoś ją zabił z tego powodu, był trochę nielogiczny. Obie wiedziały, że plagiaty lepiej się wygrywa pozwem niż nożem, bo przy pozwie można zarobić, albo i wypłynąć, bo takie sprawy w literackim światku się śledzi, tak więc ktoś, kogo splagiatowano, może jakoś na tym plagiacie zyskać, natomiast na morderstwie traci wolność, możliwe, że na całe lata, ale różni są ludzie.

– Tak czy tak, trzeba o tym komuś powiedzieć.

– No ale jak? Żeby się z tego jakiś smród nie zrobił.

– Powiedzieć komuś, kto... czy ja wiem? Ma doświadczenie ze smrodem? Potrafi walczyć? I skopać tyłek?

– Sorka? Masz na myśli sorkę?!

Przeżalone spojrzenie koleżanki powiedziało jej wszystko.

Luśka siedziała na schodkach i zastanawiała się nad ciotką. Ludzie jej nie kochali, ale szanowali ją jak najbardziej. Z nauczycielami tak właśnie bywa. Tych miłych, dobrych, lekką ręką rozdających dobre oceny i niereagujących przesadnie na szósty pogrzeb tej samej, w dodatku wciąż żywej, babci się lubi, czasami nawet kocha, a tych wymagających, wrednych, zmuszających do pracy i myślenia się nienawidzi. Wszystko to się zmienia, kiedy opuszcza się szkołę. Zaczyna się doceniać tych twardych i wymagających, a lekceważyć tych z sercem na dłoni. Bo po co komu ten kawałek flaka? W szkole było może w porządku, ale po jej ukończeniu nagle każdy sobie uświadamia, że no może było miło, ale ułamki dziesiątne jakoś nie weszły, a byłyby teraz bardzo przydatne, o, i procenty też, a budowa układu pokarmowego nie zaszkodziłaby wcale a wcale. Tak to jest, kiedy człowiek sobie uświadomi, że piątka piątce nierówna, a czasami i trójka okazuje się mocniejsza niż bile szóstka.

Ciotka była w szkole paskudnie wymagająca, dlatego nikt jej nie lubił, ba, wszyscy się jej bali, a jak przegięła, to wielu chciało ją zamordować.

Powiadomiła na przykład żywą, choć chowaną po raz szósty, babcię, że siódmego pogrzebu jej nie zaliczy. Babcia się wściekła, wnuczek dostał szlaban, nienawiść wnuczka wylała się na Eleonorę, ale po latach Lipski został naprawdę dobrym policjantem, bo się zabrał do nauki, więc teraz Eleonorę szanował, choć daleko mu było do miłości.

I tak było z co mądrzejszymi.

Istnieli oczywiście i głupszy, ale po odejściu ze szkoły ujawniali się rzadko, bo nie mieli się czym za bardzo chwalić.

Kiedy Luśka, tak zamyślona, siedziała na schodku, usłyszała jakieś dziwne rozmowy.

– Ale teraz? – zapytała zaszokowana Kaśka. – Jesteśmy podpite!

– To i lepiej, po trzeźwemu się nie odważymy. – Marietta zaczęła się zbierać do wyjścia. – Nie mamy daleko.

– Ale ja się jej nadal boję! – Kaśka wciąż siedziała niezdecydowana.

– Ja też, ale mordercy boję się o wiele bardziej. Idziemy!

W ten sposób rozpoczęły nowy rozdział śledztwa.

– Wyrzuci nas – usłyszała Luśka, wciąż siedząca na schodach przed domem ciotki.

– Wszystko mi jedno, ale coś musimy zrobić. Ona przynajmniej będzie wiedziała co.

– Wydrze na nas japę! Zobaczysz.

– Japa nawet wydarta nie zabija! A ja chcę żyć!

Luśka zorientowała się, kto z takim entuzjazmem idzie po ścieżce, i zawołała z poziomu schodów:

– Co wy tu robicie, do jasnej cholery?! Miałyście w domu siedzieć!

– Aaaaaaaa!!! – wrzasnęły obie, ale ich krzyk utonął w dźwięku motoru, który właśnie zbliżał się do podjazdu.

– Co to za cholerny komitet powitalny? – warknęła Eleonora, zsiadając, choć wcale nie była niezadowolona. Lubiła działać, a działanie w pojedynkę nie było tak przyjemne jak dowodzenie, dowodzić zaś kochała.

– Wchodźcie, no już! – rozkazała. – Wy dwie też – dodała na widok zaskoczonych min dziewcząt, które jeszcze niedawno widziała w bibliotece tuż obok zwłok Karoliny. – No co się certolicie, już!

Makary zauważył, że butelka, którą zostawił na stole, może nie wystarczyć dla wszystkich, ale o tej porze już wszelkie dyskonty były zamknięte.

– Co on tu robi? – Luśka wskazała palcem na Makarego. – Ciociu! Ja jestem policjantką, nie mogę pić alkoholu z podejrzanym!

– To zrób sobie herbaty – odpowiedziała ciotka. Pousadzała wszystkich dookoła stołu. Miejsca ledwie starczyło, bo domek nie był specjalnie obszerny, a i liczba miejsc do siedzenia skromna. Eleonora nie miewała wielu przyjaciół, a ci, którzy ją odwiedzali, bardzo chętnie załatwiali swoje sprawy przed domem, a nie w jaskini lwa.

– Sorko... – jęknęła Marietta. – Czy on nas zabije?! – zaczęła, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Czy ja wyglądam jak wróżka? – odparła Eleonora z krzywym uśmiechem. – To raczej wy powinnyście wiedzieć, czy jest coś, za co ktoś chce was zaabić.

– Mówiłam ci, ona nas zeżre i wypluje – jęknęła Kaśka.

– Na waszym miejscu nie liczyłabym na to. Aż takie smacznie nie jesteście! – Eleonora chyba nie miała ochoty na miłe słówka, ale dziewczyny po prostu zmartwiały.

– No ale... – Marietta nie wiedziała, co zrobić. – Ja nie chcę dać się zaabić.

– Dobre podejście – pochwaliła ją Eleonora.

– Idealne, szczególnie w obecności podejrzanego – warknęła Luśka.

– Makaron ma alibi! – odpowiedziała ciotka.

– Jakie?

– Jeszcze nie wiem, ale wiem, że ma.

– No daj się debilowi ogłupić, może jeszcze na wnuczka się załap. Ciociu, przecież to przestępca.

– Taa, jasne, dla ciebie to każdy jest przestępca, nie masz dowodów, więc nie feruj wyroków, lepiej powiedz, po co tu przyszłaś.

Luśka mimo wszystko kazała sobie nalać odrobinę wina. Była bardzo zdeterminowana.

– Muszę to rozwiązać, potrzebny mi sukces – ogłosiła po chwili, jakby odniesienie sukcesu było tak samo łatwe do zdobycia jak musztarda grillowa.

Ciotka popatrzyła na Makarego pytającym wzrokiem, a ten bez zbędnych tłumaczeń stwierdził:

– Ktoś musi wykazać moją niewinność, bo jak to zostawię policji, to marny mój los. Mam plany życiowe, do których nie pasuje krój więziennego mundurka.

Marietta i Kaśka nawet nie czekały na zaproszenie.

– Bo Karolina spiraciła ten seks i teraz ktoś nas zabije! – wykrzyknęła Marietta.

– Przecież to wstyd tak dostać nożem z powodu seksu...

Nagle zawiązał się spontaniczny komitet, albo lepiej oddział kryminalny, w każdym razie wszystkie tu obecne osoby chciały sprawę rozwiązać, każda z innych przyczyn, ale bywają sytuacje, kiedy nie jest ważne dlaczego, a ważne jest co.

Eleonora właściwie też miała swoje powody, by w tym uczestniczyć. Odczuwała głód kontaktów z młodymi ludźmi, przez całe trzy tygodnie w sanatorium była poddawana działaniu starych miazmatów w wielu różnych formach i wydaniach, od narzekania na choroby, po marudzenie na pogodę, przez „nie wypada”, „nie w moim wieku”, „za moich czasów”, „kiedyś to była porządna młodzież” nagle zauważyła, że trochę jej się to udziela. Dlatego natychmiast zaangażowała się w to śledztwo, licząc, że trochę ją psychicznie odmłodzi.

Nie miała kompleksów na punkcie zmarszczek, tuszy czy ciuchów, ale umysł chroniła na wszelkie sposoby.

– Nurtują mnie trzy rzeczy – powiedziała, widząc, że wszyscy zainteresowani są naprawdę zainteresowani i że może na nich liczyć. – Po pierwsze dlaczego Karolina? Po drugie dlaczego w bibliotece? I po trzecie dlaczego podczas spotkania?

Były to pytania bardzo istotne, Eleonora już nad nimi trochę myślała. Karolina jako cel nie była najłatwiejsza, więc gdyby chodziło o wszystkie trzy, to morderca nie zaczynałby od niej. Biblioteka to nie jest miejsce odosobnione, kręci się w niej zawsze sporo ludzi, mordowanie kogoś właśnie tam to szalone ryzyko, ktoś je podjął, dlaczego? I wreszcie, podczas spotkania? Dlaczego akurat podczas spotkania?

To było najdziwniejsze.

– Morderca załatwił ofiarę niemal na oczach tłumu – powiedziała na głos w nadziei, że każdy z tu obecnych ma podobne przemyślenia – jakby zależało mu na tym, żeby wszyscy to zobaczyli albo żeby ktoś to zobaczył.

– Ja wiem, sorko, co sorka myślała o moim „domniemanym intelekcie” – wyrwała się Kaśka – ale jeżeli wszyscy, to i ktoś, a ktoś to przecież wszyscy? Nie, każdy tak czy tak by się dowiedział.

– Masz rację – pocieszyła Kaśkę – ale niestety jej nie masz – tu pognębiła dziewczynę. – Chciałabym wiedzieć, czy ten przekaz był przeznaczony do jakiejś grupy osób, powiedzmy: „każdy, kto splagiatuje mi choć literkę, marnie skończy” na przykład z powodu plagiatu, czy: „patrz, konkretna osoba, co się dzieje z kimś, kto mi podpada”.

– Albo to zupełnie coś innego – stwierdził Makary. – Może ona coś wiedziała? Widziała? Była świadkiem jakiegoś przestępstwa, przekrętu?

– Ale co wtedy z całą tą otoczką? Spotkaniem autorskim?

– To z tym spotkaniem to albo coś takiego, że tylko tam miał dostęp do Karoliny, albo tylko tam była osoba, której chciał przekazać to mordercze przesłanie.

Luśka się nie odzywała przez chwilę, bo tym, czego chciała najbardziej, były informacje, ale chciała je zdobywać, a nie się nimi dzielić, ale po dłuższej chwili i ona włączyła się do rozważań.

– A jeżeli to jednak sprawa was wszystkich?

– To dlaczego zabił właśnie Karolinę? Była w najgorszym miejscu, dostęp był kiepski. Po co by tak ryzykował?

– A może on tym nożem rzucał i po prostu trafił w nią? Powiedzmy niechący w nią, ale było mu wszystko jedno, w którą z nich trafił?

– Tylko skąd by rzucał? Bo ani z widowni, ani ze sceny. No i co z tymi kotami?

– A właśnie, koty. – Luśka zwróciła się do Marietty. – Mówiłaś coś o kocie.

– Takie miałam wrażenie, ale sama widziałeś, tam był cały tabun kotów. No i koty nie zabijają ludzi nożami.

– Ludzi niczym nie zabijają.

– O, tego bym nie powiedziała, ja tam słyszałam, że mają zęby jadowe – westchnęła Kaśka, ale widok miny Eleonory sprawił, że zamilkła.

– I dzieci duszą w kołyskach, naprawdę, na przykład taki kot zobaczy u niemowlaka grdykę, pomyśli, że to mysz, i zagryzie dzieciaka – oświadczyła Marietta.

– Grdyka u niemowlaka? Poważnie? To niemowlak musiałby być po dojrzwaniu, skąd wylokłaś takie bzdury? – Eleonora nie miała litości. – Czy w waszej książce też są takie cuda? Muszę przeczytać!

I to oświadczenie sprawiło, że obie dziewczyny splonęły rumieńcem. Gdyby to przeczytali rodzice, byłoby ciężko, ale jakoś by przeżyły, ale sorka?! Ta sorka?!

– O Boże! Proszę tego nie czytać! – jęknęła Kaśka. – Ja panią błagam, sorko! Nieee. Tam są same buławy, miecze i te no, ogniste pochwy...

– Lubię historię i sceny batalistyczne – powiedziała Eleonora i dałyby sobie głowę uciąć, że uśmiechnęła się złośliwie. – Tak czy tak trzeba to przeczytać, może coś tam jest, imiona, nazwiska?

– Wymyślone.

– Miasto?

– No nasze, bo chcieliśmy nagrodę prezydenta dostać za promocję miasta, ale w sumie wszystko inne wymyślone. Zdarzenia, zresztą tam nie ma żadnych zdarzeń. Normalnie seks.

Jak prezydent miasta miałby cieszyć się z promocji seksem, nikt nie próbował zgadnąć, tym bardziej że Zastronie to nie było żadne Las Vegas, a prezydent uchodził za spokojnego domatora z żoną i dziećmi, i tę żonę miał jedną. Nawet o kochankach się nie słyszało.

– Dobra, Makaron. Ty przeczytasz to książczysko – rozkazała Eleonora, uwalniając dziewczyny od potwornego wstydu. Makaron się wściekł, ale Eleonora miała swoje powody, żeby tak zdecydować. Sama czytać nie chciała, w jej wieku erotyczne sny nie były jej do niczego potrzebne, ale Makaron znał miasto i ludzi z różnych środowisk, mogło być tak, że coś mu się z kimś lub z czymś skojarzy. Luśka, stwierdziła, i tak będzie musiała przeczytać, bo z pewnością tę lekturę zada jej aspirant Lipski, a więc będą mogli porównać wrażenia.

Kaśka wyjęła z torby książkę i podała ją Makaremu. Nosila egzemplarz przy sobie. Jak prawie każdy debiutant, szczęśliwy, że udało mu się książkę wydać, chciała się nią chwalić, a przecież dopiero od dzisiaj mogła.

Kiedy jednak ją podawała Makaronowi, była tak zawstydzona, że aż zrobiła się czerwona na twarzy. Duma walczyła w niej ze wstydem.

Eleonora to zauważyła.

– Powiedźcie mi, po co było tę książkę pisać, skoro wydajecie się nią zawstydzone?

– A bo to sorka zrozumie? – prychnęła Marietta.

– Czyżbyś sugerowała, że jestem głupia? – warknęła Eleonora, czym natychmiast sprawiła, że rumieńce wstydu zniknęły i ustąpiły miejsca prawie trupiej białości.

Eleonora umiała nazywać rzeczy po imieniu i nie lubiła się certolić.

– Nie, sorko, to nie to! Chcieliśmy zostać pisarkami! Pokazać, że jesteśmy zdolne i mądre...

– Aha... Nie przeczytawszy żadnej książki, o ile pamiętam?

Dziewczyny zamilkły.

– Dobra, rozdzielamy zadania – oświadczyła Eleonora, widząc, że wino się skończyło i jest późno. – Makaron, na jutro masz przeczytać tę ich książkę, Kaśka i Marietta, macie plik z tekstem?

– Jasne, a sorka wie, co to plik? – zdziwiła się, i to wcale nie złośliwie. Nie pozwoliłaby sobie na żarty ze smoka zionącego ogniem, tym bardziej że ten smok mógł uratować jej życie.

– Sorka wie nawet, co to ognista buława. – Roześmiała się szczerze, ale niebyt przyjemnie Eleonora. – Wypiszecie z pliku wszystkie nazwiska i do każdego co, kto, jak...

– Nie rozumiem.

– No na przykład Antoni Kowalski, syn faceta, który naprawia pralki.

– Nikt nie naprawia pralek u nas w książce.

– Wszystko mi jedno, może gwałcić jeżozwierza, choć to raczej bolesne dla gwałciciela. Jak już będziecie miały nazwiska (mogą być jeszcze bez opisów), wyślijcie je Luśce. Luśka, posprawdzaś, czy

w mieście ktoś taki jest wśród notabli czy tutejszych sztych. Poszukasz zbieżności. Spotkamy się rano. Dacie radę?

– Damy, jasne, że damy, a ciocia co będzie robić?

– A ciocia się wyśpi, bo jutro czeka nas sporo roboty, a poza tym dowódca musi być wypoczęty. Makaron, odprowadź dziewczyny z Lušką. Trzeba na nie uważać. Wy dwie, wracajcie do domu, żadnego łażenia po mieście, i do roboty! Musimy od czegoś zacząć. Nawet jeżeli to tylko gwalciciel jeżozwierza.

– Ty mi powiedz, co to za firma ochroniarska, która zatrudnia debili?

– Moja!

– Ty nie bądź taki mądry – zezłościła się Eleonora. – Mów!

– Oj, to proste. Są takie firmy, które pożyczają ludziom pieniądze na chwilę. Czasami chwila się przeciąga i te firmy wysyłają do ich domów ludzi po prośbie.

– Zastraszyciele i komornicy?

– Nie, jeszcze nie, najpierw idą zwykli pracownicy firmy prosić o zwrot. Ludzie, którzy pożyczają, nie mają zdolności kredytowej ani niczego pod zastaw. Ich miejsca zamieszkania to raczej slumsy niż wille z basenem, więc miejsca, w które pracownicy się udają, są często niezbyt miłe, dlatego biorą swoich ludzi do ochrony. Oni bardzo do takiego otoczenia pasują.

– To działa?

– Nie wiem, ale odkąd zacząłem pracować, nie zaginął żaden pracownik parbanku.

– A wcześniej?

– Bywało. Niektórzy znikali z pieniędzmi, więc to korzyść i dla pracowników, i dla ich firm. A ja zarabiam i zanim pani coś wymyśli – zwrócił się do Eleonory – tak, płacę podatki.

Marianna nie mogła sobie znaleźć miejsca, bo wszystko się strasznie skomplikowało. Po pierwsze nagle stała się podejrzana o morderstwo. Niby ją wypuszczono, ale obstawiała, że jest obserwowana.

Makary zrobił sobie mocnej kawy i zabrał się do czytania książki, którą przeczytać poleciła mu Eleonora. Nie był to ten rodzaj literatury, który czytał zazwyczaj, ale też nie spodziewał się jakichś większych trudności.

Ponieważ czytanie nie miało być li tylko przyjemnością, ale też i w jakimś sensie dochodzeniem, zapatrzył się w karteczki samoprzylepne do zaznaczania miejsc, które wydawałyby mu się jakoś istotne.

Nie wiedział, czego szuka, ale w lot pojął intencje Eleonory. Książka może i nie była powieścią z kluczem, być może jednak dziewczyny niechcący, umieszczając powieść w tym konkretnym mieście, nastąpiły komuś na odcisk. Niechcący. Może użyły jakiegoś nazwiska, nieświadomie napisały coś złego? Powtórzyły jakąś niewinną plotkę?

Książka nie była kryminałem, tylko romansem, więc może mimowolnie komuś podpadły właśnie w tej kwestii?

Jakieś nieujawnione zdrady małżeńskie?

Domniemane nieślubne potomstwo?

Niestandardowe upodobania seksualne?

Teraz dopiero zrozumiał sens redakcyjnych adnotacji zawiadamiających czytelnika, że „wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe, a książka jest wytworem fantazji autora”.

Tyle że nie każdy brał to dosłownie, a byli i tacy, którzy widząc taki tekst, natychmiast włączali radar spiskowy, bo skoro tak piszą, to musi być coś na rzeczy.

Tylko co takiego mogło się znajdować w książce, co mogłoby być dla kogoś aż takim zagrożeniem, że ten ktoś zabił autorkę, poprawka: jedną z autorek?

I skąd wiedział, że Lamila Luxia to one?

Może nie były aż tak dyskretne, jak mówiły i rozpowiadały na prawo i lewo, przede wszystkim rodzinie i bliskim znajomym... Ktoś książkę przeczytał...

Jeżeli Eleonora miała rację co do roli powieści w tym morderstwie, to mordercą powinien być ktoś z bardzo bliskiego otoczenia – mąż, ojciec, koleżanka z gimnazjum...

A dlaczego zamordował na spotkaniu? Gdyby książka okazała się przyczyną, to morderca powinien zrobić wszystko, żeby nie została zauważona, a mordując autorkę na spotkaniu autorskim, mówił wszystkim: „czytajcie, czytajcie, to mordercze dzieło”.

Takie coś robi reklamę, w paskudny sposób, ale jednak ją robi.

Zaczął czytać.

Przerwał czytanie. Znów przeczytał ten sam fragment.

Poszedł do kuchni i napił się wody z kranu, wrócił do lektury. Przerwał, poszedł do łazienki i umył sobie twarz.

Znów wrócił do tego samego fragmentu.

Zakrył oczy.

– Jezusie Maryjo – jęknął.

Max wy dobył ze spodni swój rozgrzany do czerwoności miecz rozkoszy i wbił się w nią do szpiku kości.

– Zabił ją? – zdziwił się Makary, po chwili jednak okazało się, że dziewczyna żyje.

Mój ukochany, rznij, rąb, wal.

– Napierdalaj? – zapytał sam siebie.

Niech drzazgi lecą.

– Czyli chodzi o drewno do kominka? – znowu zapytał sam siebie. Takie teksty powtarzały się co i rusz.

W następnym kawałku było trochę opisów.

Dziewczyna była piękna, miała zwinną kibitkę i włosy łonowe zaplecione w warkocz.

– O Matko Boska!

Płomiennie berło zawisło nad nią w rozkroku.

– Czyli miało nogi? Berło? No w sumie miało – westchnął. – Jeszcze okaże się, że miało głowę?

Wielki drąg męskiej chwały z wytatuowanymi dookoła maczugi zębami rekina zaatakował jej miąsz.

Ktoś sobie wytatuował zęby rekina na penisie? Nawet w powieści to bolało. Odczuł ten ból niemal fizycznie.

Berło ze swoją głowicą zbliżyło się do jej ogrodu rozkoszy.

Makary jęknął. Wyobraził sobie całkiem poważną zagładę nuklearną.

Następny fragment zjeżył mu włosy na głowie, na nogach też.

Złapał ją za szyjkę macicy i pocałował.

– O matko jedyna!

Eleonora zasnęła snem sprawiedliwego (a raczej sprawiedliwej) i nawet nie słyszała, jak Makaron wrócił do siebie do domu.

Noc była cicha jak większość nocy w takich niedużych miasteczkach, które nocą po prostu wymierają, bo właściwie nie ma tu żadnych nocnych atrakcji poza ewentualnymi kłótniami sąsiadów albo lokalnymi, sąsiedzkimi imprezami. Żadnych nocnych klubów, kasyn, festynów czy koncertów.

Sam Makaron wydawał się na tyle spacyfikowany, że liczyła na spokój i ciszę jak najbardziej nocną, a jednak się przeliczyła.

– O ja pierdole! Co to jest? – usłyszała krzyk zza ściany i otworzyła oko. Po chwili znów je przymknęła.

Nie minęła minuta, a zza ściany dobiegł ją chichot.

Usiadła na łóżku.

– O matko jedyna!

Ogród rozkoszy płonął, a jej lechtaczka skręcała się jak wąż na wietrze, syczała jak żywa pochodnia.

– Ja pierdole, syczała? Lechtaczka?! – wrzasnęła, nie zważając na ciszę nocy. – Ktoś powinien wezwać strażaków – dodał już ciszej.

Eleonora wstała i owinięta szlafrokiem, nie zdając sobie sprawy z tego, co dzieje się w mieszkaniu obok, wyszła na taras i przeszła pod drzwi balkonowe Makarego.

Ten zaś, nie zdając sobie sprawy z jej obecności, przewrócił stronę.

Wyginając pod kątem prostym jej szyję zawyla z rozkoszy.

– O kurwa, nie przeżyła! – zawołał ucieszony. – Przecież to musiało być morderstwo!

– Co ty tam tak wrzeszczysz? – Eleonora weszła nieproszona. – Znalazłeś coś?

– Nie, to znaczy tak...

– Coś istotnego?

– Całe mnóstwo głupot, ale ja dopiero czytam drugą scenę seksu. Zresztą tu chyba nic innego nie ma.

– I jak?

– Jak dla mnie bez sensu. Zupełnie nie rozumiem, kto im to wydał. Toż to chyba nawet redakcji nie miało.

– Czyli jako przyczyna morderstwa nie pasuje?

– W tej chwili podejrzany byłby każdy polonista, z pewnością też jakiś nauczyciel biologii, no i chyba facet od głowic nuklearnych. W każdym razie, gdyby to przeczytali, to mieliby powody, ale nie sądzę, żeby przetrwali pierwsze strony, za to całe tabuny napalonych nastolatków pewnie będą to uważać za najpiękniejszą powieść świata.

Marietta i Kaśka zasypiały nad plikiem, ale walczyły z sennością i kacem. Wlewały w siebie hektolitry kawy i drobiazgowo sprawdzały tekst książki w poszukiwaniu nazwisk bohaterów, które to nazwiska mogły kojarzyć się z kimś stąd. Z kimś, kto ewentualnie jakoś by odebrał ich książkę osobiście i z tego powodu zaczął mordować.

Po pewnym czasie odesłały znalezione nazwiska na adres Łuśki.

– Myślisz, że to coś z książką?

– A z czym? – To pytanie było wynikiem zmęczenia, żadnej z nich już się naprawdę nic nie chciało.

– Może Karolina się w coś w mieszała?

Nagle zdały sobie sprawę, że prawie wcale się nie znają. Owszem, rozmawiały ze sobą na Facebooku, niekiedy spotykały się na kawę, ostatnio obgadywały kwestie wydawnicze, ale prywatnie, tak naprawdę prywatnie, nie za bardzo się znały. Może istniało coś, co towarzyszyło im od czasów szkoły, jakaś znajomość albo nawet sentyment, ale swoich obecnych, współczesnych problemów ze sobą nie omawiały.

Padły ofiarą „jateżyzmu”, czyli wciąż powtarzanego „ja też”, i to bardziej. Dotyczyło to zarówno sukcesów, jak i kłopotów, ale skrętnie omijało porażki, bo do nich nikt jakoś nie lubi się przyznawać.

Można było rozmawiać o pazurkach i fryzjerze, o hemoroidach i zaparciach, ale nie o kłopotach małżeńskich.

Żadna z nich mężatką nie była, nie miały też jak na razie dzieci, ale przecież kłopoty miawały. Marietta nie dogadywała się z rodzicami na poziomie wręcz podstawowym. Oni wciąż rzucali w nią tekstami typu „dopóki mieszkasz pod moim dachem” i to dotyczyło wszystkiego, nawet makijażu, nie mówiąc już o mini czy tatuażach. Byli dość wiekowi i wciąż żądali, żeby znalazła sobie pracę i się wyprwadziła, to wtedy będzie mogła robić, co zechce.

Rodzice Kaśki aż tacy staroświeccy nie byli, ale też zamęczali ją o wnuki. Tak bardzo ich chcieli, że dopuszczali nawet nieślubne.

Kaśka za to dzieci w ogóle nie planowała. Po prostu nie i koniec, miała ochotę jak najdłużej być młoda i szczęśliwa, a dzieci postarzają.

Karolina była z nich najbardziej tajemnicza, najmniej mówiła o sobie, najmniej się skarżyła na rodziców, to znaczy nie skarżyła się w ogóle, przewracała oczami i to wystarczało.

– O patrz, Adam Nowak, zapisałaś go w tym mailu? – ziewnęła Marietta.

– Oczywiście, że tak, wszystkich wyszukałam, a on jakiś ważny jest?

– Nie, ale to przecież imię i nazwisko brata Karoliny.

– Zabił ją brat?

– Nie, no coś ty? Po co miałby ją zabijać? Ale sama widzisz, niejednemu psu Burek, człowiek sobie wymyśla coś, jakieś imię do książki, a potem okazuje się, że tak samo nazywa się psychopatyczny sąsiad.

– Masz psychopatycznego sąsiada? – Mariettę zatkało z przerażenia.

– Mogę mieć – odparła Kaśka ledwie żywym głosem. – Skąd mam wiedzieć? Może sobie mieszka o, w tamtym domu, patrz. – Pokazała na okno, za którym widać było ciemną sylwetkę starej poniemieckiej willi, w której oknach paliły się światła. – I wiesz, tak z wierzchu jest sympatyczny, miły i w ogóle, a w swojej piwnicy trzyma zwłoki albo porwanych ludzi?

– Albo narkotyki. – Marietta pokiwała głową z uznaniem.

– Nie no, to zbyt niepewne, w środku miasta? Narkotyki? Raczej nie, ale jakieś szkielety?

Westchnęły obie.

Skanowały tekst pliku prawie niewidzącymi oczyma.

– O patrz, ale to jest naprawdę fajny fragment – wskazała Kaśka. – *Wpatrywała się w okno domu naprzeciw. Jego fasada migotała zielenią jakiegoś neonu. Błękitne światło telewizora drżało i migotało, rzucając cienie sylwetek na zasłony. Gdzieś za tymi gęstymi tiulowymi zasłonami te cienie walczyły. Jeden nich wyjął podłużny przedmiot, błysnął nóż.* Ty to napisałaś?

Marietta wzruszyła ramionami.

– Nie, no ja przecież dialogi robiłam.

– To w takim razie Karolina?

– Co ty? Tu nie ma seksu! Ty musiałaś to napisać.

Kaśka przeczytała jeszcze raz. Nie, ona tego nie napisała. Była tego niemalże pewna, niemalże, bo nie pamiętała wszystkiego tak za bardzo dokładnie, ale scena nie pasowała do niczego. Owszem, była fajna, lekko mroczna, ciekawa, taka literacka, ale Kaśka była pewna, że nie wyszła od niej.

– To mogła być robota Karoliny. Ta scena jest z podtekstem erotycznym, bo wiesz, ten nóż to może nie być nóż. Ty wiesz, no buława.

– Te męskie buławy nie błyszczą w ciemnościach. – Marietta pokręciła głową. – To może być to. Ta scena. Karolina widziała zbrodnię i to zapisała. I ktoś to przeczytał i dlatego ją zabił! Mamy to! – zawołała uradowana, ale po chwili zmartwiała.

Było to odkrycie z rodzaju tych niesamowitych, które wprawiają człowieka w osłupienie, ale nie tylko tego inteligentnego, jak to internetowe znalezisko: „a co, jeżeli to rośliny hodują ludzi tylko po to, żeby wytwarzali im dwutlenek węgla?”.

– O ile ten ktoś wiedział, że to ona, bo jeżeli nie wiedział, to my obie też mamy przechlapane. Musimy to komuś pokazać.

We fragmencie było bardzo mało danych. Dom naprzeciw, tiulowe firanki, czy tam zasłony, i telewizor. Tylko tyle. Firanki i telewizor – zupełny bezsens, a naprzeciw czego, nikt nie wiedział, chyba że ten, kto pisał. I oczywiście morderca, który być może miał na sumieniu jeszcze jakąś inną zbrodnię, tę za firankami, przy telewizorze, ale był następny kłopot. Kiedy? Kiedy do tego doszło? Trzy dni temu czy trzy lata, to znaczy trzy dni nie, bo książka była na rynku od kilku miesięcy, ale i tak to było ciekawe, a do tego po raz kolejny gdzie? W Zastroniu czy gdzieś indziej?

Czy Karolina umiałaby odpowiedzieć na te pytania i dlatego ją zabito? Ale jeżeli tak, to po co to wpiśwała do książki? Szantażowała kogoś? Wpisała przypadkiem? Wkleiła z czegoś i nie zauważyła?

– Normalna kretynka! – stwierdziła Kaśka z kanapy.

– Całkowita – potwierdziła Marietta z łóżka, które wstawiono do salonu, żeby obie mogły spać razem, bo zwyczajnie się bały.

Eleonora usiadła na brzegu fotela i ziewnęła.

– No dawaj, co jeszcze?

– Mów do mnie wasza penissencjo! – odpowiedział Makary.

– Ale ja do ciebie? Oszalałeś?

– Nie, nie do mnie, to z książki, jakiś facet każe tak mówić do siebie jednej lasce.

– A coś związanego z ludźmi stąd?

– No nie, raczej nie. To znaczy... Bo wie pani, kto to jest Morawiec?

– Nie. Zupełnie.

– To taki facet, który trzęsie tutejszym światkiem przestępczym.

– I występuje w tej książce?

– Nie, ale występuje w niej Aga Morawiec, to ta dziewczyna, co się tak gzi z głównym bohaterem, a ten tutejszy Morawiec ma żonę, Agnieszkę, a Agnieszka czasami bywa Agą. Może o to chodzi?

– A jakie podobieństwa? – Eleonora uchwyciła się pomysłowi, że za morderstwem stoi zazdrosny mafioso.

– Żadnych. No i ta Aga jest panną, ale jak ktoś jest świrem, to wszystko mu się kojarzy, tylko że jeszcze nie przeczytałem wszystkiego. Nie wiem, czy do rana dam radę, bo tu jest tyle cudów, że nie wytrzymam.

– No to przeczytajmy razem.

– Pani tego nie wytrzyma.

– No co ty?! Ja jestem twarda! Dam radę! Seks to tylko seks! – zapewniła go.

– Widzi pani, tu nie chodzi o to, że to jest seks, tu chodzi o to, że to jest grafomania!

Mimo to zaczął czytać.

– Głowę włożyła pod prysznic, resztę zostawiła w łazience, a ręce położyła na półce.

– Opisuje rozczłonkowanie zwłok?

– Nie, tu w ogóle jest tak kulawo. To chyba jakiś opis. Bo dalej jest tak: *wszystko stanęło w ogniu, a jego charczący głos zawył z rozkoszy.*

– Psst, psst, Makaron – zawołał ktoś na tarasie i oboje aż podskoczyli.

– On tak zawył? Psst??

– Nie to mój koleś, Lutek – wyjaśnił Makaron, po czym zwrócił się do tego kogoś na tarasie: – Czego ci trzeba, Lutek? Wódki nie mam, ale wejdź.

Lutek, duży, a nawet bardzo duży mężczyzna, którego Eleonora widziała wcześniej w tajnej kryjówce, wszedł niepewnie do salonu. To jego niepewne wejście było bardzo spektakularne, bo drobił kroczki, jakby nie mógł za bardzo chodzić.

– Co ci się stało?

– Byś mie dał coś na... No na coś? Bo się jakoś... No ten.

– Mów! – zażądał ostro Makaron, bo wyraźnie widział, że chłop się czegoś obawia albo wstydzi.

– Ale pani Norkowa.

– Mów, nie certol się, czego chcesz?

– Jaja sobie odgniotłem na motorze, masz może jakiś krem?

Makary nie miał.

– Idź tam do mnie do łazienki, jest krem na półce, nivea, niebieski, posmaruj się, ale porządnie, powinno pomóc, niczego innego niestety nie mam! – powiedziała Eleonora, chcąc pomóc, a przy okazji załatwić sprawę i pozbyć się intruza, bo książka zaczynała ją intrygować. Może nie jako dzieło literackie, ale jako dzieło.

Nie chciało jej się iść do siebie i przynosić, a i była też kwestia aplikacji – po co miał łączyć w tę i z powrotem? Wolą, żeby poszedł tam, posmarował się i tyle.

Kiedy wyszedł, Eleonora westchnęła.

– Mam nadzieję, że niczego nie ukradnie.

– Nie, on nie, ale jeżeli ma pani wódkę, to może wychlać.

Eleonora wódkę miała, to znaczy miała barek pełen ciekawych alkoholowych wyrobów, bo należała do pokolenia, które takimi barkami chętnie się chwaliło, kupowało różne eksperymentalne trunki niejako na pokaz, a nie do picia, ale takie trunki są dość drogie.

– A żmijówkę?

– On by i karaluchówkę wychlał, byleby miała procenty.

Po chwili zastanowienia poszli więc oboje sprawdzić, co się dzieje z Lutkiem i czy nie zaczyna on buszować w barku.

Był jednak nadal w łazience.

Wyszedł po kilku minutach, trzymając w ręku tubę, naprawdę porządnie wyciśniętą do końca. Chyba bardzo chciał sobie ulżyć.

– Lutek – Makary postanowił zbagatelizować problem – ty mi lepiej powiedz, co się stało, bo jakoś nie rozumiem.

– Bo uciekaliśmy. Wpadł ten gruby Morawiec, krzyczał, że żona go zdradza, i pytał, czy ktoś coś, no z nią kombinował, ale nikt nie kombinował, bo on tę żonę ma taką naprawdę brzydką, zresztą tylko głupi by próbował, ale wkurzony był, to uciekliśmy i ja z Miciem na motorze uciekałem, no i odgniotłem sobie. Może nie odpadną? – zapytał na koniec z nadzieją w głosie.

Eleonora popatrzyła na tę tubę, którą trzymał w dłoni, po czym odwróciła się do Lutka i zapewniła go trochę zakłopotana:

– Na pewno ci nie odpadną, gwarantuję. – Westchnęła, zaszokowana widokiem. – Niebieski miał być, słyszałeś, co mówiłam?

– No i jest niebieski. – Wzruszył ramionami.

Tuba rzeczywiście była biało-niebieska.

– Nivea. Miałeś wziąć krem Nivea.

– Ale ja nie mogę odczytać, się mi wzrok pierdoli, a okularów przecież nie będę nosił, sama pani mówiła, niebieska, i że niczego innego tam pani nie ma!

Eleonora ucieszyła się, że nie miała w łazience udrażniacza do rur, ale ich, na szczęście, nie produkuje w tubkach.

– A soczewki kontaktowe? – zapytała po chwili.

– Nie będę sobie w oczach grzebał! – odburknął.

– Wygląda na to, że on jest ślepy jak kret na wiosnę. – Odwróciła się do Makarego. – Nie chcę cię martwić, ale on sobie jaja klejem do protez posmarował.

– Jego jaja mnie nie interesują. Słyszałaś, ciotka? – Zgrabnie przeszedł na tę formę wypowiedzi, która była przeznaczona dla jego kolegów. – Morawiec. Żona. Aga Morawiec z książki. Rozumiesz? Może to być to.

– Czy on książki czyta? – Eleonora nie była specjalnie przekonana.

– Nie, no co pani, pani Norkowa, oczywiście, że nie, to porządny facet! – Lutek zachwalał mafiosa, z którego powodu odgniół sobie przyrodzenie, z wielkim entuzjazmem.

– Czyli to nie on.

– A czy ten krem powinien aż tak się mazać? – mruknął Lutek. – Zlepił mi wszystko i ciamcze.

– Ciamcze czy ciamka?

– A czy to nie wszystko jedno? Pani słucha. – Postąpił dwa kroki do przodu.

Rzeczywiście przy każdym ruchu jego krocze wydawało odgłos ciamkania.

Postanowił iść do domu (niestety iść) i coś z tym zrobić, bo gdyby któryś z kolegów to usłyszał, to przezwisko „Lutek ciamkający chuj” z pewnością by do niego przylgnęło na lata.

Marianna nie mogła zasnąć. Wypiła trzy filiżanki melisy i dwa litry ciepłego mleka, ale to nic nie dało.

Wierciła się w łóżku i naprawdę nie wiedziała, co robić. Była przerażona bardziej niż kiedykolwiek, a na dodatek w domu jeszcze nie było jej brata; zawsze wracał późno, a Mariannie było właściwie wszystko jedno kiedy, ale dziś naprawdę by się przydał.

Mógłby ją trochę uspokoić.

Przecież tylko on wiedział wszystko i nie wiedział zupełnie nic, był jednym z tych ludzi, którzy „idą przez życie przebojem, nie przejmując się niczym”, ale jeżeli po takim sformułowaniu zazwyczaj człowiek sobie wyobraża przystojnego drania z kasą i samochodem, który łamie niewieście serca i jest w tym dobry oraz zdaje sobie sprawę, że wszystkim nie da rady dogodzić, więc dogadza tylko sobie, to jednak nie, to nie będzie on, do tego sformułowania pasuje jeszcze facet, który śpi, gdzie go urwany film zastanie, robi, co chce, bo wszystko mu zwisa, a za wszystkie jego przebojowe działania muszą płacić najbliżsi, a on się nie przejmuje zupełnie tym, że nie ma pracy, wypadł mu ząb trzonowy, zaraził się jakimś syfem (oby nie syfem) i nie wie, czy Kaśka nie jest przypadkiem w ciąży, ale może to nie jego.

Lutek oczywiście swoją siostrę znał, wszystko wiedział, wszystko rozumiał, ale naprawdę miał to gdzieś.

I nie chodziło tylko o jej stosunek do książek pornograficznych.

Choć Marianna była zdania, że pisanie takich książek powinno być karane, no ale może jednak nie aż tak dosłownie jak w przypadku Karoliny.

Wypisywała w internecie odezwy w stylu „pornografia powinna być karana śmiercią”, ale nie to miała oczywiście na myśli. To znaczy już teraz nie... No nie tak do końca, bo w tej sytuacji nie tylko o to chodziło.

Było jeszcze coś, do czego, miała nadzieję, nikt się nie dogrzebie.

Niby wszyscy wiedzieli wszystko, ale przecież nie aż tak dokładnie, a poza tym może policjanci się nie połapiają.

Tyle że teraz, po tym, co się stało, jeżeli połączą to, co robiła w bibliotece, z jej obecnością w piwnicy i wpisami internetowymi, to na sto procent uznają ją za morderczynię.

Oby tylko z tego powodu, bo może i poszlaki są, ale motywu, takiego jednoznacznego, brak.

* * *

Luśka przeczytała maila od autorek i przyjrzała się wszystkim wypisanym w nim nazwiskom.

Było kilka takich, które pasowały do ludzi zamieszkałych w Zastroniu, ale pasowały właściwie nie tylko do nich, bo podobnych znalazła w wyszukiwarce setki, a czasami i tysiące.

Uważała, że to śledztwo powinno iść dwutorowo. Książka, owszem, mogła być przydatna, ale wcale nie musiała.

Same pytania dlaczego w bibliotece, czy na spotkaniu, też do niej przemawiały połowicznie, bo dlaczego nie? Gdyby ktoś ją zamordował w aptece, też każdy by się zastanawiał dlaczego tam.

Nie mówiąc już o wesołym miasteczku, cyrku czy cmentarzu. Każde z tych miejsc ma nośny charakter i może wiele sugerować, ale wcale nie musi.

Co do samej ofiary, tak czy tak niedługo miało się okazać, czy była pierwszą, czy nawet jedyną, więc nie było sensu gdybać. Jeżeli bowiem ktoś zabił ją jako pierwszą z wielu (docelowo chyba trzech), to zaraz zginie ktoś jeszcze, bo morderca musi zagęścić ruchy. Nie ma zbyt wiele czasu.

O ile oczywiste było, że następne mogą być jej dwie pornograficzne koleżanki, to jednak Luśka zastanawiała się, co by było, gdyby, powiedzmy, znaleziono zwłoki na przykład innej dziewczyny o imieniu Karolina albo kogoś o nazwisku Nowak, albo kasjerki z supermarketu.

Zdawała sobie sprawę, że rozciąganie tego typu przyszlóściowych podejrzeń jest bez sensu, bo po jednym ataku naprawdę nie wiadomo, co mordercy siedzi w głowie.

Postanowiła zabrać się do sprawy po swojemu, owszem, będzie współdziałać z ciotką, bo to dobrze jej zrobi, ale będzie też szukać na własną rękę. Może po prostu Karolina Nowak była osobą, która komuś tak zalazła za skórę, że zdecydował się ją zabić. Dlatego że była zwyczajnie sobą, Karoliną, a nie pi-sarką czy propagatorką pornografii. Kiedy sformułowanie „propagatorka pornografii” powtórzyła sobie w myślach dwa razy, nagle ją olśniło, że przecież powinna porozmawiać z Marianną. Co prawda, do policji oficjalnie jej poglądy na pornografię jeszcze nie dotarły, ale każdy, kto śledził miejski portal internetowy, na którym teraz kłębili się domorośli detektywi wyjaśniający zagadkę śmierci Karoliny, wiedział, jak ona do pornografii podchodzi, bo się ze swoimi poglądami nie kryła.

A raczej nie tylko się nie kryła – pluła jadem na wszystko, co cokolwiek odsłaniało, wylewała wiadra pomoy na kogo się dało, a raz to nawet wdała się w awanturę internetową z rękoczymami (w realu) z dziewczyną, której kazała „zakryć dupę, bo mini jest tak krótka, że jej cycyki dołem wyłażą”.

Jednak to mogło nie mieć wiele wspólnego z pornografią, a o wiele więcej z pisarstwem.

Mówi się, że trudno być prorokiem we własnym kraju, a w małym mieście jeszcze gorzej, dlatego mało kto ceni ludzi, którzy jakoś usiłują się z takiego „własnego podwórka” wyrwać i zrobić coś innego niż pozostali.

Na przykład pisać książki. Jakiekolwiek. Wszystkie będą złe, pornografia, wiadomo, ale to dotyczy też kryminałów. „Co za głupoty i do tego krwawe, do kuchni, obiad gotować!” Powieść obyczajowa też się w grajdółkowym centrum wszechświata nie obroni. „Co za głupoty i do tego łzawe, do ogródka, brukiew pielicz!” A fantasy? Hmmm, „co za głupoty i do tego kosmici, niech spada na księżyc!”.

Powieści autorek (autorów mniej) z sąsiedztwa wzbudzają niechęć i mnóstwo kontrowersji, bo za bardzo się wyróżniają.

No bo kto im pozwolił, co? Jakim prawem śmieli? No i w ogóle, to nie lepiej siedzieć cicho? No ale żeby na przykład jeszcze pisać o seksie? I to w Zastroniu?

Na portalu kilka osób sugerowało, że właściwie całkiem dobrze się stało i to morderstwo jest czynem godnym pochwały, bo takie rzeczy to syf. Ktoś inny się pieklił, że nazwa miasta to jak znak towarowy i że szargać świętości się nie godzi, choć nikt nigdy nie uznał miasta za święte.

Ktoś stwierdził, że to na pewno jej kochanek, bo któż by inny miał ją zabijać, albo matka, ze wstydu, albo prezydent miasta (był w prawie dla dobra miasta oczywiście), albo sataniści, albo żona brata, bo szargała nazwisko.

Luśka postanowiła sobie założyć specjalne tajne konto i od jutra zacząć włączać się w tę dyskusję niejako anonimowo, bo jako policjantka nie miała większych szans na nieskrępowane rozmowy.

No tak, od jutra, ale ona była tak nabuzowana chęcią działania, że chciała coś zrobić już teraz.

Było późno, a właściwie możliwe, że nawet wcześniej, ale całkiem jeszcze ciemno.

Zdecydowała się podejść do domu Marianny, tej od kotów, i choć obejrzeć, co tam się dzieje. Pragnęła spektakularnych odkryć, cieni z nożami w stylu Psychozy Hitchcocka, odgłosów masakry, wycia, może i nawet szaleńczego, w każdym razie czegoś, co sprawiłby, że wkroczyłyby tam i z dumą wyrecytowała: „Litwo, ojczyzno moja...”, tfu! Nie to. „Jest pani aresztowana, wszystko... co pani powie...”

Marzenia ściętej głowy.

Gdyby choć okazało się, że w mieszkaniu pali się światło, to może by zapukała.

Rozmowy (bez aresztowań) też się przydają.

Trzy filiżanki melisy i dwa litry ciepłego mleka nasennie nie podziałały, ale moczopędnie jak najbardziej, toteż Marianna odprawiała co pół godziny pielgrzymki do łazienki.

Strach tak mocno się w niej skumulował, że pozapalała wszystkie światła.

Był to bardzo zły pomysł z punktu widzenia jej spokoju. Światło daje cień, a o ile w nocy, w ciemności, boimy się czegoś, co może się w niej czaić, to przy świetle rozszalała wyobraźnia ma takie możliwości, że zejście na zawał z powodu cienia paprotki na ścianie wcale nie jest niemożliwe.

Dodatkowym kłopotem były cienie w ogrodzie.

Oraz, jeżeli już o tym mowa, odgłosy nocy, a one w zależności od nastroju tego, kto je słyszy, potrafią zmieniać charakter.

Amerykańscy naukowcy odkryli, że odgłosy zmieniają się zależnie od wyobraźni słuchającego. W ramach eksperymentu puszczono jeden i ten sam odgłos kilkorgu ludziom i uzyskano bardzo dziwne rezultaty.

– Seks, seks w kanalizacji – powiedział seksoholik, słysząc nagranie.

– Arnold dusi Petera, oni tak zawsze – powiedziała bez zastanowienia nauczycielka z klas młodszych.

– To musi być zduszony krzyk przerażenia, ktoś ją dźga nożem – powiedział wielokrotny morderca, nie wyjaśniając, jakim cudem krzyk powtarza się z taką regularnością.

– Astmatyk, dusi się, leki trzeba mu podać – zawyrokowała pielęgniarka.

Byli zdziwieni, kiedy dowiedzieli się, że to tylko odgłos gruchania gołębia siedzącego przy kratce wentylacyjnej.

Luśka adres Marianny oczywiście znała i nie bała się chodzić sama nocą, choć nie nosiła przy sobie broni, a jednak jakiś lęk jej towarzyszył. Takie wydarzenia jak niewyjaśnione morderstwo powodują mnóstwo pytań, te wyjaśnione też, ale ważnym aspektem jest to, że jeżeli morderca nie został jeszcze złapany, to gdzieś jest, a jeżeli jest gdzieś, to może być i tuż za twoimi plecami.

Druga sprawa to założenie, że jeżeli ktoś już raz zabił, może zabić ponownie, każdego, a więc i ciebie.

Nawet policjanci nie są wolni od takich myśli, choć potrafią je kontrolować, tyle że nocą, na ulicach wymarłego miasta, w ciemności trudno się kontroluje własne lęki.

* * *

Dziwne odgłosy z ogrodu sprawiły, że Marianna wyszła przed dom uzbrojona w patelnię.

Coś jęczało albo, co bardziej prawdopodobne, mlaskało, z jękiem.

– Ćlaaam, mlask, ćlap... – Przystawało, robiło coś w rodzaju „hrrrrr” i znów powtarzało odgłosy.

Według Marianny nie mogło być człowiekiem, bo odgłosy dochodziły z takiej wysokości, że przywoziliśmy na myśl dużego psa, ewentualnie osła.

No, chyba że to jej brat po wypiciu wracał do domu na czworakach, ale to też pasowało, bo Lutek po wypiciu nie pasował w żadnym calu do określenia „człowiek”.

Stanęła na ścieżce przycajona za krzakiem i wsłuchiwała się w odgłosy nocy. Soczyste ciamkanie nadchodziło od tyłu domu przez rosnące tam krzaki agrestu i od czasu do czasu kłęło oraz, co nie było bez znaczenia, dyszało.

Przekleństwa, ciamkanie i dyszenie skojarzyły się Mariannie z seksem, choć jej w sumie wszystko kojarzyło się z seksem, i to wcale nie dlatego, że była jakaś pobudzona czy rozochociona w tym kierunku, a raczej dlatego, że seks pozbawił ją męża. Jak w tym kawale internetowym, że poróżnił ich seks, i to nie dlatego, że zbyt rzadko go uprawiali, uprawiali go często, ale nie razem. To znaczy on – Marianna była przeciwna seksowi i w małżeństwie, i poza małżeństwem.

Uważała, że jest zły.

Teraz więc odgłosy w połączeniu z nastawieniem wyprodukowały w głowie Marianny podejrzenie.

– Zboczeniec! – wrzasnęła i z rozmachem walnęła patelnię z bekhendu w miejsce, gdzie spodziewała się głowy idącego na czworakach zbira.

Potworny rozblysk bólu przyniósł Lutkowi wiadomość, że przydomek „ciamkający chuj” nie byłby taki najgorszy, teraz pozostanie mu tylko „złamany”.

– Marianka, Marianka, nie bij! – wrzasnął proszącym głosem. – Ja nawet nie jestem narąbany, tylko mi klej jaja wydepilował.

– To dlaczego tak ciamkasz? I czym?

– Jajami!

Marianna nie była przygotowana na takie wyznanie, brat był tylko bratem i jego sprawy intymne rzadko do niej docierały.

– Przestań, przestań natychmiast!

– Kiedy nie mogę, bo mi się jaja ze spodniami skleiły, o ile jeszcze je mam.

Uniknąwszy większej masakry patelnią (aż chciałoby się dodać: mechaniczną, ale była zwyczajna, nawet nie rozgrzana do czerwoności), poszli do domu i dopiero tam Marianna, zerknąwszy w punkt strategiczny brata, zdała sobie sprawę, że jest on o wiele za duży.

– Co ty tam włożyłeś? – zapytała, nie dowierzając oczom. Na mężczyznach za bardzo się nie znała, ale nawet nie patrząc, takie coś by zauważyła, bo wyglądało jak druga głowa, i to spora.

– Spuchłem. Pomóż mi zdjąć spodnie, może to jakoś uratuję.

Niestety zdjęcie spodni było niemożliwe, bo wszystko się sklepiło, włącznie z zamkiem błyskawicznym.

* * *

Luśka dotarła pod dom Marianny, dokładnie w chwili kiedy los jej na to pozwolił, a że los bywa okrutny, ale też przewrotny, zobaczyła dokładnie to, co miała zobaczyć.

Obraz nie był jakoś bardzo czytelny, bo światło z kinkietu oświetlało pomieszczenie dość marnie. Zobaczyła tylko sylwetkę kobiety stojącej z nożem i sylwetkę mężczyzny leżącego na fotelu.

Więcej nie potrzebowała.

Z wrzaskiem wskoczyła w okno tarasowe, rozbijając przy tym sobie, co się dało, bo okno się po prostu otworzyło, a ona wpadła do pokoju w sposób niekontrolowany.

Wszystko, co sobie układała w myślach, zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wroźki Demencji, choć zamajaczyła jej jakaś „Litwa”.

– Pani Marianno, proszę odłożyć nóż! – jęknęła rozkazująco z poziomu podłogi, gdzieś spod kominka.

Znajdująca się obok niej Marianna, pchnięta przez Luśkę całym ciałem, też leżała na podłodze, tyle że z głową w samym kominku.

Nóż utkwił w oparciu fotela.

Lutek dostał czkawki.

– Dlaczego chciała go pani zabić? Napadł panią?

– Ja chciałam go tylko rozebrać.

Skojarzenie noża z rozbieraniem prowadziło do jednej jedynej sytuacji, która w dość makabryczny sposób zamajaczyła przed oczami Luśki.

– Tak na części, w sensie mięśnie? Kości? Nereczki? – Luśce zrobiło się słabo, ale wiedziała, jak to jest. Ojciec się tym czasem zajmował.

– Nie, zwyczajnie ze spodni.

– Nożem?

– Nożem, nożyce do żywoplotu się w nogawce nie mieszczą.

Luśka zobaczyła nożyce oparte o fotel. Lutek czekał w najlepszej.

– Przepraszam, że wam zabawę zepsułam. Ja to po prostu źle zrozumiałam, ale wiem, że ludzie różnie podchodzą do zabaw seksualnych. To ja już pójdę, nie będę wam przeszkadzać.

– Nie! – wrzasnęła Marianna. – Pomoże mi pani! Ja muszę go rozebrać. A ty leż, nie ruszaj się, bo ci tak przywiał, że łeb ci odpadnie.

– Ale coś ty, siostrzyca? Ty mnie lepiej ratuj. Ja przed Morawcem uciekałem, jaja prawie straciłem, a ty mi takie coś? Ratuj, siostra! Ratuj, bo mnie się sikać chce!

– To sikaj, co ja mam do sikania?

– No kiedy nie mogę, to jakoś tak się zasklepiło, że jakby...

– Dasz radę! – stwierdziła Marianna, nieświadoma, że jej brat spróbuje dać radę natychmiast, na jej oczach.

– Oooooj nie mogę! – jęknął.

– A tam, nie świruj.

Nagle wielka plama pojawiła się na spodniach, a z boku, gdzie już zdążyły rozciąć spodnie i slipy, trysnęła całkiem potężny strumień.

– Obrzydliwe! To jest obrzydliwe! Okropne, niech on przestanie! Boże, przecież to syf! – Luśka naprawdę się przejęła.

Marianna podbiegła do brata i z całej siły walnęła go w głowę.

– Aua, mówiłaś, że mam spróbować!

– Jasne, ty taki sam jesteś jak mój były, też mu mówiłam, że ma spróbować, jasne, ale nie z nią, tylko ze mną. Ty miałaś iść do łazienki.

– Wszystko komplikujesz. Co za problem z kim? Co za problem gdzie...

Potem rozcięły spodnie, w rękawiczkach złapały za resztki nogawek.

Pociągnęły.

– Uaaahhhhaaaaaahhaa – zawył z bólu głosem szympansa, podobnym do głosu pijanej nastoletniej dziewczyny.

Pijany był, to fakt, i poczuł, że został pozbawiony męskich atrybutów.

Po wyjściu Lutka Eleonora i Makary wrócili do czytania książki, ale nie dali rady zbyt długo się tym zajmować.

– Koniaczkę? – zaproponowała kobieta. Makary przystał i z wdzięcznością stwierdził, że barek jest nie tylko na pokaz.

– Trzeba sprawdzić, co tam jeszcze jest – powiedział zamyślony Makary.

– W sensie w barku?

– Nie, w książce.

Zaczęli przeglądać dość pobieżnie kolejne strony.

– Nie ma nic. Sam seks. Tyle że jakiś taki dziwny. Akcja osadzona jest w mieszkaniu Agi Morawiec, która co chwila wzywa jakiegoś fachowca, psują jej się wszystkie sprzęty.

– Scenariusz filmu pornograficznego? – Eleonora filmów tego typu nie oglądała, a w każdym razie już dawno tego nie robiła, ale wiedziała coś niecoś na ten temat. Jak każdy.

– Prawie, ale okazuje się, że wciąż przychodzi do niej ten sam fachowiec.

– Naprawia coś?

– Ogólnie to tak, wyznaje jej miłość, naprawia, idą do łóżka, coś się dzieje, na przykład on wspomina byłą dziewczynę albo ona mówi, że nie chce mieć dzieci, kłócą się i on wychodzi obrażony, a ona cierpi, albo ona go wyrzuca, a on cierpi, kochają się, ale zachowują jak dwoje idiotów.

– Czyli żadnych szczytów intelektu?

– Szczyty może i są, ale intelektu brak. O, pani patrzy, to jest szczyt szczytów. *Kapały z niej soki pożądania tak obficie, że zachlapała podłogę, a potem to... Wpatrywała się w okno domu naprzeciw. Jego fasada migotała zielenią jakiegoś neonu. Błękitne światło telewizora drżało i migotało, rzucając cienie sylwetek na zasłony. Gdzieś za tymi gęstymi tiulowymi zasłonami te cienie walczyły. Jeden nich wyjął podłużny przedmiot, błysnął nóż.*

– I to jest tak razem? – Eleonora się bardzo zdziwiła. – Tam jest jakaś zbrodnia?

– No właśnie nie, w każdym razie dotychczas nie było, a książka się kończy. To wygląda tak, jakby zachlapała tę podłogę sokami, zresztą nie wiem, wstała ją umyć albo chlapała na stojąco i zobaczyła zbrodnię. To może być to! – mruknął, choć bez wielkiego entuzjazmu.

– To nie może być to! Zgubiliśmy fachowca od soków, to znaczy nie my, to autorskie trio. Przecież sama z siebie tak nie wy... No, ktoś te soki musiał z niej wydobywać.

– Chyba że się po prostu zsiąkała?

– Nie, bo zaraz potem jest, że ją *wziął od tyłu nachalnie swoją głowicą* (szkoda, że nie jądrową) *w pełnym rozkwicie koloru fuksji...*

– Jeżeli ten rozkwit był koloru fuksji, to facet po prostu zsiniał! Jest coś tam jeszcze?

– Reanimacja! – wrzasnęło w ogródku. – Tfu, miała być reaktywacja!

Do salonu przez taras wparował Lutek.

– Pani da więcej tego kremu do depilacji jajecznej? Sprzedam koleśowi za pół litra, bo mu żona ka-
zała jaja ogolić i o mało ich sobie nie rozharatał brzytwą pradziadka, a ja teraz mam takie gładkie jak
u jakiegoś pieprzonego niemowlaka, będą robić za reklamę, choć Marianka i ta policjantka się teraz
kleją.

– Do ciebie?

– No gdzież, przecież Marianka to siostra, a policjantka to policjantka, do siebie się kleją.

I tak nad ranem dzień po zbrodni Eleonora niechcący odkryła, że Lutek jest bratem Marianny i że
Luśka napastuje podejrzaną. Seksualnie.

Eleonora natychmiast zadzwoniła do siostrzenicy, w jednej ręce trzymając telefon, a drugą dosta-
wiając kieliszek dla Lutka. Teraz mógł się przydać. I kieliszek, i Lutek, bo koniaku jeszcze trochę zo-
stało, a wiadomo: kac wzmaga pragnienie, pragnienie zaś chęć rozmowy.

– Luśka, wiesz, że seks z podejrzaną jest zabroniony? – rzuciła do telefonu, jak tylko dziewczyna ode-
brała.

– Ciociu, wiesz, że ci odwała od tej książki? Jaki seks? Ratowałyśmy tylko jaja faceta, któremu ktoś
klejnoty w jakiś plastyczny gówno wsadził. Jak ciągnęłyśmy, to nas o ścianę rzuciło. Facet uciekł, ale
Marianna teraz ma włosy przyklejone do ściany, a ja do dywanu, a teraz jeszcze ręce do telefonu. Jak
się tego pozbyć? I klaki, wszędzie klaki! One się wiją jak robale!

Józeczek miał wolne, czyli wpadł w małżeńskie sidła. Wolne miał w bibliotece, ale w domu Anita dni
wolnych nie respektowała.

Od rana zaplanowała mu robotę, i to wcale nie taką, przy której dałoby się odpocząć. Miał powiesić
półki, posprzątać garaż, odmalować dolny korytarz i wymienić spłuczkę. To była tylko budowlana gra
wstępna, bo gdyby to zrobił, miał zabrać się do paneli na piętrze.

W międzyczasie, w ramach przerw na papierosa, z których nie korzystał, bo oficjalnie nie palił, miał
podlać ogródek.

On i Anita poznali się ledwie trzy lata wcześniej i dość szybko pobrali, bo Anita chciała mieć dom. Po
przejsiach, czyli dwóch wiarołomnych facetach, Józeczka zaobrączkowała, udomowiła i orała nim jak
tylko się dało w imię wartości rodzinnych oraz domu.

Józeczek w dni wolne od pracy swojej pracy w bibliotece nienawidził trochę mniej niż zazwyczaj, bo
wtedy nienawidził tego ich cholernego domu.

Kupili go niedawno w stanie mniej więcej do remontu, a teraz Anita rękami Józeczka chciała z niego
wyczarować pałac.

I wyczarowywała. W ogóle Anita potrafiła. Była zdolna. Wiedziała jak, gdzie, kiedy i po ile.

Na szczęście tego dnia Józeczek dostał wezwanie na komisariat, gdzie aspirant Lipski postanowił
wypytać go o to, co się działo w bibliotece.

Było to ze strony Lipskiego podejście nieco „od tyłu”, bo nie przesłuchał jeszcze ani dyrektorki, ani
obecnych w tym czasie bibliotekarek, nieobecnych też nie, ani sprzątaczkę Paraciejowej, ale tak właśnie
to zaplanował.

Dyrektorka z pewnością przedstawiłaby mu placówkę jako ideał, nie mogło być inaczej, sama nią
przecież zarządzała, bibliotekarki opisałyby to miejsce jako raj na ziemi, bo albo kochały swoją pracę,
albo po prostu bały się ją stracić, a Paraciejowa jako zbiorowisko brudasów i śmierdzieli, którzy wciąż
przysparzają jej roboty.

Tylko Józeczek mógł powiedzieć coś mniej więcej zbliżonego do prawdy. Nie był z tym miejscem
związany emocjonalnie, choć nienawisć to też coś w rodzaju emocji, ale przynajmniej nie powoduje
bałwochwalczego zachwyty, na którym Lipskiemu wcale nie zależało.

Chciał jakiejś prawdy. Pożądał jej, ale kłopot polegał na tym, że Józeczek jako pracownik techniczny z jednej strony mógł niewiele wiedzieć, z drugiej strony miał uszy, a więc mógł się orientować w plotkach.

Wezwany na posterunek zjawił się z chęcią i radośnie liczył na długie godziny przesłuchania, które uchronią go od roboty.

* * *

Bardzo poranny kac Lutka został odrobinę zaleczony kieliszkiem koniaku, ale to było coś takiego, jakby plastrem usiłować zaleczyć urwaną głowę.

Lutek chciał więcej.

– Ale że ty jesteś bratem Marianny? No wiesz? Nigdy bym nie pomyślała – powiedziała Eleonora głosem pełnym podziwu pomieszanego z niedowierzaniem. Nie wiedziała, co chce uzyskać, więc nie wiedziała, jakie środki zastosować, i dlatego zaczęła od stwierdzenia, które mogło być odczytane jak pochlebstwo albo nagana w zależności od nastroju.

– No, prawda? Mam siostrę wariatkę, nie? Ale jak to się mówi, rodziny się nie wybiera, a poza tym to ona była kiedyś normalna, tylko jak ją chłop rzucił, to jej odjechało – stwierdził i już było wiadomo, jak i o co pytać.

– No nie gadaj, podobno to ona go z domu wyrzuciła! – dorzucił swoje Makary.

– Bo jej się we łbie popaprało. Porządnego chłopca z domu wyrzucił jak śmiecia jakiegoś?

– Zdradzał ją – dołożyła swoje Eleonora.

– A który nie zdradza? Chłop to chłop! Mogła udawać, że nie widzi. Przecież baby jej do domu rzadko sprowadzał, na boku sobie je obrabiał, a ta zaraz wielkie halo i co? Została sama, a jak została sama, to jeszcze bardziej jej odwalilo. Ona mogła ją nawet zabić.

– Kogo?

– No, tę jego kochankę.

– Na szczęście tego nie zrobiła! – podsumowała Eleonora, która choć może i feministką za bardzo nie była, to jednak uważała, że niektórzy faceci nie myślą tym, co jest do tego przeznaczone. – I dlaczego miałyby się jeszcze skazywać na więzienie, na wyrzuty sumienia? A gdyby już, to jego mogłaby zabić, to by było o wiele lepsze!

– No ale jego tam nie było!

– Gdzie?! – krzyknęli oboje, Makary zaszokowany, Eleonora tym bardziej.

– No przecież w bibliotece, a gdzie? – Lutek chlapanął sobie i się rozochocił, nie było sensu mu mówić, że koniaku nie pije się tak jak wódki.

– A kochanka była?

– No a jak? Przecież, że była! – odparł pewnym głosem, rozglądając się za następną dawką życiodajnego trunku.

Eleonora szybko dołała koniaku Lutkowi i przez chwilę zastanawiała się, co zrobić z resztą, schować czy wykończyć? Jeżeli schowa, to Lutek, świadomy, że jest coś jeszcze do wypicia, nigdy stąd nie wyjdzie, a jeżeli wykończy, trzeba będzie być może wyjąć kolejną butelkę, skoro sytuacja będzie tego wymagać, a wtedy – patrz punkt pierwszy.

– Ale gdzie? Na widowni?

– No jak? Gdzie? Z tyłu była, przecież została zamordowana!

– Karolina była kochanką męża Marianny?! – Makary i Eleonora postawili oczy w ślup.

– Nie jedyną i nie ostatnio, ale była, bo to z nią Marianka go złapała we własnym łóżku, no i odwalilo jej, że zdrada, że koleżanka, że książki erotyczne, bo oni taką jakąś razem podobno czytali jak wy... – Wskazał głową dzieło leżące na stole.

– Nawet o tym nie wspominaj! – warknęła Eleonora.

– No to jednak ta twoja siostra ma przerąbane – westchnął Makary. – Była tam, już ją podejrzewają, a jeżeli jeszcze wyjdzie ta sprawa z mężem i kochanką, to nie chcę być w jej skórce. Miała motyw jak nic.

Nie zawsze ten, kto ma motyw, jest mordercą, bo trzeba sobie powiedzieć, że nie wszyscy lubią mordować, ale morderca zawsze ma motyw. Jakiś musi mieć. Czyli inaczej mówiąc, posiadanie motywu nie czyni człowieka mordercą, ale posiadanie motywu i noża czasem już tak.

– Jak dawno to było?

– Wczoraj, nie pamięta pani? – Lutek, który z racji często gęsto urwanych filmów sam miewał kłopoty z pamięcią, zawsze wszystkich o nie podejrzewał, a najbardziej osoby choć trochę od niego starsze, więc Eleonora do roli zdemenciałej staruszki pasowała mu jak ulał.

– Pytam, kiedy była ta zdrada.

– A ja wiem? Kilka lat temu, nawet już dość dawno, siostrzycy zdążyło odbić po całości.

– To dlaczego nie zabiła jej wcześniej?

* * *

– Jak się panu pracuje w bibliotece? – zagaił aspirant Lipski tak jakby od niechcenia, żeby nie włączyć od razu w temat i trochę delikwenta przygotować.

Józeczek przez chwilę zastanawiał się, co powiedzieć. Miał z tym trochę kłopotu. Bał się, że go zwolnią i wtedy całkowicie stanie się niewolnikiem żony, ale też chciał, żeby go zwolnili, bo może znalazłby coś innego.

Tak więc mógł powiedzieć wszystko i zamierzał powiedzieć wszystko, tylko nad formą się zastanawiał.

– Nienawidzę tej pracy – oznajmił w końcu mściwym tonem. – Nienawidzę wszystkiego: książek, imprez, nawet korytarzy i tej durnej dyrektorki.

– O... – Lipski aż takiej szczerości się nie spodziewał. Odrobinę go zatkało. – A żona?

– Co żona?

– No pytam, co o niej sądzi pańska żona.

– O dyrektorce? One się chyba nawet nie znają.

– O pańskiej pracy!

– Nic nie sądzi, nie jest od sądenia. Ona wie, że ja tego nienawidzę, ale jej to nie obchodzi, mam przynosić pieniądze, a reszta... Sam pan wie, żony takie już są.

Lipski nie był żonaty, co nie przeszkadzało mu wiedzieć, jakie są żony, bo większość podejrzanych o swoich żonach mówiła albo źle, albo wcale.

– Bo, jak rozumiem, pani Anita Mickiewicz nie pracuje w bibliotece?

– A nie wiem, nie znam takiej – odpowiedział Józeczek, wzruszywszy ramionami.

– Pytam o żonę, co, żony pan nie zna? – Lipski nie był do rozmowy jakoś szczególnie przygotowany, ale się zdziwił. Józeczek zrobił się czerwony i zaczął wściekle sapać.

– Pytał pan o jakąś Anitę Mickiewicz, a ja takiej nie znam! Nie znam, rozumie pan?! – Wyraźnie był wściekły.

– A to nie pańska żona?

– Moja żona nazywa się Anita Radziej, tak, nawet mojego nazwiska nie chciała przyjąć na ślubie, ale co do tego ma moja żona?!

Lipski nie wiedział. To znaczy oczywiście mogła coś mieć, ale wcale nie musiała, po prostu tak zagał, żeby trochę rozluźnić przesłuchiwanego, a wdepnął w jakieś jego osobiste traumy i tylko go wkurzył.

– A niech mi pan powie, kto według pana mógł to zrobić?

– Cholera wie. Ja stałem z tyłu, Paraciejowa, dyrektorka i ta bibliotekarka Róża, wszyscy czworo parzyliśmy mniej więcej cały czas, choć ja wychodziłem, bo coś ze światłem się paskudziło, dyrektorka raz była na scenie, raz z tyłu, ta Róża to latała to tu, to tam, ale tylko my czworo tam się kręciliśmy z tyłu. I od razu panu powiem, nie widziałem nic, absolutnie nikogo, kto by trzymał nóż – oświadczył twardo, po czym się zachnął i jakby zawahał. – A właściwie to Paraciejowa coś skrobała na ścianie, ale to był taki mały nożyk do masła, a Róża to miała taki do listów. Cienki, coś jak sztylet, ale chyba z plastiku.

– A dyrektorka? – Lipski już czuł, że bez tego się nie obędzie.

– A wie pan, że miała... – odpowiedział jakiś taki zdziwiony. – Ciasto poszła kroić i z tym nożem potem przyszła, ale tylko na chwilę.

– A pan?

– Ja tylko śrubokręt miałem. – Józeczek ponownie wzruszył ramionami.

– I nikogo innego za kulisami nie było?

Powiedzenie „za kulisami” dotyczy właściwie tylko sceny, czyli teatru, a tu scena urządzona w bibliotece właściwie kulis nie miała, ale została zorganizowana tak, że była pewna część pomieszczenia odrobinię zasłonięta i niewidoczna od przodu z widowni, którą teraz na potrzeby śledztwa nazywano kulisami.

Odpowiedź na to pytanie Lipskiego zdziwiła.

– No jak nie jak tak? Tam całe pielgrzymki chodziły, ale ludzi nie znam. To przeleciał jeden, to drugi, baba z termosem po wodę przeleciała, jakiś facet z kwiatami, żeby wstawić do wazonu, ktoś z ciastem, bo tam z tyłu było miejsce na taki poczęstunek, wie pan, po spotkaniu.

Lipski zrozumiał, że tą drogą nigdzie nie dojdzie.

– A pan ją znał, tę Karolinę? Pisarkę?

– Nie, jako pisarki to ja jej nie znałem, ale jako ją to tak. Mieszkała niedaleko nas, jak jeszcze nie kupiliśmy domu, prowadziła się z mężem takiej jednej wariatki, no i ogólnie była dość na luzie.

– Czyli co?

– Czyli nic, można by powiedzieć, że pająk między jej nogami pajęczyny by się nie dorobił.

– Jezu, a co to za przenośnia?

– Żadna przenośnia. Po prostu była dość rozrywkowa i lubiła te sprawy, a przynajmniej Anita tak mówiła, bo one się znały nawet bardziej, ale raczej chyba nie były koleżankami, a Karolina to raz mnie jakby skusiła, wie pan, ale na szczęście Anita się nie dowiedziała, boby mnie wyrzuciła przez okno. Bo Anita jest zazdrosna bardzo, a my tam nic specjalnego nie robiliśmy, takie drobne ciupciaski, wie pan, jak to jest, facet musi się czasami oderwać od codzienności. Zresztą my z Anitą to już małżeństwo we stażem jesteśmy. Trzy lata nam strzeliło....

Roześmiał się rechotliwie i było to dziwne, bo zachowywał się, jakby był z pokolenia własnego ojca, ale przecież czasami tak bywa, stajemy się podobni do rodziców.

W tym momencie Lipski pomyślał, że trzeba się bliżej przyjrzeć ofierze. I żonie Józeczka. I w ogóle całemu temu bajzłowi, włącznie z dyrektorką i bibliotekarkami.

Żeby jednak się im przyjrzeć, postanowił wybrać się do biblioteki, nie bez racji sądząc, że tam będą czuły się bezpieczniejsze, a więc będą mniej ostrożne. Na przesłuchanie oficjalne zawsze jeszcze jest czas.

Dodatkowo okazało się, że w bibliotece, za sceną, na której zamordowano Karolinę, latały tłumy ludzi z nożami, a wydawać by się mogło, że biblioteka to takie spokojne, kulturalne miejsce.

Luśka skorzystała z łazienki Marianny i wymiotowała. Właściwie wymiotowały obie, na zmianę, bo ilość włosów łonowych, które przylepiły się do różowego kleju do protez, była ogromna, a cały ten klej wylądował na ich rękach, na ścianie i na dywanie.

Mazał się i niczym nie dało się go zetrzeć, a każda próba starcia łączyła się z odkrywaniem kolejnych pokładów owłosienia na dłoniach i pomiędzy palcami. Próbowaly papierem toaletowym, ale przylepiał się do rąk, na mokro się nie dało, nie pomagało nic.

Spodnie wraz z majtkami wrzuciły do śmietnika. Co prawda, Marianna chciała je spalić, ale było zbyt gorąco, żeby rozpalać w kominku.

– Idziemy do mojej ciotki – rozkazała Luśka. – Musimy to wszystko jakoś ogarnąć. Ona nam pomoże, w każdym razie mnie pomoże.

Telefon od aspiranta Lipskiego wyrwał ją z czynności czyszczących, bo maziowata obrzydliwość na dłoniach bardzo słabo schodziła.

Dlaczego nie zabiła jej wcześniej? A bo ja wiem? – Lutek za bardzo się nad decyzjami siostry nigdy nie zastanawiał. – Pani jej zapyta – stwierdził i dopił to, co miał w kieliszku, czyli zapach po koniaku, o mało nie wylizał ostatniej kropli, która się jakoś uchowała. – Daje pani ten krem, co? – zagadnął znów Eleonorę. – Wymienię na połówkę i wracam.

Chcąc się pozbyć tej pompy ssąco-tłoczącej do alkoholu, Eleonora wskazała podbródkiem łazienkę.

– Bierz, idź i nie wracaj – skwitowała.

Lutek na nic więcej nie czekał. Miał w głowie wspaniały interes. Niektóre interesy jednak są wspa- niałe, tylko dopóki są w głowie, bo potem okazuje się, że ich realizacja napotyka pewnie komplikacje.

Z tubą kleju do protez Lutek wyruszył na podbój świata biznesu. W głowie już majaczyły mu nagłówki „lekarze ci o tym nie powiedzą” albo „przez całe życie robiłeś to źle”. Miał pomysł, jak pokonać męski dramat depilacji intymnej.

– Nie rzucano tym nożem, ale śladów linii papilarnych brak – powiedział Lipski, jak tylko Luśka odebrała. – Ktoś podszedł i wbił ten nóż z bliska.

– Czyli to nie przypadek.

– Zdecydowanie nie! Co gorsza, ona może być niebezpieczna, ta Marianna. A ty gdzie teraz jesteś?

– U niej, a co...

– Idź do ciotki może, co? Nie zostawaj z nią sama, nie straszę, ale po co ryzykować. Poza tym ona była w ciąży – dodał na koniec.

– Marianna? Była w ciąży?

– Nie Marianna, tylko Karolina.

To było coś zdecydowanie nowego, o czym dotychczas nie pomyśleli.

Sugestia Lipskiego, żeby poszła do ciotki, zdecydowanie przyspieszyła czynności myjące.

Sam Lipski zdecydował się iść do biblioteki, by dowiedzieć się czegoś na temat żony Józeczka. I nie chodziło o dane, bo tych zawsze mógł się dogrzebać w aktach, archiwach, jeżeli coś przeszkrobała, czy nawet w sieci, choć tam prędzej zdobyłby rozmiar majątek niż informacje o czymś istotnym.

Liczył na plotki, ale nie te głębsze czy złośliwe, tylko takie, które zna każdy, a więc może i koleżanki z pracy jej męża.

Jeżeli było coś między Józeczkiem a Karoliną, która teraz do wzoru cnót przystawała coraz mniej, i Anita o tym wiedziała, to mogła mieć motyw. Co prawda, nie było jej w bibliotece, ale z tym nigdy nic nie wiadomo.

Mogła się przemknąć, mogła się przebrać, mogła kogoś wynająć. Nie, to to raczej nie, ale móc to mógł każdy, zwłaszcza że wpuszczony do biblioteki posterunkowy Miziołek odkrył w piwnicy, tej z kotami, całkiem dobre (choć ciasne) przejście na zewnątrz.

Oczywiście piwnica była zamykana na klucz, ale nie na kłódkę, tylko na zwykły zamek, taki, który da się otworzyć z obu stron, a dorobienie klucza to naprawdę nic trudnego.

Całe miasto zaczynało być podejrzane.

Lipski nagle zdał sobie sprawę, do czego prowadzi seks. Gdyby nie ta durna książka, pewnie nie doszłoby do tego zabójstwa, czyli powiedzenie, że „seks zabija”, jest jak najbardziej uprawnione. Po chwili takich myśli aspirant Lipski stwierdził, że zgłupiał, i różnym krokiem wszedł w mury biblioteki, usiłując nie dać się zwariować.

Lutek stanął za śmietnikiem, ukrył się odrobinę za jednym z pojemników do segregacji i opuścił spodnie do kolan.

Przed nim stał koleś zainteresowany depilacją. Pół litra wybrzuszało mu kieszeń niemilosiernie kusząco.

– Patrz – pochwalił się Lutek, pokazując swoje wręcz niemowlęco gładkie klejnoty. – Widzisz? Pasują ci takie?

Koledze najbardziej pasowały takie jakie miał, naturalne, żona jednak się uparła, dlatego chciał zrobić to, czego żądała, ale bez niepotrzebnych cierpień i z dala od brzytwy, która naprawdę w tej chwili bardzo źle mu się kojarzyła.

– Jasne, że pasują, ale czytałem, że te wszystkie takie do depilacji strasznie pięką! Ja się boję, w internecie czytałem, jak taki koleś to nawet fiuta w mrożoną brukselkę musiał wkładać, tak go cholerstwo piekło.

– Gwarantuję, to nie piecze. Nic a nic.

Lutek mówił prawdę. Odpowiadał na wszystkie pytania, tyle że ta prawda i te odpowiedzi były nieco niedokładne, ale gdyby coś, to mógł przysiąc na wszystkie świętości, że jest prawdziwy.

Nastąpiła wcale nie dyskretna wymiana towarów. Klejnoty Lutka wróciły do spodni.

Kolega pobiegł do domu i ochoczo zaaplikował sobie klej.

Wrzaski, które w pół godziny później zwabiły i sąsiadów, i policję, nie miały nic wspólnego z awanturą domową, a wiele z czynnościami higienicznymi, bo żona postanowiła zmyć z niego klej bardzo, ale to bardzo gorącą wodą, po tym, jak inne środki zawiodły.

– A pani może wie coś o żonie Mickiewicza? – zapytał prawie bez wstępow. Dyrektorka uśmiechnęła się z wyższością, jakby zapytał ją o coś oczywistego.

– O tak! Tragiczna postać! – powiedziała z westchnieniem. – Ta sekta, a potem szpital. To było naprawdę straszne i ten jej mąż...

– Sekta?

– A no tak. Trochę jej odbiło i potem w sumie nie wiadomo: załamanie nerwowe czy jakaś choroba psychiczna? Niewiele się o tym wtedy wiedziało.

– A mąż?

– Co mąż? Nie radził sobie. Zresztą z takim człowiekiem trudno się żyje.

Aspirant Lipski popatrzył na dyrektorkę ze zdziwieniem.

– Ale dlaczego trudno?

– No cóż, przekonanie o własnej wielkości raczej w życiu nie pomaga, w kontaktach z innymi też, a co dopiero w życiu z żoną.

Ta wielkość do Józeczka jakoś policjantowi nie pasowała. Musiał dopytać.

– Przekonanie o własnej wielkości? Mickiewicz?

– A co pan myśli? Oczywiście, że tak, a żona w tym wszystkim sama, biedna, załamana... Trudno się dziwić...

Policjant nadal miał wrażenie, że się coś nie zgadza.

– Zaraz, zaraz, ale o kim my mówimy? – zapytał niepewnie, jakoś tak wyczuwając, że rozmowa może nie dotyczyć tego, o kim on chciał rozmawiać.

– O żonie Mickiewicza!

– Ale którego? – rzucił Lipski, bo przez chwilę miał wrażenie, jakby konwersowali na zasadzie, „roz-mawiała gęś z prosięciem”, czyli każdy o czymś, a w tym wypadku o kimś innym, do tego nazwisko... Nazwisko było identyczne, no i ten książkowy entourage. Biblioteka to naprawdę doskonale miejsce na tego typu pomyłkę, a jeżeli dodać do tego, że wszystkie bibliotekarki są zafiksowane na książkach i o niczym innym nie myślą, to kłopot gotowy.

Tym razem dyrektorka zrobiła zdziwioną minę.

– Myślałam, że pan chciał się dowiedzieć czegoś o żonie Józeczka, ale jeżeli chodzi o żonę Adama Mickiewicza, to mamy do dyspozycji całkiem dobre opracowania.

– Nie, nie, chodzi mi o Anitę.

– Toż mówiłam, tragiczna postać. Ona wydaje się przebojowa i taka w sumie do tańca i do różańca, ale miała kiedyś poważne kłopoty, naprawdę była w jakiejś sekcji, piramidowej, coś kupowała, sprzedawała, jakieś środki czystości, czy coś tam jeszcze, i zbankrutowali, a ona się załamała. Była w szpitalu, ale jakby się zastanowić, to Józeczek wcale jej nie pomagał. Wie pan, on jest z tych przekonanych o własnej męskiej wielkości, a Anita chyba nie może mieć dzieci. Albo nie chce? W każdym razie nie mają i Józeczek cierpi. Tylko niech pan nie wpadnie na pomysł, że z powodu niezrealizowanych uczuć ojcowskich, nie, to nie to, po prostu uważa się za niepełnowartościowego mężczyznę. Dzieci są dla niego potwierdzeniem sprawności seksualnej.

– Skąd pani to wie? Mówił pani?

Dyrektorka roześmiała się szczerze, ale niezbyt miło.

– Oczywiście, że nie, mężczyźni o takich sprawach z nikim nie rozmawiają, ale z plotek to wiem i od Anity, i od koleżanek, człowiek posłucha, pomyśli i wie.

– On ją zdradzał?

– Skąd pan wie? – zainteresowała się, ale też jakby zaniepokoiła.

– Od niego. Sam powiedział. Podobno z tą Karoliną, z tą zamordowaną, żona go przyłapała. Co pani o tym sądzi? Ona mogła ją zabić?

– Kto? Anita? Za Józeczka? Pan żartuje?! – Tym razem roześmiała się o wiele radośniej. – I to jest właśnie to, o czym mówiłam. Józeczek to wrzód na dupie, ale jest przekonany o własnej wielkości. Anita najwyżej mogła go deską od kibla sprać po pysku, ale nie zabiłaby z jego powodu!

– A z innego?

– Tego nie wiem, ale nie z powodu jakiegoś domniemanego romansu czy zdrady, zresztą te opowieści o jego podbojach to bzdury. Niech pan popatrzy: chłop od lat cierpi z tego powodu, że pracuje w bibliotece, bo to niemęskie, i zazdrości żonie, bo ta pracuje w warsztacie samochodowym, ale nic, dosłownie nic nie robi, żeby cokolwiek zmienić. Marudzi, owszem, ale od tego dzieci nie ma.

Lipski znów się zainteresował.

– A co z tymi dziećmi? Ona chce, on chce, ale nie mają czy jakoś inaczej?

Dyrektorka wzruszyła ramionami. Lipski dopiero teraz zdał sobie sprawę, że rozmawiają w korytarzu i nawet go nie zaprosiła do gabinetu. Jego męskie ego nie odczuło z tego powodu dyskomfortu, ale policyjne odrobinę go szturchnęło.

– Mówiłam już panu, że nie wiem. O takich rzeczach lepiej nie plotkować, bo można komuś zrobić prawdziwą krzywdę, to są ich prywatne sprawy.

Jej moralizatorski ton wcale mu się nie spodobał, choć musiał przyznać jej rację co do zasady. Tyle że on nie przyszedł na plotki, ale raczej po plotki, żeby jakoś ogarnąć tę paskudną sytuację.

* * *

Lutek wrócił do Eleonory jak na skrzydłach i z dumą postawił na stole butelkę wódki. Nie należał do „sępów”, lubił stawiąć, bo wyznawał zasadę „dobre twoje, dobre moje”. Dotyczyła w zasadzie jedynie alkoholu, ale on w tym widział powód do dumy.

Makary i Eleonora jęknęli, bo tak masywne picie od rana wcale im się nie uśmiechało.

Luśka też wpadła do ciotki i natychmiast przystawiła sobie krzesło do stołu, zdecydowanie blisko Makarego.

Ciotka popatrzyła na nią ze skwaszoną miną.

– No co? – mruknęła Luśka. – On ma zajebiste tatuaże. Nie widzisz? Są piękne!

– Ty też jesteś piękna – warknęła ciotka z wyraźnym wyczuwalnym sarkazmem i wcale nie był to komplement, ale sposób na powiedzenie dziewczynie, żeby przystopowała. Eleonora umiała patrzeć. I widzieć, a to nie zawsze idzie w parze.

Za Luśką przydreptała Marianna. Weszła właściwie bez pukania, bo pomyślała, że chyba trochę głośno pukać do otwartych drzwi tarasowych.

– Co ty tu robisz, Lutek?! Znowu chłasz?! – krzyknęła na brata chyba już z przyzwyczajenia.

– Nie no, Marianka, przestań, tu się ważne rzeczy dzieją – rzucił jednym tchem, jakby bał się, że ktoś mu przerwie. – My tu morderstwo rozpracowujemy.

I nagle okazało się, istnieje jakieś „my” i dotyczy też Lutka.

Eleonorze było wszystko jedno.

– Co wiemy? – zapytała tonem dowódcy.

– Zadżgana z bliska, ktoś do niej podszedł. Musiała go dobrze znać, musiała spodziewać się go za sceną, musiał chyba wiedzieć o tym całym zamieszaniu z książką i tym autorskim coming outem, bo inaczej by coś powiedziała, krzyknęła – wyjaśniła wszystkim Luśka.

– Ona krzyknęła w pewnym momencie, takie jakby „nieeee” – powiedziała Eleonora znudzonym trochę głosem. – To było w czasie tej dyskusji o seksie i wszyscy myśleli, że to był jej sprzeciw, ale ja uważam, że to mogła być reakcja na widok noża. Zbyt gwałtowna na nieproszonego gościa, nawet na kornika, więc to musiał być moment ataku.

– Można by wziąć nagranie i zobaczyć, kto był na widowni, i wtedy by się trochę ludzi wykluczyło.

Wszyscy z podziwem spojrzeli na Lutka. Miał rację.

– A jeżeli to nie był ten moment? – Marianka zdecydowanie nie była pomysłem brata zachwycona.

– To i tak warto sprawdzić – pochwalili kolegę Makaron, patrząc z dezaprobatą na siostrę kolegi, która na wszelki wypadek robiła wszystko, żeby Lutek nie wyszedł przypadkiem z roli idioty.

– No i była w ciąży. – Tym razem z hukiem wszedł aspirant Lipski, który swoje owieczki lubił mieć pod kontrolą.

– Jezu kochany?! Z kim?! – wyrwało się Mariannie.

O ile odpowiedź nie była w tym momencie znana chyba nikomu, to wszystko zaraz się jeszcze bardziej skomplikowało.

– Sorko! Sorko? I co? Już sorka wie? – Z piskiem właściwie, a może jękiem, do domu wpadły dwie pisarki, to znaczy tak jakby pisarki.

Bardzo trudno jest określić moment, od którego człowiek staje się pisarzem, bo właściwie od pierwszej książki napisanej, ale też chyba wydanej, no ale całej, a one napisały po jednej trzeciej.

– Ale co niby wiem?

– No kto ją zabił! – rzuciła Marietta.

– A wy co? Myślicie, że ja jakimś jasnowidzem jestem? – odburknęła Eleonora, bardzo zadowolona, choć nie chciała tego pokazywać. – A ty przestań mu głaskać tego ptaka – warknęła do Luśki.

Dziewczyna sponęła rumieńcem.

– Piękny jest.

Wszyscy spojrzeli na rzeczywiście piękny tatuaż na ramieniu chłopaka. Przedstawiał wściekle zieloną papugę.

– No może i piękny, ale kolor ma taki jadowity jak neon tej wegańskiej knajpy, co tu stała przed laty. Normalnie blask był upiorny, spać się nie dało.

Nikt poza samą Eleonorą ani knajpy, ani neonu nie pamiętał, bo została zlikwidowana dawno temu.

– Powiedźcie jeszcze raz, co niby miałabym wiedzieć? – Szybko wróciła do tematu.

– No, kto zabił Karolinę – wydukała przestraszonym głosem Kaśka – bo tak po prawdzie, my w szkole to myśleliśmy zawsze, że sorka to ma jakieś te, no, konszachty. Zawsze sorka wszystko wykryła.

– Jasne. Konszachty. Wystarczyła dedukcja. – Eleonora uśmiechnęła się do wspomnień z czasów pracy w szkole.

– A dzisiaj to normalnie powinna się sorka nazywać Eleo–sherlock–nora! – roześmiał się Lipski. – Ale teraz trzeba się dowiedzieć coś o tej ciąży.

– To sobie sprawdźcie DNA, przecież możecie.

– Móc to oczywiście możemy, tyle że nie wiadomo, z czym to porównać. Trzeba by wiedzieć, z kim sypiała.

– Tu akurat lepiej by było wiedzieć z kim nie. – Tym razem odezwał się Makaron. – Niewiele wiadomo tak naprawdę, ale fakt faktem miała opinię osoby sypiającej z kim popadnie. Tyle że plotki to taka broń, która potrafi być obosieczna, bo ludzie gadają, plotka się rozchodzi, a potem...

– No ale w każdej plotce jest ziarno prawdy.

– No niby jest, ale to nie zawsze... No... To jest jakieś...

– Co próbujesz wydukać? – warknęła Eleonora, obeznana z pewnymi zachowaniami.

– To, że Karolina mówiła, że jest ze mną w ciąży – odparował, patrząc błagalnie na Luškę, co Eleonora nie umknęła.

Skrzywiła się z dezaprobatą.

– Czyli sypiałeś z nią! – Ton głosu Luśki podszedł pod niedowierzanie z paniką w tle, wyraźnie coś ją do Makarona ciągnęło. I chyba nie były to tylko tatuaże.

– Nie, właśnie o to chodzi, że nie.

– Bo ona takie jaja sobie robiła – westchnęła Marietta. – Puszczala ploty, żeby potem... Ona mówiła, że robi research do swojej nowej książki, chciała zobaczyć, jakie jaja wyjdą, a później to opisać, ale moim zdaniem po prostu sama nie wiedziała.

– Czego chce... – dokończyła za nią Marianna.

– Nie, z kim ma to dziecko, bo ona taka była, że lubiła facetów i lubiła wypić, i lubiła imprezy... Mówiła, że zbiera doświadczenia.

Eleonora przez chwilę milczała, potem wyszła do sypialni i wróciła z notesem, ale i z laptopem.

– Najpierw tak ogólnie – wyjaśniła, wskazując na notes, jakby chciała przeprosić, że nie od razu wpiše to do laptopa. – Karolina zamordowana nożem z bliska.

– W ciąży – dodał Lipski.

– Za co ją zabito? Za ciążę? Za kradzione sceny seksu? Za czyjegoś męża? To wszystko są motywy, jedno lepsze, inne gorsze, ale są.

– Taki facet nie chce dziecka, ona chce, on zabija, to się zdarza. – Luśka powiedziała to, żeby cokolwiek powiedzieć, bo od chwili przybycia przelożonego czuła się trochę nieswojo.

– Za męża to musiałabym być ja – stwierdziła Marianna, rezygnując z ukrywania tego faktu, bo wydawało jej się, że przy słowie „mąż” wszyscy spojrzeli właśnie na nią – ale to nie ja, przysięgam, nie ja.

– Komu ona ukradła te kawałki czy tam sceny? Wiadomo?

– No nie, ale żeby za to zabijać? – Marietta wzruszyła ramionami. – Nie wydaje mi się, ale chyba można to sprawdzić. Wziąć kawałki i powrzucać w Google, może to coś da.

– Nie bardzo można, bo przerabiała, a poza tym tam jest tyle buław, penisów i innych męskich określeń, że nas od razu przetrzuci na strony dla zboczonych erotomanów. Nie da się. – Kaśka usiadła z drugiej strony Makarona i też zaczęła oglądać jego tatuaże.

– Ej, wiecie co? – Lutek nagle poderwał się zwinnie od stołu, po czym schował pod nim. – Mnie tu nie było. Dobra?

Z daleka słychać było straszliwe przekleństwa przeplatane imieniem Lutka oraz żądaniem zwrotu wódki.

Marianna wyszła na zewnątrz, bo mimo wszystko chciała ratować brata.

Miejsce jej pobytu jako się jednak z nim kojarzyło, więc pomyślała, że jeżeli wyjdzie, stanie i uda, że coś robi w ogrodzie, ten szukający Lutka i klnący przeraźliwie kolega pójdzie gdzie dalej.

Tylko co miała robić w cudzym ogrodzie?

Jedynym wyjściem było podlewanie. Wzięła leżący na ziemi wąż, odkręciła kurek i zaczęła udawać, że coś podlewa.

Zresztą ogródek był przy drodze od przodu domu, a wszyscy siedzieli w salonie przy tarasie od całkowicie drugiej strony, więc mogło się udać.

Ratowanie Lutka w sytuacjach, kiedy narozrabiał, weszło jej w krew jak wszystkim siostrom durnych braci. Im bardziej, tym bardziej. Im głupsze rzeczy robił Lutek, tym bardziej go ratowała, bo uważała to za swój obowiązek. Została wychowana tak, że zastępowała mu matkę, i to taką naprawdę wyrozumiałą, bo od zawsze wiedziała, że jest biedny, malutki i trzeba się nim opiekować. Korzystał z tego z wielką chęcią.

Upał tego dnia był tak samo koszmarny jak dnia poprzedniego, a susza trwała już od trzech tygodni, więc Marianna stwierdziła, że kwiaty, albo te ich smętne resztki, które jeszcze trwały w ogrodzie, na pewno jej za podlewanie podziękują. Z pewnością będą jej bardziej wdzięczne za ratowanie życia niż Lutek.

W każdym razie będą jakoś tam, po kwiatowemu, zadowolone.

– Nie wiemy w tej chwili, kto mógł ją zabić, to znaczy mamy wielu podejrzanych – westchnął Lipski.

– To chyba dobrze? – ucieszyła się Marietta po dziecinnemu.

– Na pani miejscu bym się nie cieszył, bo jest pani na tej liście, i to na bardzo wysokiej pozycji, ale nie o to chodzi. Wielu podejrzanych to kłopot. Wolałbym dwóch, trzech do dokładnego sprawdzenia, a nie tabun kochanków, hałastrę zdradzonych żon plus całą bibliotekę przypadkowych osób, które też mogły.

– Czyli jak go nie kijem, to go pałą – westchnęła Eleonora. – Skoro nie możemy poprzez podejrzanych, to może przez motywy?

– Nie znamy – jęknęła Luśka.

– Przez te, które znamy?

– To też to samo! Trzeba obejrzeć nagranie i poszukać kogoś, kto mógł do niej podejść blisko bez wzbudzania podejrzeń.

– I wrzucić ten kawałek chociaż do Google?

– Jaki kawałek?

– Ten taki dziwny. – Tu Eleonora wskazała głową książkę. – Ten o tym oknie i nożu. Mogła też go ukraść, bo nie pasuje za bardzo do książki.

Jakieś krzyki z zewnątrz zaczęły zakłócać im myślenie.

– O, to sorka też uważa, że nie pasuje? Bo my się zastanawialiśmy, co to takiego. Tyle że może ona tego nie ukradła, tylko sama napisała?

– Też możliwe, ale po co?

– Może coś widziała?

Znów usłyszeli krzyki, ale jakby przytłumione.

– I chciała to ogłosić światu? To by było bez sensu. Naprawdę. – Marietta skrzywiła się niechętnie. – No wiem, była durna, ale nie aż tak! Jeżeli chciała szantażować, to nie w taki sposób... Bo to by wyglądało tak: widziała zabójstwo, zapisała, wsadziła do książki i co?

– Lutek, Lutek, o cholera! – dobiegło ich z ogrodu.

– Albo skopowała kogoś, kto widział – Kaśka snuła przypuszczenia – albo przypadkiem jej się wkleiło, a nikt niczego nie widział i nie było noża i zbrodni, tylko watek? Może z jakiegoś kryminału?

– A ktoś to wzięł na poważnie?

– Nie, nie wzięł, po prostu to może być zupełnie nieważny motyw, to znaczy coś bez znaczenia, nie motyw.

Lutek pod stołem zaczynał się pieklić.

– No czego on chce ten debil, niech już sobie pójdzie czy coś – wysapał. – Ile mam, do cholery, tu siedzieć?

Nikt się nie zainteresował jego smutną dola.

Eleonora podejrzewała, że sam sobie jest winien, bo akcja z klejem do protez sprzedanym komuś do depilacji i zwieńczona przyniesieniem wódki, a teraz krzykami, żeby tę wódkę oddał, pachniała mordobiciem, ale dopiero przyszedł.

Nie przejęła się, bo jak ktoś jest oszustem, a Lutek chyba był, bo depilacja klejem nie powinna zadziałać, powinien ponosić konsekwencje swoich czynów, ale gdyby te konsekwencje miały być poważniejsze, na miejscu była przecież policja.

– Ma pani rację. Bzdura... Bezsens. Książka to książka. Nikt chyba nie morduje autorów kryminałów, których zbrodnie są zbliżone do tych, które ten ktoś mógł popełnić, choć tego na sto procent nie możemy wiedzieć.

– Luuutek – wyjęczało z daleka, właśnie wyjęczało, a nie wrzasnęło, co wszystkich trochę zdziwiło.

– Co tam się dzieje, do jasnej, pieprzonej, czy tam, czegokolwiek. – Eleonora wstała i wyjrzała przez okno. Nie zobaczyła nic, bo okno, tak jak i drzwi tarasowe, wychodziło na drugą stronę posesji. Już miała iść sprawdzić, ale nie za bardzo jej się chciało.

Marianna na ogrodach się nie знаła, a ten w ogóle nie za bardzo był ogrodem, jakie widuje się w programach czy na okładkach czasopism dla działkowców. Nie było tu pergoli, ławek, plotków, wodospa-

dów, rzeźb, rabatek, krasnali ogrodowych, czyli wszystkiego tego, co czyni ogród ogrodem. Było to raczej zbiorowisko przypadkowych roślin, to znaczy ktoś kiedyś to posadził, posiał, albo wkopał i zakopał, potem to na wół zdziczało, na wół zdechło, ładne nie było, ale istniało. Do tego doszły chwasty, które całkiem dobrze się tu czuły, i kilka krzaków oraz może ze dwa, trzy drzewa po każdej stronie, bo ścieżka dzieliła ogród na dwie części i jedna należała do Eleonory, a druga do wynajmującego dom Makarona, ale poza ścieżką, i to tylko ziemią, żadnego innego podziału nie było.

Dodatkowo w tym upale wyglądało to trochę jak pustynia, a trochę jak Mars.

Marianna majtała wężem to tu, to tam, żeby wydawało się, że jest zapracowana, a robiła to w intencji tego kogoś, przed kim ukrywał się jej brat.

– Lutek, cholera, oddawaj wódkę, miało nie boleć! Ty oszuście! – krzyczał ktoś biegnący drogą kaczym truchtem na szeroko rozstawionych nogach. – Miało nie boleć, a prawie jaja mi odpadły, ty ciulu! Osiwiałem przez ciebie!

Rzeczywiście miał chyba jakieś problemy jajeczne, bo biegł, jakby nie mógł za bardzo sprawnie posługiwać się nogami, był też jakby skurczony.

Marianna zamarła, przyglądając mu się przez rachityczne krzewy.

Stała tak w bezruchu minutę czy dwie, zafascynowana postacią i jej ruchami. W tym czasie woda z węża ciekła w najlepsze.

I w najgorsze.

– O matko jedyna! – wrzasnęła Marianna. – Ratunku!

Ludzie siedzący w domu i zainteresowani toczącą się rozmową nawet nie zwrócili uwagi na jej krzyki, zresztą dobiegały z drugiej strony domu, więc można je było przegapić.

– Lutek! Ratunku! – jęknęła po chwili Marianna. Była zarazem przerażona, ale i ucieszona, że szukający brata pokurcz zdążył się oddalić.

Woda nadal ciekła rwącym strumieniem w jeden punkt pod zdecydowanie bujnym krzakiem. Krzak rósł w miejscu, gdzie w normalnych warunkach na posesjach stawia się płoty, ale tutaj płotów nie było.

Ziemia była sucha jak pieprz, błada, krucha i wypłowiwała, po prostu tak sucha, że aż się kruszyła.

Woda, zamiast wsiąkać, czego się po niej zazwyczaj oczekuje, wyszarpywała z ogrodu zeschły grunt, który odpływał gradami, odsłaniając coś, czego chyba nikt się tu nie spodziewał, a z pewnością nie Marianna.

Pisk niósł się przez chwilę pomiędzy krzakami i zwrócił uwagę oddalającego się Lutkowego przyjaciela z obrażeniami klejnotów, który teraz stał się Lutka wrogiem, przynajmniej na chwilę. Mężczyźni w takich sytuacjach nie chowają urazy specjalnie długo; dopóki trwa ból i czuć obrażenia, to i oni są wściekli, ale potem to mija, gorzej gdyby kolega, nawet przyjaciel, obraził jego drużynę piłkarską albo kibicował innej.

Pokurcz zawrócił. Z trudem przedostał się przez uliczkę i wszedł do ogrodu, minął kałużę, podniósł coś z ziemi, potem popatrzył na leżącą na ziemi Mariannę i ruszył ku domowi.

Rozkraczony, idąc niepewnym krokiem, podszedł do drzwi domu Makarego i zapukał. Nie dało to żadnego rezultatu. Pomyślał, że równie dobrze może zapukać do drzwi obok, ale efekty też były marne, bo wiedział, do kogo należy dom, więc pukał bardzo cicho. Za nic w świecie nie chciał stanąć twarzą w twarz z tą kobietą, choć minęło tyle lat.

Bał się, że usłyszy straszliwe słowa, te, które śniły mu się po nocach.

– Paprocki! Do tablicy!

Zadrzał, zmartwił i miał już odpuścić.

Wtedy usłyszał głosy po drugiej stronie.

Zorientował się, że ktoś tam jest i że nie zostanie sam na sam ze swoim koszmarem. Okrążył domek z lewej strony, wszedł na taras i zajrzał przez drzwi.

Ludzie popatrzyli na niego dopiero po chwili, bardzo zdziwieni.

– Tam w waszym ogródku leżą zwłoki. I takie coś znalazłem, mogę sobie wziąć? – Wyciągnął rękę z okrągłym przedmiotem, który przyniósł z ogródka. – Fajne jest.

Sekundę później na widok Eleonory zastygł w przerażeniu, zastanawiając się, czy czaszkę można nazwać przedmiotem i czy pamięta jeszcze tabliczkę mnożenia albo podział czegoś tam w czymś tam oraz majonez i mitozę.

Eleonora na zastępstwach uczyła tyłu przedmiotów, że naprawdę miał w czym wybierać.

Nagle wszyscy oszaleli, facet mówił o zwłokach i miał w rękę czaszkę.

– Jakie zwłoki? – Natychmiast dopadł go Lipski.

– Lutkowej siostry – stwierdził z przekonaniem. – Leży tam taka całkiem, całkiem, ale od niedawna, chwilę temu jeszcze wrzeszczała. Na stojąco!

Lutek wpadł w poploch. Siostra była mu potrzebna do życia. Niezbędna, bez niej nie istniał. Była jego podporą oraz dostarczycielką wikt i opierunku, matką zastępczą.

– Zabiłeś Mariankę z powodu jaj? – wrzasnął Lutek, gramoląc się spod stołu. Zacisnął pięści i rzucił się na kolegę, któremu tymczasem Lipski zdążył wyrwać czaszkę.

– Pan to odda! – warknął policjant z taką miną, jakby była niezwykle cenna.

Lutek złapał kolegę i zaczął nim telepać.

– To była moja siostra... Zabiłeś... Za jaja? Dlaczego? Dlaczego to zrobisz?

– Niczego nie zrobiłem! Oszalałeś, nie zabiłem jej! A co do jaj, to były moje jaja! Mam nadzieję, że nadal tam są. Kłamca jesteś! Kłamca! Miało nie boleć! – wrzasnął Paprocki. – Okłamałeś mnie!

– Nieprawda! Miało nie piec i nie piekło! O boleniu nic nie mówiłem! – odwrzasnął z triumfem w głosie.

Wykształcony na reklamach Lutek wiedział, jak kłamać, żeby nie można mu było niczego zarzucić.

Gdzieś poza nimi, pośród tych, których nie interesowały narządy płciowe Paprockiego, wybuchła zupełnie inna panika. Wcale nie jajeczna.

Ludzie interesowali się zwłokami.

Lutek walczył z Paprockim, kopiać go po łydkach.

– Gdzie zwłoki? Skąd ta czaszka? Co pan tu robi? Lutek, przestań go kopać! Natychmiast! – krzyčeli jedni przez drugich, przemieszczając się w kierunku ogrodu.

Przebiegając przez mieszkanie byłej nauczycielki, Paprocki ze zdziwieniem zauważył, że u tej strasznej kobiety na ścianach nie ma pentagramów, wyskrobanych pazurem demona równań matematycznych ani suszonych zwłok nielubianych uczniów.

Wybiegli przed dom.

Po chwili rzucili się w kierunku rzeczywiście leżącej na ziemi Marianny, żeby ją profilaktycznie zdeptać, gdyby nie była dostatecznie martwa, by zyskać status zwłok.

Leżała całkowicie bez noża w czymkolwiek, bez krwi dookoła, bez grymasu na twarzy, a jednak jej bladeść i to, że kurczowo wciąż trzymała w dłoni wąż, z którego ciekła woda, robiły paskudne wrażenie.

Stanęli wokół niej niezdecydowanym kołem.

Otworzyła oczy. Jak na amerykańskim filmie odskoczyli z przerażenia.

– Marianna! – zawył Lutek, teraz już uwolniony spod stołu, ale wciąż czujny i gotowy do walki z Paprockim, który wcale tej walki nie chciał.

– Wilkołak! – zawyla Marianna, nadal leżąc, ale jakby się trochę podnosząc.

Nie spotkało się to z uznaniem obserwatorów. Wycie, ogród, zwłoki i wilkołak nie kojarzą się dobrze.

Na szczęście był dzień, i to słoneczny, a nie noc i pełnia, ale w sumie ludzie czasami nie łączą faktów.

– Wiiiiilkołak! – zawyla jeszcze raz i wskazała wylotem węża w stronę podłoża, zahaczając przy tym strumieniem wody o głowy, ręce i nogi obecnych.

– Przestań lać. Jaki wilkołak?

– Tam leży...

– Srołak nie wilkołak. – Eleonora wzruszyła ramionami, naprawdę zdegustowana. – Że też cię podkuśło akurat cmentarzyk podlewać. Ludzie to mają durne pomysły!

– Cmentarz? Jaki cmentarz?

Istnienie czegoś takiego w ogrodzie prywatnej osoby było dla wszystkich zaskoczeniem.

– Cmentarzyk dla zwierząt oczywiście, ona tu swoje zwierzęta chowała. Regina, ta moja sąsiadka, co tu miała dom. Wyprowadziła się, ale przecież nie ekshumowała zwierząt i nie zabrała ich ze sobą! Tu były, o ile pamiętam, trzy koty i dwa psy.

– No nie wiem. Chyba ktoś jeszcze, bo ta czaszka z pewnością ani do kota, ani do psa nie należy! – Lipski pokazał czaszkę, którą odebrał Paprockiemu. Była prawdopodobnie ludzka. Bardzo, bardzo prawdopodobnie. Nie dało jej się pomylić ani z kocią, ani z psią.

– Skąd tu ludzka czaszka? – Luśka zadała oczywiste pytanie, ale na oczywiste pytania trudno jest czasem znaleźć równie oczywiste odpowiedzi.

Na to pytanie tym bardziej.

Pisk, wrzask, przepychanki sprawiły, że policjant prawie oszalał. Tylko mu teraz brakowało czegoś takiego, do tego z zdeptanymi śladami. Owszem, mogło ich tu już od dawna nie być, ale należało to sprawdzić.

– Wynoście się stąd. – Lipski już zaczął dzwonić do techników. – To trzeba zbadać. Nie dotykajcie niczego, a pani, pani Eleonoro, ma pani chyba wyjątkowego pecha, bo o ile sąsiadka nie miała na stanie żadnych zwierząt czlekokształtnych, to mamy tu ludzkie zwłoki i to na sto procent jest przestępstwo, bo albo ktoś zbeczcześcił zwłoki, zakopując je w tym miejscu, albo to jest ofiara jakiejś zbrodni.

– Ale ona miała...

– Co znowu miała? – warknął wściekle policjant, nie chcąc już niczego więcej słyszeć. Mówi się, że chceć to móc, ale w stronę: nie chceć to nie móc niestety to nie działa.

– Miała małpkę, ale myślałam, że zabrała ją ze sobą – wyjaśniła Eleonora obrażonym tonem, bo w końcu teren był jej i ten gówniarz policjant powinien się z nią choć trochę liczyć.

Starsze panie mają tendencję do uważania za gówniarzy wszystkich ludzi poniżej pięćdziesiątki.

– I sądzi pani, że to jest czaszka małpy? – zapytał trzydziestokilkuletni „gówniarz” z przekąsem, bo Eleonory nie lubił.

Ani kiedyś, ani teraz.

– A skąd mogę wiedzieć? Mogę obejrzeć! – zaproponowała z nadzieją w głosie.

– Mowy nie ma! – odpowiedział z wrednym uśmieszkiem na ustach.

Dyrektorka biblioteki czuła się moralnie źle.

Zbrodnie w miejscach związanych z kulturą mogą źle wpływać na tę kulturę. Już teraz w swoich mrocznych wizjach widziała, jak czytelnictwo upada, książki pleśnieją, drzwi wejściowe rdzewieją, tak że nie da się ich otworzyć, a biblioteka dosłownie popada w ruinę, bo brak jej obecności czytelników.

Kto przyjdzie do biblioteki, w której mordują pisarzy?

Pracownicy podzielili się na dwa obozy. Jedni uważali, że morderstwo przyciągnie czytelników, drudzy, że ich odstraszy. W pewnym sensie i jedni, i drudzy mieli rację. Takie wydarzenia to całkiem niezła promocja, ale przyciąga niekoniecznie czytelników, a co komu po takich, którzy nie wypożyczą nawet jednej marnej książki?

Doszła zresztą jeszcze jedna pilna sprawa. Piwnica i jej nielegalni mieszkańcy.

– Słuchajcie, trzeba coś zrobić z kotami – oznajmiła dyrektorka, spoglądając na Józeczka, który natychmiast zaczął protestować.

Chciała coś zrobić. Cokolwiek, żeby było widać, że jest dobrą, skuteczną dyrektorką, która w sytuacji kryzysowej zakasuje rękawy i działa, ale że była dyrektorką, usiłowała działać rękami podwładnych.

– O nie, nie, nie, nie mogę, alergię mam! Potworną, na koty, i w ogóle, konie też – oświadczył Józczek gromkim głosem.

Nikt zresztą mu się nie dziwił, bo nawet gdyby tej alergii nie miał, to i tak nie było wiadomo, co z tymi kotami trzeba zrobić, ale dyrektorka nie dawała za wygraną.

– Tam nie ma koni! – odparowała natychmiast, chcąc zdusić opór Józeczka w zarodku.

– Są, nie ma, wszystko jedno, do kotów nie idę! Niech Róża idzie.

Róża oczywiście nie miała zamiaru zajmować się kotami, ale za bardzo nie miała wyjścia.

– Tylko pani powie, co mam z nimi począć? Wypłoszyć je? Wytruć? Wymordować? Czy dać się im zjeść?! – warknęła, budząc grozę w obecnych, bo takie ostateczne rozwiązania wszystkich obruszyły. Wszyscy kochają koty. Na pokaz, ale kochają.

I tu powstał problem, bo nikt nie wiedział.

– Po pierwsze to chyba trzeba je policzyć. Może to coś da?

– No nie wiem, a może najpierw nakarmić?

– Nie mamy karmy.

Wszystkie panie, bo Józczek miał oczywiście węża w kieszeni, złożyły się na kilka puszek kocie karmy i torbę suchej, co mogło załatwić sprawę.

Koty bywają agresywne, jak są głodne. Drapia, syczą, rzucają się, a kiedy są najedzone, zazwyczaj śpią.

Był inny problem.

Kto to wszystko tam zorganizował?

Ktoś te koty tam dokarmił, ktoś o nich wiedział, ktoś nawet korzystał z prądu, ale były to działania nielegalne i gdyby się wydało, byłaby prawdziwa afera.

Że dyrekcja nie dopilnowała.

Należało więc sprawę zbadać.

– Ktoś ze mną pójdzie? Koty w takich ilościach mogą być groźne.

– My możemy. – Marietta i Kaśka, wyrzucone bezceremonialnie z ogrodu przy domu Eleonory, przyszły do biblioteki, bo gdzieś pójść musiały. Do domu nie miały ochoty wracać. Były żądne wiedzy i działania, nosiło je. Nie przerażała ich perspektywa spotkania z mordercą, bo liczyły, że ten, załatwiwszy Karolinę, załatwił to, o co mu chodziło.

Mordowania autorem książek erotycznych nie brały pod uwagę, bo ich książce, choć już „chodziła” po ludziach, daleko było jednak do wielkiej popularności, a im jako im, autorkom, do sławy. Znalazłoby się wielu sławniejszych, którymi taki morderca, gdyby właśnie na tym mu zależało, powinien o wiele bardziej się zainteresować.

Według nich Karolina sama sobie była winna.

Istnieje taka tendencja w społeczeństwie, żeby za wszystko obwiniać ofiarę, że poszła nie tam, gdzie trzeba, że powiedziała nie to, co trzeba, że była zbyt ładna albo zbyt brzydka, albo ubrana nie tak, jak trzeba. One dodatkowo twierdziły, że Karolina była zbyt puszczalska.

Według nich powodem morderstwa była ciąża.

Nie powieść. Nie fragment tekstu o nożu, nie kradzież scen seksualnych, ale właśnie ciąża.

– Karolina zaciążyła, facet się wściekł, ona nie chciała nic z tym zrobić, więc ją zabił.

Takie podejście było bardzo wygodne, bo morderca pozbył się niechcianego potomka wraz z kłapiącą ozorem przyszłą matką i ewentualną szantażystką oraz, oczywiście, nie dopuścił do żądania alimentów.

Alimenty mają to do siebie, że trzeba je płacić, ale dodatkowo są powodem kłótni małżeńskich, bo nawet jeżeli ojciec płacić chce (może nie z radością w oczach, ale chce), to już jego żona często nie ma ochoty dzielić mężowskich dochodów z jakimiś przypadkowo zaciążonymi dzierlatkami.

No i dzieci rosną, nawet te niesłubne. Wraz z nimi rośnie wstyd i o zdradzie dowiaduje się całe miasto.

Dlatego Kaśka jednak uważała, że to nie tak.

– Nie zabił jej facet – oświadczyła po chwili głębokich przemyśleń.

– A kto? Kobieta?

– No właśnie kobieta, żona, może nawet matka, albo teściowa tego faceta.

– Bo?

– Facet załatwiłby to inaczej. Dał jej kasę, wypchał ją za granicę. Kazał się pozbyć?

– A jeżeli ona chciała urodzić? A? I on się wściekł? To się często zdarza.

– No to wtedy może... Ale że ona mogła... No wiesz, wpadła to wpadła, niejednej się zdarzyło, ale żeby się upierać?! Ty, z kim Karolina sypiała?

To było bardzo interesujące pytanie.

Odpowiedzi nie znały. I tak dyskutując, dotarły do biblioteki, która wcale nie wyglądała na opuszczoną czy opustoszałą. Czytelnicy tłoczyli się w holu, przyszli czytelnicy, bo jakimś cudem wciąż wyrabiano nowe karty biblioteczne.

Takie karty pozwalały lazić pomiędzy półkami.

Każdy miał nadzieję, że coś pomiędzy nimi znajdzie. Na przykład jakieś kolejne zwłoki.

To zadziało tak samo jak gorączka złota. Skoro jeden znalazł, to i reszta może coś trafić.

Marietta i Kaśka poszły na górę, do dyrektorki, i tak zaczęły się przy sprawie kotów. Liczyły, że w ten sposób czegoś się dowiedzą. Coś zobaczą, przydadzą się.

– Ale w ogóle, z tymi kotami to przegięcie – jęknęła Róża. – Po co komu taka hodowla? Może by je wylapać?

– Nie da się, są dzikie.

– To trzeba wezwać hycla... Może jest taki koci?

Wszyscy popatrzyli na Różę z oburzeniem.

Nikt, co prawda, tych kotów nie znał, ale trudno było sobie wyobrazić, że koty żyjące w takim miejscu mogą być oswojone. Musiały przedostawać się jakimś wejściem, ale też musiały być tam przez kogoś dokarmiane.

– Ale trzeba je wysterylizować, a to chyba sporo kosztuje, wiem, bo jak koleżanki kot był kastrowany, to trochę ją to kosztowało.

Józeczek aż się skulił. Niektóre słowa potrafią działać na wyobraźnię.

– Ale czy wolno nam tam wchodzić? – zapytała Róża. – Bo może trzeba zapytać?

– W jakim sensie? Przecież to są pomieszczenia biblioteki! – obruszyła się dyrektorka, jakby ktoś odmawiał jej prawa do dysponowania tym, co bezsprzecznie należy do niej.

– No policyjnym, żeby nie było.

Dyrektorka zadzwoniła do Lipskiego, a ten łaskawie zezwolił. Wszystko, czego potrzebowali, już tam podobno obejrżeli, nie było to miejsce przestępstwa.

Właściwe miejsce zbrodni zostało zamknięte, zalepione taśmami i stanowiło główną atrakcję pielgrzymek świeżych czytelników, którzy choć na policyjną taśmę chcieli popatrzeć.

Ludzie kochają sensację, a w takich miasteczkach jak Zastronie, gdzie żadna mafia nie urządza strzelanin na ulicach i seryjni mordercy nie grasują, bo oni też chcieliby uniknąć posądzenia o prowincjonalny charakter zbrodniczej działalności, takie sprawy są na wagę złota.

* * *

Pijawka nie umiała sobie znaleźć miejsca.

Owszem, miała gdzie pić, miała gdzie spać, ale tęskniła do swojego Makarona, choć on oczywiście nie wiedział. Nie wiedział, ani że ona tęskni, ani że on jest jej. Starał się jej unikać, bo zwyczajnie nie miał ochoty na bliższą znajomość.

A właściwie na jeszcze bliższą. Bo tak to nawet dobrze się znali i dopóki ona nie zapałała do niego miłością, było całkiem spoko.

Tyle że tak to już jest: jedno nie wie tego, drugie tamtego i tak się złożyło, że ona nie była w stanie zrozumieć, że on jej po prostu nie pożąda.

Pomyślała, że gdyby złapała jakąś interesującą chorobę odzwierzęcą, to może by się zeszli, skoro on ma babecośtam, ona mogłaby złapać chłopacośtam.

Początkowo się przestraszyła, ale potem stwierdziła, że jednak miłość jest ważniejsza.

No i poszła do kolezi za bibliotekę.

Pili.

Jak zawsze.

* * *

Eleonora patrzyła z daleka na zamieszanie w ogródku. Luśka i Lipski kotłowali się między innymi policjantami i technikami.

To kotłowisko wyraźnie dawało wszystkim, którzy jako tako byli wtajemniczeni, do zrozumienia, że coś tam jednak jest i nie są to jedynie szczątki ukochanych zwierzaków Reginy. Zwierzęta nie spowodowałyby takiego poruszenia.

W każdym razie nie martwe i nie u policjantów.

Wszyscy inni, którzy patrzyli, też byli trochę poruszeni, bo to po prostu było coś niezwykłego.

Na tej spokojnej, całkowicie prowincjonalnej ulicy niedużego i też prowincjonalnego miasta zazwyczaj nie działo się nic, toteż miny patrzących podobne były do miny nastolatki, która z zachwytem w oczach wpada do domu, żeby zawiadomić rodziców, że seryjny morderca i kanibal w jednym podłożył ładunek wybuchowy pod szkołę oraz że miał zajebyście ciuchy.

Eleonora obserwowała z zainteresowaniem poczynania Makarona, który jakoś nie za bardzo chciał iść do siebie. On też śledził wydarzenia, ale jemu można było to jakoś wybaczyć – był w pewnym sensie w centrum zainteresowania, on jako on i jako mieszkaniec tego konkretnego domu, do którego przylegał ten konkretny ogródek, który należał po trosze do posesji A oraz do posesji B.

Z obserwacji Eleonory wynikało, że osiłek jest niezwykle zainteresowany, jednak mniej tym, co się dzieje w ogródku, ale bardziej Luśką.

To sprawiło, że poczuła się odpowiedzialna za siostrzenicę. Zazwyczaj uważała, że dziewczyna sama odpowiada za siebie, jest w końcu dorosła, ale Makaron Eleonorze się nie podobał i podobał zarazem. Do Luśki całkowicie nie pasował. Do niej pasowałby bardziej smutny chudzielec z pryszczami i prze-

tłuszczonymi włosami, za to z dyplomem MBA w kieszeni. Makaron był zbuntowany, wytatuowany, miał motocykl i naprawdę przedziwne znajomości.

Oraz, jak sobie przypomniała, podwójne alibi.

Jak dotychczas poznała tylko to fałszywe, które do niczego się nie nadawało.

– No to teraz chcę poznać twoje alibi! – Podeszła do niego i bez pardonu wyrwała go z kontemplacji pięknej Luśki. Trzeba powiedzieć, że siostra Eleonory, młodsza od niej o piętnaście lat, córkę miała naprawdę do rzeczy.

Makaron zdrętwiał. Wyraźnie zdrętwiał.

– Ale co pani?! Przecież już mówiłem... – odpowiedział wymijająco, co wcale jej nie przypadło do gustu. Wiedza to było jej terytorium, lubiła maltretować ludzi wiedzą, czasami dotyczyła ona matematyki, czasami ilości piwa wypitego przy ognisku. Nieważne, zawsze działało.

– Jasne, masz, ale nie masz i jest do tego fałszywe, to, które koledzy ci dali, mnie nie wystarcza, chcę tego, które utajniłeś! – rzuciła wyzwanie.

Może nie był to idealny moment na takie tematy i wyzwania, ale Eleonora czuła się podenerwowana. Było to takie nieokreślone rozedrganie i zupełnie nie wiedziała, z czym się wiąże. Tego podenerwowania jakoś nie mogła zlikwidować, więc postanowiła je zagłuszyć czymś innym, może równie, a może nawet bardziej denerwującym, ale chociaż określonym.

– Mowy nie ma! – odburknął, choć wiedział, że pewnie kiedyś będzie musiał się przyznać do tego, co robił tamtego dnia, kiedy zabito Karolinę. Jego sytuacja zanedo jasn nie była, po pierwsze kiedyś był jej partnerem, po drugie Pijawka powiedziała, że go tam widziała, po trzecie i po każde następne nie chciał iść do więzienia. Nie chciał się jednak spowiadać pierwszej lepszej byle babciuni! Choć właściwie nie była ani lepszą, ani babciunią, była wredną manipulatką, doskonale to wyczuwał.

– Babę masz? Tak? Mężatkę? – wywnioskowała Eleonora z marszu, bo to było dość proste, choć nie musiało być prawdziwe, wytłumaczenie tej wielkiej tajemnicy.

– Pani jest porąbana, a nawet gdyby, to co?! Nie wolno mi? – odparł, patrząc jej prosto i wrednie w oczy.

Wkurzyła się.

– A nawet gdyby, to co? Minę Luśki widziałeś, jak twojego ptaka głaskała?! – zapytała, krzywiąc się w udawanym uśmiechu.

Oslupiał.

– Jezu, ona nigdy mojego ptaka... – Zaczerwienił się, zakrztusił, prawie padł, po czym odetchnął, jakby sobie nagle coś przypomniał. – A... tego ptaka! Ufff. – Dał się podejść.

– Czyli widziałeś?

– Ten seks się wszystkim na głowę rzuca – westchnął. – No, tak, niby widziałem, ale o co pani chodzi?

– O Luśkę. I oczywiście o to twoje alibi – brnęła, nie zbacząc z tematu.

– Co do dziewczyny, to jest dorosła! Nie musi jej pani niańczyć, facetów sama sobie będzie wybierać, i to z pewnością nie pod pani dyktando, a co do alibi, to nie powiem pani, co to jest ani gdzie byłem, ale to nie jest baba. To znaczy jest. Ale nie tak jak pani myśli!

Jego pokrętnie tłumaczenie wcale kobiecie nie przypadło do gustu.

– Taa, jasne, bo ty wiesz, jak ja myślę?!

– Pani mi da spokój! Mam dość babskich zagrywek...

Eleonora aż się zakrztusiła z wściekłości, przymiotnik „babski” nie miał prawa być do niej stosowany. Damski może, kobiecie ewentualnie, ale nie babski!

– Bo znowu mnie od prukw będziesz w krzakach wyzywał? Niedoczekanie twoje! – warknęła zajadle.

Wściekłość u Eleonory była stanem bardzo walecznym, była nauczycielka nie należała do osób, które odpuszczają cokolwiek komukolwiek albo załamują się czy przyznają komuś rację dla świętego spo-

koju. Nie, nigdy, nikomu. Na szczęście nie za bardzo się lubowała w Facebooku, bo gdyby tak było, to byłaby jednym z paskudniejszych trolli internetowych, które przenoszą swoją walkę z wirtualu do realu bez żadnych problemów.

I bez litości.

– To ty mnie tak? No poczekaj, ja cię jeszcze załatwię! – mruknęła do siebie, ruszając w kierunku biblioteki.

Zostawiła Makarona w ogródku, ale wiedziała, że wcześniej czy później... Bo nie dość, że prosił ją o pomoc w znalezieniu mordercy, to jeszcze ona go uratowała od Pijawki.

No właśnie.

To była myśl. Napuszczenie Pijawki na Makarona mogło zniweczyć ich wątłe porozumienie, ale mogło też pokazać temu „nudłowi”, jak zaczęła go w myślach nazywać, kto tu rozdaje karty. Osilek był interesującym przypadkiem, bo i nie był tak całkiem głupi, na jakiego wyglądał, i zachowywał się w miarę poprawnie, i nawet odrobinę dawał się lubić, ale to jeszcze nie znaczyło, że ma prawo nie dać sobą rządzić. Co to to nie!

Eleonora zawsze musiała postawić na swoim, nawet w bardzo niejednoznacznych sytuacjach. Koleżanki bały się z nią rozmawiać, bo jeżeli opowiadały o kłopotach, natychmiast je karciała, że marudzą, a to ją denerwuje. Kiedy mówiły o sukcesach, to wyrzucała im, że się chwala, a to nie wypada, usiłowała więc zahaczać o literaturę, na co natychmiast się wściekała, że się wymądrzają. Tak więc te, które zmuszone były z nią przebywać (a nikt tego nie lubił), starannie milczały, żeby nie wywołać u niej żadnej reakcji, ale i to nic nie dawało.

– Ależ wy jesteście nudne! Co tak siedzicie? Czy wy nie macie niczego do powiedzenia?! – rzuciła i wychodziła. To cieszyło wszystkich najbardziej.

Ponieważ Eleonora nigdy nie miała dzieci, wszyscy byli zadowoleni, że nigdy nie zostanie niczyją tęściową, bo jej synowa umarłaby śmiercią męczeńską, a zięć skończył w więzieniu o zaostrzonym rygorze.

W kaftanie bezpieczeństwa i z maską Hannibala Lectera na twarzy.

Luśka zachowywała się jakoś inaczej niż zwykle, zupełnie jak nie ona. Niby profesjonalnie (i z uśmiechem) wykonywała, co do niej należy, i to martwiło Lipskiego i wszystkich dookoła.

Wygrzebywanie kości z ziemi z rozmarzonym uśmiechem pasowałyby do psa, a nie do policjantki, i trochę dziwnie świadczyło o jej zainteresowaniach. Dodatkowo co chwila zerkała w kierunku Makarona, który był dla niej objawieniem.

Pochylała wtedy głowę, mrużyła oczy, na twarz wypełzał jej uśmiech wielkiej szczęśliwości, ale kości szkieletu, albo wręcz szkieletów, w jej rękach bardzo psuły ten romantyczny obraz.

Dziewczyny często dziwnie reagują na niektórych facetów i to reagowanie świadczy bardziej o nich niż o facetach.

Facet był, co prawda... No właśnie nie co prawda. Ona właśnie takich lubiła – łysych z kłatą, tatuażami i motorem, przecież nawet pracując w policji, można mieć dobry gust.

Mieszkał sam, czyli wolny, żadnych dzieci, żadnych żon. To było to, o czym Luśka marzyła. Intelktu od niego nie żądała, ale chyba jakiś miał, skoro ciotka Eleonora jeszcze go nie pożarła i nie wypuła. Oczywiście rodzice nie byłiby zachwyceni i to jeszcze bardziej Luśkę kusiło, bo była zdeterminowana i chciała pokazać, że ona będzie rządzić własnym życiem, żadnych przedszkoli, żadnych restauracji, tylko policja i jakiś odjechany men. Trochę na złość rodzicom, a trochę naprawdę szukała takiego, który by jej się spodobał, ale wywołałby popłoch u rodziców.

A teraz miała go niejako zawodowo i prywatnie pod ręką.

Matka, rzecz jasna, osiwieje, ale cóż, istnieją farby do włosów, a ojciec... Będzie się musiał z tym pogodzić, choć pewnie dostanie czkawki, oby mu przeszło po miesiącu czy dwóch.

Luśka rodziców kochała, ale siebie też uważała za osobę wartościową. I lubiła siebie samą, nie uważała, że powinna się umartwiać albo rezygnować z własnego życia dla spokoju innych.

Wielu nazwałoby ją samolubną, ale ona uważała, że jest po prostu asertywna.

Zresztą to, co podsłuchiwała w święta, i fakt, że rodzice się przeciw niej zmówili tak bezczelnie, dawały jej podstawy do czynności odwetowych. Zdecydowanych i twardych, oraz całkiem możliwe, że przyjemnych.

* * *

Eleonora nie zdążyła się jeszcze oddalić, kiedy dogonił ją Lipski. Był zaaferowany, w rękę trzymał torebkę z jakimś znaleźnikiem. Dwie inne miał w drugiej ręce, wyraźnie zapomniał je odłożyć. Coś tam się musiało dziać na tyle poważnego, że nawet on działał odrobinę chaotycznie, co zazwyczaj mu się nie zdarzało.

– Pani zaczeka, muszę o coś zapytać – wydukał zasapany.

Przystanęła, licząc na wieści. Czasem z samych pytań można się wiele dowiedzieć. I to nie jest żart, niektóre pytania wiele sugerują, pytanie o to, na przykład, jak długo rozkładają się zwłoki albo czym oddzielić głowę od tułowia, dają wiele do myślenia, trzeba tylko umieć czytać między wierszami.

– A ta sąsiadka? Wie może pani, jak się z nią skontaktować? Bo, jak rozumiem, wyprowadziła się? – zapytał Lipski i Eleonora już zapaliła się lampka ostrzegawcza.

– Nie, nie wiem jak. Dom wynajmuje ten osiłek – wskazała głową w kierunku Makarona – ale o ile mi wiadomo, to dom jakoś przeszedł w inne ręce. Oddała komuś z rodziny? Podobno teraz należy do jej siostrzeńca.

– Zna pani jego nazwisko?

– No jak mam nie znać? Mickiewicz się nazywa. Józef.

– On? Znowu on? – jęknął Lipski.

Eleonora, jak spora część nauczycielek, nie wiedziała, jak się zwracać do dawnych uczniów. Bo niby była z nimi na ty, ale kiedyś, teraz to mogło komuś nie pasować.

Wciąż się pilnowała, ale i tak się myliła.

– Ale co? – zainteresowała się bardzo. – Co masz... ma pan do niego? – powiedziała, przechodząc jednak na odpowiedniejszą formę. – Nie będę mówić ci na ty, jeszcze ktoś pomyśli, że się znamy. No więc co pan ma do Józeczka?

Lipski wzruszył ramionami, bo jednak się znali. Jemu było wszystko jedno, tak naprawdę wszystko jedno, jak tylko to możliwe, ale czuł, że Eleonora po prostu chciała nim manipulować. Sprawić wrażenie, że się wstydydzi tej znajomości z nim, żeby on zaczął jej tłumaczyć, że przecież jest policjantem, i to dobrym, więc jej wstydu nie przyniesie, a ona wtedy, widząc tę defensywę, napadłaby na niego i wyciągnęła z niego wszystkie informacje, najpewniej wraz z flakami, a może i krwawiącą wątrobą.

Eleonora była kiedyś potworem, nic nie świadczyło o tym, że teraz przestała nim być.

– Jasne, chciałaby pani wiedzieć? Otóż nic z tego! – burknął z zadowoleniem. – Nic pani nie powiem! Zresztą potrzebuję tylko kontaktu do pani koleżanki. Adres pani zna? Kiedy ostatnio ją pani widziała?

– Oj, że trzy lata temu chyba, jeszcze zanim wyjechała do USA. Mam jej adres mailowy, ale coś za coś. Pan mi powie, po co to panu, a ja panu dam adres...

Eleonora niczego nie ryzykowała. Koleżanka nie pisała do niej od lat, kiedyś, na początku, wysłała kilka razy życzenia świąteczne, chyba z jakiegoś Los Vegas czy Las Angeles, Eleonora to specjalnie myliła, bo uważała, że to taki snobizm, poza tym Eleonora się na nią obraziła, bo mailowe życzenia świąteczne to obraza dla świąt, i przestała jej odpisywać. Kartka to kartka, własną ręką napisana, nawet

zdawkowa, nawet standardowa, stereotypowa, ale kartka, a nie to elektroniczne gówno, którego nawet koleżankom pokazać się nie da. Bo i jak? Wydrukować? Wstyd. Przesłać? Bezsens. Wiedziała tylko, że koleżanka wyjechała do USA i tam sobie kogoś przygruchała.

W każdym razie tak jej powiedziano, bo ona sama w tych świątecznych mailach wylewna nie była.

Z rodziną Eleonora kontaktów nie utrzymywała, bo uważana była przez tę rodzinę za wredną babę, która tylko bruździ, a ona jedynie zapewniała koleżance odpowiednią dawkę rozrywki.

Każdy zna takie upierdliwe koleżanki, które odciągają żony od mężów, matki od dzieci, a babcie od wnuków? To właśnie ten typ.

I jeszcze koleżance uświadamiała, że wcale nie ma obowiązku dokładać się do wydatków rodziny, z którą nie mieszka.

Takie małe stwierdzenie, że może, chociaż nie musi, wywołało panikę w niektórych portfelach, a nawet planach wakacyjnych.

Wiadomo, Eleonora była potworem w „babcięcej” skórce. Gdyby bajka o Czerwonym Kapturku była o niej, to z pewnością potoczyłaby się inaczej, bo Eleonora zagryzłaby wilka, zgwałciła myśliwego i skopała Kapturka, za to, że dealuje kanapkami, a ona woli coś mocniejszego.

A tak razem z koleżanką chodziły na imprezy, jeździły do Warszawy na bingo, bywały w kawiarniach, a według jej rodziny, to znaczy rodziny koleżanki, to był bezsensowny wydatek. Koleżanka, zamiast łaadować pieniądze w rodzinę, pakowała je bezczelnie we własne przyjemności, a to się nie godzi.

Jednak Lipski na żadne wymiany nie wyraził zgody.

– Nie zamierzam się z panią targować – warknął ze złośliwą satysfakcją. – Poradzę sobie sam!

Eleonora miała nadzieję, że jednak sobie nie poradzi, bo koleżanka za bardzo rodzinna nie była, mogła się wynieść i nikomu nawet adresu nie zostawić, ale było też coś innego. Coś, co ją niepokoiło.

– Podobno wyprowadziła się z Zastronia właśnie z powodu rodziny, która wciąż namawiała ją na dom spokojnej śmierci, tfu... starości, więc jak pan chce! – Roześmiała się złośliwie. – Jakby co, wie pan, gdzie mnie szukać.

Lipski był wściekły, ale postanowił spróbować chwilowo bez jej pomocy. Może dostanie numer telefonu od rodziny?

Zresztą może załatwi to inaczej? Przez biuro paszportowe?

Tyle że na wszystko trzeba czasu.

– A, i jeszcze jedno. – Eleonora odwróciła się do Lipskiego, choć wyglądało na to, że zamierza się oddalić w kierunku drogi.

– Tak? Słucham – westchnął z niezadowolaniem.

– Podejrzewa pan, że te zwłoki to ta moja koleżanka, Regina?

– A skąd takie przypuszczenie?

– A z pańskiej torebki. – Wskazała głową na jedną z trzymanyh przez Lipskiego torebek, a że były przezrocyste, dało się co nieco zobaczyć. – Ta bransoletka należała do Reginy, nawet do kąpieli jej nie zdejmowała.

Lipski przyjrzał się zardzewiałej metalowej obręczy z jakimiś koralikami i przez chwilę milczał, nim powiedział:

– Takich bransoletek może być tysiące. Na każdym bazarze pewnie można takie kupić.

– No nie, ona to od męża dostała.

– A co to zmienia?

– No tylko tyle, że on sam ją jej zrobił. Był złotnikiem.

– Przecież to nie jest złoto, złoto nie rdzewieje. – Lipski w takie rewelacje nie bardzo wierzył. – To akurat powinna pani wiedzieć! – mruknął, zadowolony, że złapał ją na takiej wpadce.

– On jej to zrobił z jakiegoś metalu, nie ze złota czy tam srebra, jak jeszcze się uczył, miało prawo zardzewieć, zresztą to na pewno należało do niej.

– Jakim cudem może pani być tego taka pewna?

– Niech pan obejrzy koralik, tam jest napis i korona, że Regina to jego królowa, a w ogóle to rób, co chcesz – dodała cicho, tak żeby jej nie mógł usłyszeć. – Debil. Tfu, przepraszam, pan debil – dorzuciła głośniej.

Za koleżanką odrobinę tęskniła, ale była przekonana, że ta ułożyła sobie życie, wcale nie spodziewała się, że żadnego życia do układania już nie miała.

Mineło kilka lat, więc odnalezienie tej jednej konkretnej bransoletki uświadomiło jej, że przez ten cały czas ona była tuż obok, tak jakby, ale jednak była.

Eleonora nie miała pojęcia ani kiedy dokładnie to się stało, ani dlaczego, ale miała przemożne wrażenie, że wie, co się stało.

– Ten siostrzeniec ją zabił! To na pewno on! Chciał ten dom od niej dostać. Ona nie chciała mu dać i *voilà!* – zakończyła, głośno wołając za oddalającym się policjantem.

– To pani zna francuski? – zdziwił się Makaron, podchodząc do niej trochę zaniepokojony rozwojem sytuacji.

– A co cię to, do cholery, obchodzi? – odburknęła wściekle i podreptała do siebie, żeby trochę przetrwać sprawę.

* * *

Zeszły do kociej piwnicy.

Przywitała je cisza. Rozejrzały się w pomieszczeniu i ze zdziwieniem nie zauważyły ani jednego kota, a przecież nikt nie mógł ich wyłapać. Możliwe, że wyszły stąd same, jakąś inną, kocią drogą, ale dlaczego nie wróciły? Koty przywiązują się do miejsca, a tu widać było jeszcze miski i puszki po konserwach rybnych, na podłodze leżały przeróżne papiery, na które koty chyba się załatwiały.

– O patrzcie – Marietta podniosła jedną kartkę niezalaną moczem – tu jest jakiś tekst. O seksie. „Wziął w rękę miecz, a w drugą swoją buławę”.

– No nie, facet miał dwa penisy?! – jęknęła Kaśka z zachwytem. – Tego by nawet Karolina nie wymyśliła! To w ogóle możliwe? Bo teraz ostatnio chodzą takie książki, trochę jakby takie bardziej zboczone.

– To o Władysławie Warneńczyku – wyjaśniła Róża, przyglądając się tekstowi na drugiej stronie.

– Prawdziwy facet? Poważnie? I on takie coś? No a w ogóle się o facecie nie słyszało, występuje w pornusach chociaż?

– To był król, nie aktor porno! Miecz i buława to takie normalne... Miecz, buława – podkreśliła – wypracowanie z historii, coś wam to mówi?

Wzruszyły ramionami. Historia ich nie interesowała.

– Ale co z kotami? – zapytała Kaśka.

Nagle usłyszeli coś, co wydało im się podejrzane.

– Chrrrr – rozległo się spod ściany i zaciamało.

– Tam są. – Marietta wskazała. – Trzeba je złapać, póki siedzą pod płachtą. Chyba nie ma ich dużo.

– Wyglądają jak jeden wielki, pijany kot – stwierdziła Róża. – Idę po Józeczka, koty kotami, ale facet się tu przyda. To przecież może być morderca.

Kształt pod płachtą był spory.

– O, jeszcze jedno tu jest. – Kaśka złapała za kartkę leżącą na pudle chyba tylko po to, żeby zasłonić się nią przed mordercą. – Skąd te kartki?

– Eeeyyyy – odpowiedział kot gigant spod plandeki i wystawił głowę. Nie miał kocich uszu ani wąsów, miał za to długie, skoltunione włosy.

– Kim pani jest?! – krzyknęła Róża, która zdążyła już wrócić, choć nie było z nią Józeczek, bo ten ostrożnie schodził na dół, zaopatrzonego w inhalator, który trzymał tak, jakby zamiast wdychać lek, miał zamiar psikać nim w koty.

– Pijawka jestem, bardzo mi miło – powiedziała kobieta, wyciągając rękę do Róży, po czym znów padła i zaczęła chrapać, co było dość logiczne, bo padła na wznak.

– Skąd ona się tu wzięła? – Róża nie była w stanie zrozumieć, jak ktoś mógł się tu dostać, nie mając kluczy. Pominąwszy stan, który wskazywał raczej na przemieszczanie się bardzo niepewne albo co najmniej chwiejne.

No i choćby tym stanem powinna zwrócić na siebie uwagę, a przecież raczej nikt nie zauważył całkowicie pijanej kobiety latającej po bibliotece.

– Ona tu chyba na czworakach przylazła...

Stękanie jakoś wyrwało ich z osłupienia.

– Ona, tam pod tą plandeką, ten... seks? – Marietta wytrzeszczyła oczy, bo choć, co prawda, twarz i głowa kobiety wystawały spod plandeki, to reszta nadal była nią zakryta, ale nie było tam miejsca na nikogo innego.

– Eseeeech – stęknęło jakby obok, ale też bardzo nisko, coś szurnęło. Znów stęknęło.

– Ale jaki seks? – Róża oczywiście nie miała zamiaru pytać o rodzaj seksu, był to po prostu wyraz sprzeciwu, ale Kaśka odpowiedziała.

– Zboczony! O, taki! – Podesunęła kartkę. – Czytajcie. „Wydostawał się z niej białawy, lepki płyn, który oblepiał ręce, kleił się do ubrań, rozchlapując się gęstym strumieniem dookoła, wszystko było nim zalane, postanowiła to zlizać!” Widzicie?!

– No, obrzydliwe...

– Fffuuuj, ble... – dołożyła swoje Marietta. – Takie teksty powinny być zakazane!

Róża wyrwała kartkę z rąk Kaśki. Przeczytała, odwróciła, doczytała resztę, Wściekła się.

– Przestańcie świrować! – krzyknęła. – To strona z książki podróżniczej, kawałek opisu, jak kobieta w dżungli otwiera puszkę mleka skondensowanego! Czy wyście już powariowały?! Czy ten seks wam już mózgi wypalił?

Nagle na poziomie podłogi pojawiła się, stękając, głowa.

– Kto, do cholery, zablokował kocie wejście? To nieetyczne, koty nie mają gdzie spać. Kto to zrobił, co?

– A co pani tu robi? I... Anita? – zdziwił się jedyny mężczyzna w tym towarzystwie.

– Anita, Anita nic, nic nie robię, przyszłam koty nakarmić, a co, nie wolno?

– Wolno, kochanie, wolno – odezwał się Józeczek, żony się tu nie spodziewał. Jak każdy mężczyzna, a właściwie każdy żonaty mężczyzna, przy żonie potulniał. – Ale dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie może i byłaby ciekawa, jednak z góry usłyszeli wołanie dyrektorki.

– Panie Józeczku, policja do pana!

W tym momencie usłyszeli, jak ktoś schodzi po schodach. W drzwiach pojawił się Lipski, który o kotach słyszał, więc się ich spodziewał, natomiast głowy na podłodze i kobiety pod plandeką nie spodziewał się wcale.

– Co tu się, do cholery, dzieje?! Przecież...

Nie mógł powiedzieć, że to jest miejsce zbrodni, ale nagle głowa na podłodze uświadomiła mu sposób, w jaki morderca mógł dostać się do biblioteki, nie będąc zauważonym przez pracowników.

– Co to za przejście?

– Kocie, to znaczy było kocie, ale ktoś je zastawił i teraz nie można wejść.

– A wcześniej?

– Wcześniej było całkiem spore.

– Boże kochany, skąd ja wezmę techników?! – jęknął. – Kim jest ta osoba? – Wskazał na tobołek pod plandeką.

– To ja – odpowiedziała, znów budząc się, kobieta. – Pijawka jestem, bardzo mi miło. – Wyciągnęła rękę, ale po chwili cofnęła ją z obrzydzeniem. – Gliny? To nie, nie bardzo mi miło!

– A to kto? – Lipski wskazał na głowę w podłodze.

– Państwo pozwolą, moja żona, Anita – oznajmił Józeczek tekstem prawie jak z Barei.

Lipski niezmiernie się ucieszył. Chciał porozmawiać z Józeczkiem, który był siostrzeńcem sąsiadki Eleonory, ale jego żona też mogłaby być pomocna w tym wypadku, kobiety są bardziej rodzinne, więcej wiedzą i mogą udzielić o wiele dokładniejszych informacji. Nie zamierzał marnować okazji.

– Pani wyjdzie z tamtej strony i przyjdzie z tej – zażądał. – Muszę z panią porozmawiać.

– Jeszcze czego – warknęła Pijawka, sądząc, że to o nią właśnie chodzi. Ona Anity nie widziała, a w ogóle wszystko do niej docierało poprzez gęste opary alkoholu i zawrotów głowy. – Mowy nie ma, ja znam swoje prawa! Nie wolno wam tak robić! Bez nakazu nie poddam się rewizji! Nie ma mowy, ratuuunku! Biją mnie! – krzyczała, leżąc i nawet nie szamocąc się z plandeką.

– Nikt nie chce pani rewidować. – Lipski westchnął wściekle, znał tych wszystkich świrów, którzy najczęściej po pijaku znali swoje prawa i ogłaszali to bardzo głośno i w zupełnie nieadekwatnych do tego sytuacjach. – Mówiłem do tej z dziury!

– Zdziry? Jak pan śmie, ja nie jestem zdzirą! – piekliła się Pijawka. – I wcale panu tego nie oddam, to jest moje!

Lipski nie był idiotą.

Ludzie często odmawiają policjantom inteligencji, w wielu przypadkach nie mają racji i tym samym się pograżają. I wcale nie chodzi o obrazę policyjnego majestatu, ale o to, że niektóre zachowania zwracają uwagę na rzeczy, na które sam z siebie nikt uwagi by nie zwrócił.

Lipski po takich zapewnieniach Pijawki nie przepuściłby okazji, żeby jednak dowiedzieć się, co to za rzecz, której aż tak bardzo kobieta nie chce mu pokazać.

Tyle że nie było to aż takie proste.

Dwóch ściągniętych z sąsiedniego posterunku policjantów (ci z jego byli zajęci przy domu Eleonory) przyjechało, skuło Pijawkę na leżać, potem postawiło niejako na baczność i po walce (oraz wytarciu mundurów z wymiocin) przygotowało ją do odwiezienia na izbę wytrzeźwień.

Najpierw jednak przy okazji wydobyli z jej kieszeni breloczek.

– Oddajcie mi go! Nie wolno wam. – Pijawka jeszcze walczyła jak... No cóż, na lwicę nie wyglądała, ale porównanie z odurzonym eukaliptusem koałą pasowałoby jak należy.

Breloczek był zwyczajny, mały, zielony, z guziczkiem. Szarpiąc się mimo policyjnej obstawy Pijawka usiłowała wyrwać go z rąk Lipskiego, pluła, kopała, a nawet wznosiła się na wyżyny intelektu, wymyślając wszystko to, czego według niej policjanci nie mogą, kleła jak dwóch pijanych szewców i trzech taksówkarzy, jak najbardziej warszawskich, oraz piekliła się jak każda wściekła kobieta.

W pewnym momencie szarpnęła za breloczek. Lipski złapał go mocniej i tym samym przycisnął znajdujący się na nim guziczek.

Mieli spore szczęście, że ten skądinąd niewinny przyrząd nie był podłączony na przykład do jakiejś bomby atomowej, albo choć ładunku wybuchowego, bo chybaby wylecieli w powietrze.

– Neeee! – krzyknęła mocnym głosem Pijawka, aż się skulili.

Zupełnie nie rozumieli, dlaczego tak protestuje.

– A właśnie, że tak – warknął Lipski i wściekle nacisnął guziczek ponownie.

– Neeee! – krzyknęła znów Pijawka.

Nacisnął.

Krzyknęła. Znów nacisnął. Znów krzyknęła i tak kilka razy.

– Czy ten breloczek włącza Pijawkę?! – zapytał zaszokowany Józeczek. – Jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

– Ja też nie – zdziwił się Lipski i znów nacisnął na breloczek, ale tym razem obserwował kobietę stojącą pomiędzy dwoma policjantami.

– Nieeee – rozległo się głośno i wyraźnie.

Teraz zauważyli. Pijawka miała zamknięte usta.

– O kurwa! Ona jest brzuchomówcą! – zawołał Józeczek i z wrażenia usiadł na jakimś pudle. – O ja pierdole! Nigdy czegoś takiego nie widziałem! – powtórzył.

Pudło się zapadło i Józeczek wylądował na podłodze w stertach zasikanych papierzyk i kocich gó-wien. W tym czasie głowa jego żony wydołała się z dziury, a potem pojawiła wraz z całym ciałem w drzwiach wejściowych do piwnicy.

– Bo wie pan, tu było takie tajne kocie miejsce – wyjaśniła, otrzępując ubrania z resztek ziemi, na której wcześniej leżała.

– Dlaczego tajne?

– No bo je utajniłiśmy przed emerytkami. Wie pan. Rozumie. Prawda? No bo to, żeby tak jakby...

Nic nie rozumiał. Usłyszał tylko „my”, bo „utajniłiśmy” oznaczało jakieś „my”, czyli nie chodziło tylko o Anitę, ale i o kogoś jeszcze, oraz emerytki, przed którymi utajniać trzeba wszystko, ale nie koty.

Bo emerytki źle reagują na każde odstępstwo od normy i wcale nie chodzi o normę „ogólnie przyjętą” ani o „szeroko pojętą”, ale ich własną.

Okna w autobusach miejskich? Muszą być zamknięte, nawet gdyby ktoś miał się udusić, ale żaden powiew nie może zmaćcić spokoju albo fryzury babci emerytki.

Człowiek w autobusie ma się dusić i już, bo powiew świeżego powietrza zabija.

Psy nie mają prawa szczekać nawet w dzień. Dzieci biegać boso po suficie, nawet jeżeli ten sufit jest równocześnie podłogą ich dziecięcego pokoju i jest dzień, a nie ciemna noc.

Nie wolno sąsiadom słuchać niczego innego poza disco polo i panuje niepisany, ale ściśle przestrzegany zakaz wyrzucania śmieci w niedziele i święta. Nie wolno wieszać majtek na balkonach i... No ale koty?

– Emerytki kochają koty! – stwierdził Lipski, choć spodziewał się zaprzeczenia, skoro te koty utaj-niono.

– No tak, aż za bardzo! Przynoszą im jedzenie – westchnęła Anita, czego nikt nie zrozumiał.

– To źle? – Pytanie padło z kilkorga ust i zawisło nad zebranymi.

– Oczywiście, że źle! One przynoszą resztki, śmieci, stare ziemniaki, pierogi, spleśniałe obiady, zar-cie jak dla świń, a nie dla kotów. Nie może tak być! Koty muszą jeść porządne kocie jedzenie. Puszki albo karmę. Suchą, kocią – wyjaśniła bardzo zaangażowanym tonem. – Kilka razy przyłapałam taką jedną z drugą, co nawet... No ale pan chyba nie chciał rozmawiać o kotach?

Lipski nagle poczuł, że o kotach też chce rozmawiać, ale i o ich ciotce, czy jak jej tam, ciotecznej babce. Najpierw, skoro była już o tym mowa, zdecydował się na koty.

– Kto wiedział o tej kolonii?

– Tylko kilka osób. Przede wszystkim chłopaki – powiedziała Anita – te, co piją pod biblioteką, wie pan. A tak to tylko ja. Nie wiem kto jeszcze, ale naprawdę nie rozumiem. Po co to panu? Czy takie kocie kolonie są zakazane? Nawłocki? Prezydent miasta pana nasłał? Tak?

– Nie. Nic z tych rzeczy, bardziej chodzi mi o to, że o tym wejściu też wiedziało kilka osób?

– No a jak inaczej? Dopiero dziś ktoś je zatkał, bo wejść nie mogłam, ale to mogła być ta wasza arez-tantka. – Wskazała na drzwi głową, bo tamtędy właśnie wyprowadzono Pijawkę. Lipski chciał ją oczy-wieście przesłuchać, ale niespecjalnie miał jak. Była za bardzo nawalona.

– Zna ją pani? – zapytał z nadzieją w głosie. Wszelkie informacje były dla niego na wagę złota.

– Pijawkę? No przecież! Każdy ją zna. Ona taka bardziej... No, na Makarona poluje, to do chłopaków przysłała, ale że inteligencją nie grzeszy, urodą nie powala, a pije jak pompa, to wszyscy ją znają, ale każdy jej unika. Pewnie przyszła tu pospać.

– A koty?

– A ja wiem? Wygoniła chyba, bo spać przy takiej ilości się nie da, robią sobie z człowieka poduszkę do pazurków, no dobra, jednego jeszcze by się dało znieść, ale nie tyle.

Lipski stwierdził, że o ile dotychczas podejrzani byli wszyscy obecni w bibliotece, to teraz obraz mu się jeszcze bardziej zamazał i rozmazał, bo podejrzanyymi byli też wszyscy nieobecni, skoro każdy mógł tędy wejść.

Dziura w suficie, która została wybita przez Mariannę, była zatkana dyktą, ale i tak to pomieszczenie dawało swobodny dostęp do biblioteki.

– Ale, zaraz – zdał sobie nagle sprawę z pewnego problemu – piwnica zazwyczaj jest zamknięta, tak?

– Oczywiście – odparła Róża, strażniczka wszelkich możliwych kluczy, nawet tych do kibelka.

– Czyli jednak nikt nie mógł tędy wejść? To znaczy mógł wejść tu, ale stąd się nie wydostał na górę. Bo jak?

– Zwyczajnie – odpowiedziała Róża z westchnieniem. – Mógł, bo wtedy piwnica była otwarta. Tam obok były parawany, te, co potem zostały ustawione na scenie. Nie zamykałam, bo wiedziałam, że po godzinie Józeczek je złoży i będzie musiał gdzieś odnieść, a wolałam, żeby od razu tutaj je przyniósł, niż żeby miały się walać pomiędzy regałami. Skąd mogłam wiedzieć, że morderca tędy wejdzie, żeby ją zabić? Nie mogłam tego przewidzieć, ja nawet o tych kotach nie wiedziałam, gdyby nie pani Marianna, nikt by nie wiedział. – Kiwnęła głową w stronę Marianny, która ze spokojem oglądała zasikane, po-mięte kartki leżące na ziemi, jakby zupełnie nic innego jej nie obchodziło.

– I powiecie mi, że to nie jest o seksie? – zapytała, wskazując stos kartek.

– Pani Marianno, później – jęknęła Róża.

– No właśnie. Teraz chciałbym porozmawiać z państwem na osobności. – Skinął na Józeczka i jego żonę.

* * *

Róża zaprowadziła Anitę i Józeczka na górę, gdzie mieli odpowiedzieć aspirantowi Lipskiemu na kilka standardowych pytań, jak się wyraził ten ostatni, a sama wróciła na dół, gdzie czekały na nią Marietta, Kaśka i Marianna, ta ostatnia z plikiem zasikanych kartek w dłoni i jak najbardziej zaaferowaną miną.

– Widzi pani? Sam seks, sam seks, i to w bibliotece! Jak tak można? – Wyciągnęła rękę z kartkami w kierunku bibliotekarki.

Oburzenie Marianny jakoś nikogo nie przekonało. Trzymane przez nią kartki były stronami starych książek, kopiami albo papierem, w który pakowano czasami książki w drukarniach, a tam pakowano je właśnie w nieudane i nieopięte arkusze, na których też były strony, okładki albo ilustracje książek i oczywiście Marianna nie miała racji, to wcale nie był sam seks.

Było tam wszystko.

Kobiety popatrzyły na Mariannę, chcąc zrozumieć, o co jej chodzi.

– Nie powinno się mówić o seksie w bibliotece! – wypaliła, święcie oburzona i równie święcie przekonana, że ma rację. – Nie powinno się przechowywać tu tych świńskich książek, nie powinno się dawać tego ludziom do czytania!

Jak każda zafiksowana na punkcie seksualności osoba, Marianna nie umiała wypośrodkować swoich opinii, zresztą jak każda zafiksowana na czymkolwiek osoba przesadzała.

Dla niej w stanie, w jakim się znajdowała obecnie, wszystko się sprowadzało do seksu. Takie rzeczy jak: bita śmietana, rurki z kremem, owoce papai, a nawet bajki braci Grimm.

Tego już Róża nie wytrzymała.

– Pani Marianno! – warknęła. – Ja naprawdę mam pani dosyć. Pani, pani seksu, wyglupów, noży i tego wszystkiego, co pani wyprawia, nie mówiłam dotąd o tym policji, ale jak Boga kocham, jeszcze jeden taki numer, a powiem. Niech pani nawet nie próbuje, bo to się źle skończy. Rozumie pani? Mam dość!

– Rozumiem, ale...

– Żadne ale! To musi się skończyć! Natychmiast!

– Ale...

W tym momencie zaczął dzwonić komórką Róży, której dźwięki ustawione były tak, że zanim jeszcze odebrała, wiedziała (nie zawsze, ale najczęściej), kto dzwoni. Ćwierkała dyrektorka. Kiedyś ustawiła sobie inny sygnał, kołysankę Komedy z Dziecka Rosemary, ale potem się przestraszyła, że jak się dyrektorka dowie, to się wścieknie, w końcu nikt nie chce być kojarzony z antychrystem.

– Tak, pani dyrektor? – Odebrała, próbując się uspokoić. Na niewiele się to zdało. – Gdzie? W beletryście pod D? Naprawdę? W tym kącie pod oknem? Nie, no... To naprawdę przegięcie. Trzeba to pokazać temu policjantowi! Nie mamy innego wyjścia – powiedziała, kłaniając się, choć dyrektorka nie mogła jej zobaczyć, i popatrzyła groźnie na Mariannę.

– Niiieee! – krzyknęła Marianna. – Proszę. Niiieee!

Jej krzyk Róża oczywiście zrozumiała, natomiast obie pisarki były całkowicie nieświadome jej antyseksualnej działalności, i dobrze, bo pewnie by ją na miejscu pobiły, wiadomo – można mówić, co się chce, ale niszczenie książek i utrudnianie im dotarcia do potencjalnych czytelników jest naprawdę godne potępienia i kilku ciosów w szczękę. A jednak tego nie były świadome, tylko ten okrzyk skojarzył im się z Pijawką.

I jeszcze z czymś.

– Po co panu kontakt do ciotki Reginy? – zdziwił się Józeczek. – Prawdę powiedziawszy, ja sam niespecjalnie wiem, gdzie ona teraz jest, mam telefon, proszę bardzo. – Podał numer komórki.

Lipski przepisał numer, ale chciał wiedzieć więcej.

– A gdzie ona mieszka? Bo zameldowana jest jeszcze chyba w tym domku? Na Strunowej dwadzieścia osiem B.

Anita i Józeczek popatrzyli na siebie z ciekawością.

I to akurat było o tyle dziwne, że może i w rodzinie bywają różne niesnaski, mnóstwo jest czarnych owiec i nieporozumień, ale raczej się wie, gdzie kto mieszka.

– Wyjechała do Meksyku? – zapytał Józeczek, jakby to Lipski miał mu udzielić odpowiedzi na to pytanie.

– Albo do USA? – także pytając odpowiedziała Anita. – Wie pan, ona nie była jakoś strasznie z nami zżyta, chciała wyjechać, to wyjechała, przepisała wszystko na Józeczka, ale nie tak, że za darmo, matka jej coś tam zapłaciła. To znaczy moja teściowa. No i Józeczek wynajmuje teraz, nie ma z tego kokosów, ale podatki odprowadza, a ciotka, czy jak jej tam, cioteczna babka, to nie, nie jest tam zameldowana. W każdym razie nie powinna.

– A papiery?

– Co papiery?

– No zwyczajnie, macie jakieś dokumenty?

Józeczek popatrzył na policjanta z taką miną, jakby ten pytał go, czy ma wszy. Ludzie tak reagują. Papiery nie są czymś, co się kocha, a one też potrafią się za ten brak miłości mścić – giną, wpadają na dno szuflady, spadają gdzieś poza nią. Giną na amen i na chwilę, i powodują prawie zawsze ataki serca

tych, którzy nagle zdają sobie sprawę, że trzeba przegrzebać tony papieru, a i tak wiadomo, że złośliwe cholerstwo zrobi wszystko, żeby nie zostać znalezione.

– Jasne, że mamy. – Anita wzruszyła ramionami. – Gdzieś są, może u teściowej? Musimy poszukać, ale oczywiście, że tak. Jeżeli trzeba, to przyniesiemy. Nie wiem, może jutro?

– A utrzymujecie z nią jakiś kontakt?

– No właśnie nie, ale ciotka tylko z panią Eleonorą się zadawała, z nami tak średnio. To znaczy, może z teściową utrzymywała kontakt?

– A dlaczego pani mówi o niej w czasie przeszłym?

– Proszę, proszę, błagam, niech pani nie mówi. Nie mogłam się powstrzymać, naprawdę to było silniejsze ode mnie.

– Kiedy?

– Dziś rano, no spać nie mogłam, jak tylko otworzyliście, to podrzuciłam.

Zapipkał telefon i Róża odebrała SMS-a ze zdjęciami.

– Proszę! – Pokazała je wszystkim. – Nie będę pani kryć! – dodała po chwili, jakby na usprawiedliwienie tego, że pokazuje to obu pisarkom.

Marietta i Kaśka ujrzały egzemplarz swojej książki z nożem wbitym w okładkę i aż zdębiały.

– Jezuuu, ale to jest mocne! Przecież to promocja jak się patrzy! Może mi pani wysłać? Pliss, plissss!

Róża wysłała trzy zdjęcia, bo w sumie dlaczego miała tego nie zrobić, to nie była żadna tajemnica.

Kaśka i Marietta wpadły w zachwyt. Natychmiast zamieściły zdjęcia na Instagramie i na Facebooku z podpisem „to jest tak dobre, że aż trzeba to zniszczyć”.

Pewne działania promocyjne wcale nie polegają na pokazaniu czy napisaniu, że coś jest dobre, niekiedy wystarczy pokazać, że jest. Odpowiednio mocne zdjęcie robi czasem lepszą robotę niż laurka pochwalna. Fakt, ludzie się pod nim będą wściekać, pieklić, wyzywać, ale i tak po prostu pójdzie w świat.

– Ale policja? – jęknęła Róża, bo nie zdawała sobie sprawy z tego, co może wyniknąć z takiego obrotu rzeczy. Popiskiwanie telefonów autorek pokazało, że zdjęcia budzą zainteresowanie.

– Neeee! – krzyknęła Róża, nieco spóźniona w swojej reakcji.

I wtedy to do nich dotarło.

– Tak samo jak przy tym breloczku – stwierdziła Kaśka. – No, tym, co włączał tę Pijawkę.

– Pijawkę.

– No tak.

– I takie coś też było podczas spotkania, nie? Jak wtedy ktoś zapytał o ten seks, coś takiego było i Karolina tak krzyknęła. Nie? – Marietta zamarła na moment, zaszokowana tym, co właśnie do niej dotarło.

– Ale to była ona? – zdziwiła się Róża.

– A kto? Na pewno nie ja! – mruknęła Kaśka.

– Ja też nie, ale nie o to mi chodzi. – Marietta przez chwilę usiłowała coś wymyślić, żeby dokładnie wytłumaczyć to, co chciała powiedzieć. – No, bo to mógł być każdy.

I to rzeczywiście był kłopot, bo rozpoznanie głosu po tak krótkiej wypowiedzi, i to nacechowanej emocjonalnie, na dodatek wykrzyczanej, stanowi prawdziwy problem.

– Chodzi mi o to, że taki breloczek mógł krzyżeć, a wszyscy wzięli to za odpowiedź Karoliny, a potem pomyśleli, że wtedy ktoś ją zamordował, a ona już nie żyła i w ten sposób ktoś załatwił sobie alibi.

– Zbyt skomplikowane i w ogóle, to by musiało być przygotowane, a więc ktoś musiałyby wszystko wiedzieć, dokładnie wszystko! Kto pisał tę książkę, kto napisał sceny erotyczne, kiedy będzie spotka-

nie, no dosłownie wszystko.

– I o kotach też.

– No ale dlaczego?

– Bo musiał tamtędy wejść, a breloczek? Skąd u Pijawki breloczek?

– Albo to ona, albo znalazła. Myślę, że to może być ona.

– Jasne, chciałabyś, ale jakim cudem Karolina pozwoliłaby jej do siebie podejść? Dlaczego się jej nie wystraszyła?

– Przecież mogła się wystraszyć po cichu, a poza tym mogła ją znać.

Poszły wszystkie naraz na górę i na swojej drodze spotkały akurat tego, kogo spotkać powinny, choć nie za bardzo chciały. Marianna bała się reakcji na swoją działalność, Kaśka i Marietta na udostępnienie zdjęć z tej działalności, zresztą celowo zrobiły to tak natychmiastowo i bez przeróbek, żeby zdążyć przed zakazem, którego się spodziewały.

Róża bała się tego, że po prostu je zwyczajnie opieprzy za wtrącanie się w nie swoje sprawy.

Policja nigdy nie lubi czegoś takiego.

Róża była dość wycofaną, spokojną, miłą i introwertyczną osobą, która, gdyby nie musiała, w ogóle nie wychodziłaby między ludzi, bo ją przerażali, ale nie mogła, musiała pracować, bo musiała jeść i czasami kupować papier toaletowy, płacić za mieszkanie i prąd oraz za suchą karmę swojego kota, którego wręcz uwielbiała. Od biedy praca w bibliotece była w miarę w porządku. Oznaczała kontakty z ludźmi, ale jak coś, to Róża zawsze mogła na chwilę ukryć się między regałami, uspokoić, a potem wrócić z uśmiechem na ustach. Dlatego teraz bała się Lipskiego, bo reprimend nie znosiła.

Zresztą tu akurat jej introwertyzm nie miał nic do rzeczy, reprimend nikt nie lubi.

– No bo – Anita zawałała się jakoś – no bo to tak mi się powiedziało, nie kontaktuje się teraz, ale może kiedyś się kontaktowała. O to mi chodziło. – Wzruszyła ramionami.

Lipski nie przykładął zbyt wielkiej wagi do takich pseudopsychologicznych sztuczek, ale czasami działały, bo człowiekowi, który wie, że ktoś nie żyje, trudno jest mówić o tym kimś w czasie teraźniejszym. To jakoś tak działa i jest silniejsze, niżby się wydawało, trzeba się bardzo kontrolować, żeby nie wpaść w tę pułapkę, ale teraz Lipski sam nie był pewny, czy osoba, o którą pytał, żyje czy nie żyje.

Opowieść o bransoletce, owszem, mogła mieć znaczenie, ale nie musiała. Takie coś da się zdjąć i podrzucić. Nie jest przyspawane do ręki. Ba, to da się zgubić, to można zakopać celowo, wcale nie będąc martwą, to jest swego rodzaju poszlaka, ale nie całkowita pewność.

Wszystkie znalezione kości i szkielety wysłano do patologa, który kłął na czym świat stoi, bo kości się pomieszały i był to przedziwny konglomerat utopionych w mokrym w tej chwili błocie kości ludzkich i jak najbardziej ludzkich.

Po tym, jak on się wypowie, można będzie dopiero zacząć badania DNA, ale i tak nie te najprostsze, bo Lipski nie sądził, że znajdzie coś, co należało do Reginy i mogłoby posłużyć za materiał porównawczy. Nikt nie trzyma przez dziesięć lat szczotki do włosów ciotki, która od dawna siedzi w Stanach.

To samo dotyczy szczoteczki do zębów.

Trzeba będzie porównać z DNA siostry, ale i to nie zawsze jest możliwe. A jak nawet jest, to trwa bardzo długo.

– A jak to się w ogóle stało, że dostał pan ten jej dom?

– Nie dostałem. Odkupiłem, fakt, za nie największe pieniądze, ale odkupiłem, potrzebowała na coś, nie wiem. Potem się okazało, że nabrała chwilówek, wzięła coś z jednej firmy pożyczkowej, nie oddała i zniknęła.

– A taaaa, jasne, nie największe... – wściekła się Anita. – Zupełnie nie wiem po co. Przecież i tak dostałbyś go w spadku, po co było w to łądować całe oszczędności? – Anita była podenerwowana, ale chyba jej to nie przeszkadzało wyzłośliwiać się na męża.

– Czyli pani Regina planowała jakiś wyjazd? – Lipski pominął milczeniem ten finansowy wtęret.

– A skąd mamy wiedzieć?! – obruszyła się Anita. – Pan nie wie, jaka to była wredna krowa. Jeżeli coś mówiła, to wyłącznie tej Eleonorze, a tak to tylko się śmiała. I tak! Znow użyłam czasu przeszłego, ale to było kiedyś, w przeszłości! Tak się człowiek zazwyczaj wyraża!

Anita była podenerwowana, wyraźnie zaczynała się bronić, atakując słownie policjanta.

– No tak, powiedziała pani, że ciotka była wredną krową w przeszłości, to oznacza, że teraz nie jest wredną krową, czy że nie żyje?!

– Jest wredną krową! Nie jest. Nie wiem... Czy pan oszalał? Jak to nie żyje? Skąd taki pomysł? Dlaczego miałyby nie żyć? Czy coś... W tamtym domu... O nie! Tylko nie to!

– Czyli jednak pani coś wie?

– Nie, na litość boską, nic nie wiem! Ale...

– No, proszę powiedzieć, bo tak czy tak oboje jesteście zamieszani w tę sprawę.

– Ale w jaką sprawę, do cholery? – Józeczek aż pozieleniał.

Anita przez moment zastanawiała się chyba, co zrobić, ale po chwili zacięła się w sobie i zacisnęła usta, a potem założyła ręce na piersiach w geście upartej rezygnacji.

– Dobra, jak chcecie. Na jutro proszę wszystkie papiery. I chcę porozmawiać z pańską matką – warknęła Lipski do Józeczka. Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Nie chciał i nie mógł za bardzo ich teraz przyciskać, bo nie był pewien, do kogo może należeć szkielec w ogródku. Całkiem możliwe, że należał do Reginy, ale pewności jeszcze nie było. Wolał to najpierw sprawdzić, rewelacje na temat bransoletki miały sens i były rozsądne, ale też nie stanowiły dowodu.

No i sam fakt, że przekazała mu je właśnie Eleonora, też sprawę utrudniał.

Sorka nie była całkowicie wiarygodna. Owszem, znała bransoletkę, znała ofiarę, tfu, przypuszczałań ofiarę, ale to była tylko wiedza ogólna, a nie fakty.

Już miał wychodzić, ale Anicie chyba puściły nerwy.

– A pamiętasz, jak tam śmierdziało?! – rzuciła do Józeczka. – Zakopywała te swoje zwierzaki, a potem to przejść nie było można! Cuchnęło, że strach.

– Nie, no, tak, racja – powiedział mąż z godnością, wyraźnie było widać, że to Anita w tym związku nosi spodnie, choć mąż chciał je z niej przemocą zderzeć, wcale nie w celach rozrywkowo-seksualnych – ale wiesz, to śmierdziało, nawet jak ciotka wyjechała, więc kto wie?

– A ty może wiesz, ile śmierdzi taki zwierzak? Bo ja nie wiem – odburknęła.

Lipski pomyślał, że on też nie ma pojęcia.

Chciał spokojnie wrócić na posterunek, ale nie było mu to dane.

– Proszę bardzo! Proszę, pan patrzy! – Dyrektorka złapała go w korytarzu, trzymając w ręku fachowo niemal, przez chusteczkę, książkę. Nie byłaby dziwna, gdyby nie tkwił w niej nóż.

– Ale o co chodzi? – zapytał, bo w tym momencie jeszcze nie skojarzył.

– No, proszę? To jej robota! – Wskazała na Mariannę. – Taka niby grzeczna, niewinna, taka skromna, a to?! I niech mi ktoś powie, że to nie ona zabiła tę biedną Karolinę, to nie uwierz! I mam tego dość! Rozumiecie?! Dość, poszłam do pracy do biblioteki po to, żeby pracować w spokoju, nie pisałam się na makabrę!

Dyrektorze puściły nerwy. Była typową bibliotekarką, o ile takie istnieją, spokojną, pomocną, często zaczytaną i niekiedy rozmarzoną. Kochała ciszę czytelní, szelest przewracanych kartek, zapach książek. Nienawidziła hałasu, zamieszania, gwaru i przepychanek, choć, tak jak w tej chwili, zdarzało jej się wpaść w furię.

– No ale... – Mężczyźni, nawet ci w policyjnych mundurach, czasami nie radzą sobie z furią kobiet.

– Podłóżyła to! Znów dziś to zrobiła! Nawet się przyznała! Ale to jeszcze nic, ona to robiła wcześniej! Ona morduje książki, literalnie morduje, dlaczego nie miałyby zamordować autorki? Ha! No i przecież każdy wie, kim była Karolina. Każdy!

Określenie „każdy” jest bardzo pojemne, ale niezbyt dosłowne.

– Zaraz, zaraz, zaraz. – Uspokoił furię dyrektorki gestem ręki. – Każdy wie? Co wie? Bo ja nie wiem!

– Ona była kochanką jej męża!

– No i sprawa się rypla – westchnęła Marietta – ale może to i lepiej, przynajmniej nas nie wymorduje.

W tym momencie okazało się, że solidarność, ta kobieca, i ta autorska, zresztą jak każda inna, ustępuje nożom.

– A wy też spiałyście z jej mężem? – Takie pytanie z ust obcego mężczyzny, nawet gdy jest policjantem, może szokować, bo niby co komu do tego, z kim, kto i w ogóle, lepiej nie zaglądać ludziom pod kołderki, ale w niektórych chwilach ta wiedza bywa niezbędna.

Najpierw rozległ się dość głośny śmiech, nie był szczery, był raczej zażenowany, ale w kilka sekund zamarł.

– O co chodzi? – Lipski nie zrozumiał tego zwrotu akcji. – Że tak czy że nie?

– Że nie, ale i tak to bez znaczenia.

– Dlaczego?

– Bo jej mąż to pół miasta przeleciał. Jeżeli ona teraz zechce mordować jego kochanki, to trupy będą leżały na ulicach.

– Ale wy nie?

– Oczywiście, że nie – pospieszyły z zapewnieniem, ale nie bardzo im wierzył. Nie dlatego, że miał coś do nich, nie wierzył, bo i tak by się nie przyznały wobec Marianny i wobec policji. I jedno, i drugie stanowiło zagrożenie – Marianna, bo mogłaby je zamordować, policja, bo mogłaby to ujawnić. Kobiety wprawdzie nie mają problemu z przyznawaniem się do kochanków, szczególnie tych już albo jeszcze wolnych, ale nie w masie. Kiedy są jedyne albo najukochańsze, lubią się tym szczycić, ale nie wtedy, kiedy są jednymi z wielu.

– Ja bardzo przepraszam – Kaśka skierowała wzrok na Mariannę – ale on dupy kosił jak rolnik siano. Hurtem. Te jej wygibasy z nożami i seksem są moim zdaniem bardziej żalosalne niż niebezpieczne.

Teraz Lipski musiał zareagować na tę sprawę i nie wiedział jak. Bo to było i ważne, i nieważne. Ważne, bo był w tym i nóż, i książki erotyczne, więc wszystko skłaniało go ku myśli, że kto wie... Nieważne, bo tylko idiota tak by się podkładał, co prawda nic nie przeszkadzało Mariannie być idiotką, w pewnym sensie nią była, ale kto tak wyraźnie sam na siebie rzuca podejrzenie o morderstwo?

– Pani Marianno, proszę ze mną – powiedział dość ostro, rozglądając się za miejscem, w którym mógłby z nią porozmawiać na osobności.

– Ale aresztuje mnie pan?! – krzyknęła zaszokowana. – Przecież ja... Ja nie... O Boże, chyba pan nie myśli...

– Myślę, nie myślę – odburknął bardziej do siebie niż do niej. – Lepiej, żeby to pani w końcu zaczęła myśleć, zamiast robić z siebie kretynkę.

Weszli do niewielkiego pomieszczenia, z którego Lipski na chwilę wyprosił jedną z pracujących tam kobiet.

– Niech pani mi powie, do jasnej, ciemnej i każdej innej cholery, co to ma znaczyć?! Pani specjalnie to robi? Chce pani zrobić sobie krzywdę czy tylko mi przeszkodzić w pracy? No?! Niech pani mówi, bo

nie ręczę za siebie, a naprawdę jestem na skraju wytrzymałości! – wrzasnął.

Mariannę zamurowało.

– Przecież ja to robię z dobrego serca, dla idei, dla... dobra publicznego, dla ludzi to robię. – Rozpląkała się, ale jej szloch bynajmniej nie udobruchał Lipskiego.

– Lata pani z nożem dla dobra ludzi? No jasne!

– Nie latam. Chodzi o książki.

– Przeszkadzają pani?

– Oczywiście, że tak! – wykrzyknęła prawie radośnie.

– To proszę ich nie czytać!

Marianna sama mogła wpaść na tak proste rozwiązanie, ale wcale nie o to jej chodziło. Ona nie chciała tego czytać, więc inni też nie powinni.

– To jest złe! Trzeba coś z tym zrobić! – zawołała pełna zapału do naprawiania świata. Wielu ludzi tak ma.

Lipski postanowił zmienić taktykę.

– Czy uważa pani, że psie kupy na trawnikach to coś złego?

– Oczywiście! – obruszyła się z całego serca.

– Zbiera je pani?

– No co pan? To nie moja sprawa!

– I tu właśnie dochodzimy do sedna. To, co czytają inni, to też nie pani sprawa! Jeżeli jeszcze raz zobaczą coś podobnego albo się choć o czymś takim dowiem, to wpakuję panią do więzienia za morderstwo. To nie będzie trudne, tym bardziej że wcale nie jestem tak na sto procent pewny, czy to nie pani, więc proszę się nie zbliżać do noży! I do książek erotycznych! Zrozumiano?

– Ale pan mi odbiera istotę życia! – jęknęła, tyle że już się nie rozpląkała. – Ja chcę pomagać ludziom!

– Proszę iść zbierać psie kupy na trawnikach! Zrozumiano?! A teraz dość wygłupów!

Wyszedł z pomieszczenia, trzaskając drzwiami i zostawiając Mariannę w osłupieniu.

– Ale jak to z daleka od noży? – zdołała wyjąkać. – A kanapki?

Narada w domu Eleonory dotyczyła przede wszystkim... wszystkich. To znaczy naprawdę chodziło o Eleonorę, Makarona i Luśkę, bo oni stanowili trzon całego zespołu, ale ze względu na okoliczności po chwili dołączyły do nich pisarki. Z daleka widać było też Pijawkę, która przemykała opłotkami i nie zbliżała się do domu Makarego. Nie było wiadomo, jakim cudem wypuszczono ją z izby wytrzeźwień ani czy w ogóle ją tam zawieziono, w każdym razie obecna była. Widziano też Lutka, który stał jak wrośnięty w ziemię, wcale się nie krępując i ze wścibstwem przyglądał się rozkopywaniu ogródka, bo nadal trwało.

Można by powiedzieć, że wystarczyło wziąć koparkę i machnąć dziurę raz-dwa, ale tym razem nie o dziurę chodziło, tylko o jej zawartość, a ta była cenna. Cenna na tyle, że nikt nie chciał jej uszkodzić, dlatego teraz, choć część kości z wierzchu wylądowała już u patologa, rozkopywano wszystko nadal, tym razem małymi łopatkami, z pędzelkami i miotełkami w rękach i wyglądało to na prawdziwe egipskie wykopaliska, bo co chwila coś mniej lub bardziej podobnego do kości, albo wręcz kostki, lądowało na sporej płachcie.

– Dużo tego. – Makaron był zdziwiony zawartością swojego ogródka, ale że był tylko najemcą, a nie właścicielem, nie bardzo się przejmował.

– Ona tam te swoje ukochane zwierzaki zakopywała.

– Tak na kupie?

– Ty mnie nie pytaj, nie wiem, ale możliwe, że tak.

– Zabijała je? – Makaron wypowiedział pytanie, które cisnęło się też Luśce na usta, bo jakoś ilość odnalezionych szczątków nie współgrała z normalnymi możliwościami właścicieli czworonogów.

– Oszalałeś?

– No bo oni to wykopują od rana... – Luśka westchnęła, a potem ściszyła głos. – Miałam wam nie mówić, bo w sumie nikt nie chce sensacji, ale tam znaleziono o wiele więcej, niż można się spodziewać.

– Psów, kotów?

– Szkieletów.

– No, o to mi chodziło, przecież co tam może teraz być? Tylko szkielety. Psie czy kocie?

– Ludzkie – powiedziała Luśka. – Znaleźli tam jakieś ludzkie szkielety. Poważnie! Zakopane ze zwierzęcymi. Koszmar, aspirant Lipski to w panikę wpadł.

– Jasne, że wpadłem! Oj Luśka, Luśka! – Lipski właśnie wszedł na taras i bez najmniejszego problemu podsłuchał, o czym rozmawiali. Nie przeszkadzało mu to o tyle, że i on z tymi dwójgiem chciał właśnie o tym porozmawiać. Szkielety to spory problem. Nie bardzo jest jak je zidentyfikować, a więc niespecjalnie wiadomo, w jakim kierunku szukać. Dlatego rozmowa z Eleonorą i Makarym mogła coś dać, nie musiała oczywiście, ale mogła. Jakież ramy czasowe? Plotki? Dziwne wydarzenia, które kiedyś do dziwnych się nie zaliczały, a teraz w związku z odkryciem nabrały specyficznej dziwności?

– Czy ta Regina była typem samobójczyni? – zapytał, choć bardzo trudno jest się zabić, a potem, po śmierci, jeszcze zakopać.

Takie pytanie uderzyło Eleonorę w spłot słoneczny, bo było głupie. Można wiele o człowieku powiedzieć, ale nie czy był typem samobójcy. Bo jak? Popelniał samobójstwo w co drugi czwartek, a w poniedziałki dwa? Opowiadał, że się zabije? Podobno ludzie rzadko o takich sprawach mówią sąsiadom, znajomym czy nawet najlepszym koleżankom, bo to nie jest temat do rozmowy przy kawie. I jak by to miało wyglądać? Cześć, daj cukru, bo kawa gorzka, a przy okazji mam zamiar się zabić. No bez sensu.

– Ale skąd to pytanie?! I o co chodzi? Dokładnie o co, bo ja po prostu nie rozumiem.

– No czy była ponura, mroczna, zapłakana, depresyjna...

– Czasami, tak jak każdy, ale nie przesadnie. Nie częściej niż raz na miesiąc.

– Okres? – Makaron rzucił to chyba jako żart, ale natychmiast zamilkł, widząc ich wściekłe miny.

– Miała około siedemdziesiątki, debilu – powiedziała do niego tym razem Luśka przy zadowolonej aprobacie Eleonory.

– Dalej nie rozumiem. – Eleonora fuknęła na Lipskiego.

– To proste. Pani się upiera, że bransoletka była Reginy, znaleziono ją przy szkielecie, a nawet przy szkieletach, wynikałoby z tego, że jeden z tych szkieletów należał do pani koleżanki. Dwa inne nie, więc pomyślałem o jakimś kochanku. Kochankach? Rozszerzonym samobójstwie?

– Nie, aż taka „romantyczna” to ona nie była – burknęła z przekąsem Eleonora, miała czarny pas w sarkazmie i stosowała go bardzo sprawnie – ani zdesperowana, ale przecież to nie ona musiała być siłą sprawczą. Prawda? I jak by się zakopała po śmierci?

– Nie, nie musiała, zresztą nic jeszcze, poza pani słowami, nie wskazuje na to, że któryś ze szkieletów to ona...

Teraz dopiero w pełni dotarła do nich liczba, która niby wielka nie jest, ale przy szkieletach zdaje się ogromna.

– Trzy szkielety? Czy wiecie...

– Nie, nie wiemy, żadnych dowodów osobistych nie znaleziono, patolog się nimi zajmie, ale to wszystko będzie trwało. Długo, naprawdę długo, nie wiemy nawet, jak długo one tu leżą, najmniej kilka lat.

– Kilka lat? Hmmmm – jakoś tak mruknęła Eleonora. – Ty, Makaron, od kiedy tu mieszkasz?

– Ja tak z miesiąc? A pani?

– O, ja z osiem lat.

– A co to ma do rzeczy?

– Bo ja pamiętam, że jakieś trzy lata temu mieszkała tu taka starsza babka, co oglądała seriale tureckie.

– I co?

– I strasznie śmierdziało w ogródku.

– I co się potem stało?

– Nic, wyprowadziła się.

– Nie pytałem o nią, ale o smród.

– Jakoś przeszło.

– Czyli Regina, pani koleżanka, już tu wtedy nie przebywała?

– No tego nie wiem, mogła przecież przebywać w ogródku – prychnęła – w każdym razie byłam pewna, że wyjechała, i to ze dwa lata wcześniej.

– A tak jakby, to może pan coś powiedzieć o tym cycku? – wtrąciła Marietta.

– Jakim cycku? – zdziwił się Lipski.

– No cycku, tym breloczku, co wrzeszczał „nieeee”. Czy to było związane z morderstwem? W tym sensie, że to coś wrzeszczało, a myśmy myśleli, że to Karolina, a ona już nie żyła? – Marietta natychmiast przedstawiła swoje wnioski.

– Ale że jak? – Makaron wydał się nadzwyczaj zainteresowany.

– W tej kociej piwnicy spała Pijawka i jak ją obudziliśmy, to krzyczała, że czegoś tam nie odda, no to wiadomo, trzeba było to sprawdzić. I to był taki breloczek z guziczkiem. I jak się naciskało, to krzyczał „nieeee” jakoś tak dziwnie, ale nie wiadomo czym głosem, ale krzyczał – wyjaśniła usłużnie Kaśka – no i pomyśleliśmy, że on mógł posłużyć do zakamuflowania momentu śmierci, ktoś tam poszedł zamordować Karolinę, a potem nacisnął guzik, ona wrzasnęła, sama słyszałam, zresztą wszyscy słyszeli. I wszyscy pomyśleli, że ona żyła, a ona już nie żyła. O!

– I komu to dało alibi? – zapytał Makaron niepewnym głosem.

– Mordercy! To był tego breloczek! Na bank! – zawołała Marietta, zadowolona ze swojej dedukcji.

– Nieprawda! Był mój – jęknął Makaron i zamarł z przerażenia. – Dlatego durna Pijawka go tak pilnowała. Wiedziała, że zgubiłem.

– Czyli ten breloczek, który imituje okrzyk „nieeee” zamordowanej Karoliny, należy do pana? – Lipski zaczął jakoś tak jakby oficjalnie.

Makaron chyba się tego spodziewał.

– Tak, choć całkowicie nie! Tak, bo należy do mnie, nie, bo tam nie ma głosu Karoliny, a to, co tam jest krzyczone, to nie jest nawet „nie”...

– A co?

– *Bien!* To po francusku „dobrze”, ale z okrzykiem, takim, żeby dodać komuś, czyli mnie, otuchy! I to brzmi „bięęęęę”, ale trzeba się dobrze wsłuchać. Jak się nie wie, o co chodzi, to się słyszy „nieeee”.

– Ale po co to panu? – zdziwił się Lipski.

– O Boże, uczyć się francuskiego! Tylko bez komentarzy proszę! Uczyć się specjalną metodą, taką z klikaniem, pochwałami, tak jak w tresurze...

– Ale...

– Dość, nie chcę nic więcej na ten temat słyszeć! – warknął Makaron, jakby wstydział się tego, co wyznał. – I mogę teraz powiedzieć. Mam alibi! Jak cholera, i to pewne, możliwe do potwierdzenia, mam! Byłem wtedy na lekcji, ale nie chciałem mówić, żeby się do mnie kumple nie śmiali.

Pewnych rzeczy nie należy głośno wypowiadać, zwłaszcza kiedyś tuż obok stoi Lutek. No może nie całkiem tuż obok, ale tacy ludzie jak Lutek umieją się przemieszczają, lubią zobaczyć to i owo tu, to

i tamto tam, tu usłyszeć, tu donieść, tam zajrzeć.

Teraz Lutek zajął na taras.

– Czego? Francuskiego się uczysz? Po co ci to?! Czyś ty oszalał? Przecież to masakra! I jak to będzie wyglądać, przecież to wstyd! Chłop jak byk i taki babski język?

– Lutek, ty się zamknij! – westchnął Makaron. – I o to mi chodziło...

Luśka rozmaślonym wzrokiem spojrziała na Makarona, właśnie zyskał na romantyzmie. Nie dość, że łysy, napakowany, osilkowaty i wytatuowany, to jeszcze uczy się francuskiego, no bóg seksu, jak by nie patrzył.

A jeżeli się uczy francuskiego, to musi być romantyczny i czuły, a może nawet i uczuciowy. Taki słodki barbarzyńca, który umie czytać, przyniesie kwiaty, powie po francusku je t'aime, ale też skuje oblicze, komu trzeba, jeżeli trzeba.

No ideał.

A wracając do boga seksu, to jednak lepiej będzie to sprawdzić.

* * *

Lipski poszedł zobaczyć, co się dzieje przy wykopaliskach arche, albo raczej szkieletologicznych, oraz zadzwonił do eksperta od nagrań dźwiękowych, żeby sprawdzić, czy na cycku jest to, o czym mówił Makary.

Eleonora patrzyła przez okno na ogródek.

– Wiecie co? On sobie z tym nie poradzi – powiedziała zdecydowanym głosem. – Przecież to jest niemota!

– Z czym?

– Z tym śledztwem – uświadomiła wszystkim swoje obawy, nie podając nazwiska niemoty, choć i tak każdy natychmiast je poznał. – Proponuję, żebyśmy my się tym zajęli.

– My, czyli kto?

– Ja, Makaron i Luśka, wymieniałam siebie jako pierwszą nie dlatego, że jestem zadufana w sobie, wiem, że to niegrzeczne, ale ja się do tego nadaję najbardziej – wyjaśniła bez cienia skrępowania. – Swoją drogą moglibyśmy założyć firmę. Taką od znajdowania, no nie wiem, taką, która by się zajmowała dziwnymi przypadkami.

– Agencję! – zakrzyknęła Marietta.

– Towarzystką! – zawołał Lutek.

– Spadaj – warknął Makaron do kolegi. – Spadaj w buraki! Miałeś dziś przecież eskortować kogoś od Pakosia, tak?

– No tak, już idę – mruknął niezadowolony. – Myślałem, że Małpolud go weźmie.

– Ty jesteś w grafiku. Ty masz iść. Inaczej wypadasz z roboty...

W ten sposób pozbył się niechcianego roznosiela plotek, który działał niczym najbardziej zaraźliwy wirus, tylko zamiast choróbska roznosił ploty.

– Zaraz, a kto to jest Pakoś?

– Facet od chwilówek.

– I jego trzeba eskortować? – Eleonora się zaciekawiła, bo nigdy nie brała pożyczek i w ogóle nie wiedziała, jak to działa.

– Jego nie, ale jego ludzi tak. To znaczy nie zawsze, czasami.

– Ale dlaczego?

– Pani Eleonoro, bo on zajmuje się pieniędzmi, ludzie je biorą, ale też muszą oddawać. A jakoś tak jest, że ludzie, którzy biorą chwilówki, często nie mają kont bankowych.

– Każdy ma! – roześmiała się Kaśka.

– No, źle się wyraziłem. Mają, ale bardziej ma je ich komornik, dlatego wołają pewne sprawy załatwiać za pomocą gotówki. Pożyczają gotówkę, oddają gotówkę i z głowy, jeżeli oddają, bo i z tym jest kłopot, ale jeżeli mają oddać, to lepiej, żeby nie latali z pieniędzmi po mieście, bo jeszcze coś ich skusi. Więc Pakoś po odbiór wysłał swoich ludzi, którzy jednak boją się latać z gotówką po Gdańskiej czy Warszawskiej.

Te dwie ulice znane były w całym Zastroniu, i to wcale nie dlatego, że było tam miło albo chociaż pięknie, oczywiście niektórym było miło, jak sobie pochłali, ale pięknie nikomu, bo domy były odrapane, śmierdzące, slumsowate, no, niektórzy mówili, że to trójkąt bermudzki, choć większość uważała, że wcale nie bermudzki, ale bimberski.

– No i sam Pakoś... On też woli mieć oko na ludzi, żeby potem nie zwiali mu z większą gotówką.

– No ale ile tego?

– Nie wiadomo, nikt się czymś takim nie chwali, ale jak raz jeden facet uciekł mu z forszą, to akurat wszyscy mu pospłacali wszystkie zaległości.

– Nie rozumiem.

– No bo jak zniknął, to nikt nie mógł niczego sprawdzić, więc czy ktoś zapłacił, czy nie zapłacił, każdy twierdził, że tego dnia oddał całą sumę z odsetkami, i nie było szans, żeby udowodnić cokolwiek innego, ten, co zwał, zabrał nie tylko pieniądze, ale i rejestry... Pakosia wtedy nieźle wałęsło, stracił dwadzieścia tysięcy.

– Nie tak znowu dużo, żeby z tym uciekać. I gdzie? Dokąd? Za taką kwotę to niewiele zdziała w świecie. I co? Potem wrócił, jak mu się pieniądze skończyły?

– A gdzie tam, za to drugi potem uciekł. Zabrał chyba z pięćdziesiąt. Chodziły słuchy, że miał jakąś kochankę, więc nikogo ta ucieczka nie dziwiła.

– To dwóch mu uciekło?

– Ano tak, dlatego zatrudnił mnie.

– Zaraz, przestańcie odbiegać od tematu – jęknęła Luśka. – Po co nam debilny Pakoś z tą jego na wpół legalną działalnością? Ciociu, co mówiłaś?

Na chwilę zapadło milczenie i gdyby ktoś pamiętał, było tak samo paskudne jak wtedy, kiedy Eleonora skupiała się na wybieraniu z dziennika ofiary do przepytania na lekcji.

Nie trwało długo, bo po pewnym czasie Eleonora jakoś się ocknęła, choć wydawała się zagubiona.

– A ja coś mówiłam? – Była zaniepokojona, bo nie wiedziała, co konkretnie dziewczyna miała na myśli. Coś Eleonorze chodziło po głowie. Coś paskudnego.

– No, coś o agencji?

– A tak, o agencji, tak. – Stała, wpatrując się w okno. – Ale to niemożliwe, prawda? – zapytała samą siebie. – Makaron, czy ty możesz wyciągnąć od tego Pakosia coś na temat tych uciekinierów?

– Na przykład co? Wie pani, to było dawno. On nie lubi tego wspominać.

– To może choć adresy?

– Ich adresy? Po co? Będzie ich pani w domach szukać? Zapewniam, że to bez sensu, pięć razy ich sprawdzali. Nie ma ich tam.

– Nie ich, chodzi o adresy domów dłużników, u których wtedy byli. Tych ludzi, którzy pospłacali te chwilówki. Dadzą ci to?

– Jasne. Zawsze mogę spróbować, ale to chwilę potrwa, może jutro do niego... – Popatrzył na minę Eleonory i zmienił zdanie. – Dzisiaj, tak, nawet zaraz, to zrobimy tak: ja podskoczę do Pakosia, a wy przygotujcie jakieś żarcie albo zamówcie coś, bo zaraz wszyscy zdechniemy z głodu.

Józeczek wyprosił dzień wolny w bibliotece i postanowił się nim podelektować, ale nie bardzo mógł, bo Anita oczywiście go dopadła.

Józeczek chciał sobie trochę odpocząć, bo Anita teraz postanowiła jego rękami wytapetować salonik, potem założyć nowe okna, a w końcu zrobić kominek.

Początkowo szło nawet niezle. Takie trochę grecko-tureckie mu wyszło, skrzywione, a pasowało, jak ruina antyczna wyglądało i byłoby w porządku, nawet inaugurację z winem zrobili na sierściuchu przed kominkiem, ale że sierściuch był ekologiczny, to zaczął się palić. No i może nawet dobrze, bo poszli go utopić w wannie, żeby niczego nie podpalić, patrz, a tam doskonale uwędzona teściowa siedzi na kiblu.

Kratką dym wychodził, ale jak tylko drzwi otworzyli, to się wędzarnia przeniosła do sypialni, kiedy oni w sypialni otworzyli okno, to dym zaczął wylać z podłogi w piwnicy. Zresztą o tym dowiedzieli się dopiero później, jak ktoś straż zawiadomił, bo sąsiedzi się przestraszyli, że ich dom przygotowuje się do startu w przestworza.

Oni przed kominkiem alkoholowe bara-bara odprawiali, kiedy strażacy wylamali im drzwi frontowe, bo z okienek piwnicznych takie sygnały dymne się wydobywały, jakby jacyś przetrzymywani tam Indianie prosili o ratunek.

No i okazało się, że Józeczek podłączył kominek do wentylacji, komin zamurował, a wentylacja sama się połączyła z kilkoma dziurami i musieli kominek rozebrać, a fachowiec to oświadczył, że i tak dobrze, że im się gaz nie wydobywał z prysznicza, tak to było skopane, oczywiście, po tym jak zakrzyknął:

– Łooo, kto to panu tak spierdolił!

Wędzona teściowa się obraziła, bo Anita, która już nie dowierzała umiejętnościom Józeczka, zamówiła fachowca, co nie zmieniało faktu, że bajzel był wszędzie.

Oczywiście wkrótce miał tu być cud miód i nie wiadomo co, na szczęście były też pieniądze z wynajmu domu Reginy i bardzo się przydawały, ale teraz trafił ich inny kłopot. Musieli znaleźć papiery, które obiecali Lipskiemu.

Rzecz jasna istniały, nie okradli ciotki z jej własności, wszystko zostało zrobione jak należy, ale jak wszyscy ludzie, którzy niedawno się przeprowadzili, większość papierów mieli w pudłach, te pudła też były w pudłach, a te stały w garażu, na strychu i na korytarzach, nieopisane i w nieopisanym bałaganie.

Pudeł nie opisywali dokładnie, licząc, że zapamiętają. Dlatego majtki znalazły się w pudle z napisem „ozdoby choinkowe”, talerze w pudle „wyrzucić”, a alkohol z barku w pudle oznakowanym jako „leki”, co właściwie nawet pasowało. Ludzie są naiwni.

Teraz musieli znaleźć papiery za wszelką cenę, bo obiecali Lipskiemu. Sama obietnica może nie była aż tak ważna jak świadomość, że jeżeli nie przyniosą tego, o co prosił, on z pewnością pomyśli, że coś ukrywają. Niby to prawda, że nie warto przejmować się tym, co pomyślą ludzie, ale są od tej prawdy wyjątki.

Dokładnie trzy. Żona, teściowa i policja.

Tu na szczęście w grę wchodził tylko ten ostatni przypadek, ale gra była warta świeczki, bo jeżeli ciotka Regina gdzieś zniknęła, a oni nielegalnie zajęli i eksploatują jej dom, to zniknięcie zostanie przypisane im, a to nie wróży długiego życia, w każdym razie nie na wolności.

Rozbebeszanie pudeł zaczęli z dwóch poziomów, Anita na górze, Józeczek w garażu.

Tak musiało być, bo Anita nałożyła sobie jakiś specyfik na włosy i musiała siedzieć z ręcznikiem na głowie, co wykluczało garaż.

– Ty, a myśmy to mieli gdzieś w saloniku czy w sypialni?

– Nie wiem, czy nie u mamy – Józeczek podał jeszcze jedną możliwą lokalizację – ale przecież nie damy rady dzisiaj. Zróbmy to, co tutaj, mamą zajmujemy się jutro.

Anita chętnie się zgodziła, bo z teściową nie za bardzo się dogadywała. Szukanie papierów w jej domu jawiło się Anicie jako koszmar do potęgi entej.

Coś w stylu „tego nie rusz, to moje”, „tu nie wkładaliście, nie grzeb mi tutaj”, „nie dotykajcie tego, to cenne!”, ale to by jeszcze zniosła, gdyby nie ciągle powtarzanie, jakiego to „Pana Boga” w osobie Józeczka Anita złapała za nogi.

Akcje w stylu „o patrz, tu Józeczek, jak miał pół roczku i zjadł puszkę kocie karmy”, „a tu, jak miał roczek i zwałł sobie na głowę miskę sałatki jarzynowej”.

Takich zdjęć było zatrzęsienie, teściowa syna ubóstwiała.

– Gdyby nie mój kochany synuś, tobyś nigdy nie miała takiego domu! – powtarzała do znudzenia. – Zresztą on taki zapobiegliwy i przewidujący! Gdyby od Reginy domu nie wydusił, to dalej byście żyli w tych marnych dwóch pokojach z kuchnią!

Anita nie rozumiała, co ma jedno do drugiego, bo z najmu kokosów nie było, a dom odkupili, a nie, jak twierdziła teściowa, „wydusili”, ale nie chciała wojny, więc milczała.

Pracowała w warsztacie samochodowym i zarabiała całkiem nieźle oraz, co nie było bez znaczenia, trochę jej wpadało poza ogólnymi rozrachunkami, bo widziała to i owo, podpisywała to i owo, więc musiała również z tego to i owo mieć, ale o tym przecież nie miała zamiaru nikogo informować.

Dla teściowej Józeczek był święty i Anita nie zamierzała tego zmieniać. Nic by to nie dało, a tylko by popsuło i tak już napięte stosunki między synową a teściową.

Postanowiła, że wykorzysta okazję i tymczasem zrobi sobie włosy.

– Idź do apteki, przynieś mi zioła na parówkę, bo muszę zmyć to cholerstwo. Kozłek. Zapamiętaj! Potem zalej wrzątkiem.

Oczywiście nie zapamiętał. Tyle że się nie przyznał. To by mogło wywołać awanturę. Niczego nie kupił.

Oczywiście zrobił jej parówkę, tyle że z czarnej soli himalajskiej. Tylko taką znalazł, a przecież sól to sól, w internecie czytał, że pomaga na wszystko.

Smród siarkowodoru uderzył w Anitę z taką siłą, że wybiegła z łazienki z wrzaskiem.

Miała lupież i usiłowała się go pozbyć na różne sposoby. Najczęściej stosowała pachnące zioła.

Żadne nie pachniały zgniłymi jajami.

Anita z wrzaskiem wylała śmierdzącą wodę przez okno łazienki, przecież nie mogła spuścić tego w toalecie, bo śmierdziało potwornie.

Gdyby pod oknem przechodziła teściowa i została tą wodą oblana, każdy by pomyślał, że to niemożliwe.

I nie przechodziła.

Pod oknem przechodził Lipski.

Teraz Lipski w zafajdanym i śmierdzącym mundurze stał i czekał na papiery.

Oni czekali na grom z jasnego nieba. I na zmiłowanie.

– Elluma – powiedziała Eleonora z westchnieniem, ale to było jakby coś więcej niż westchnienie, bo mieścił się w tym jakiś zachwyty.

– Co to ta elluma? Jakaś choroba? O to sorce chodzi? – zapytała Kaśka zaciekawiona. – I od niej uciekają?

– Sama jesteś choroba! I od ciebie powinni uciekać, Elluma to nazwa od naszych imion, Eleonora, czyli El, Luśka, czyli lu, i ma od Makarego.

– I? – Marietta skrzywiła się z jakąś pogardą.

– I nic, to nazwa naszej agencji, będziemy śledzić, będziemy rozwiązywać, pomagać policji...

– A na to nie trzeba licencji?

– To nie będzie oficjalne.

– A gdzie ka od Katarzyna i mar od Marietta? Tak jakoś, Markaelluma?

– Zapomnij! Wy w to nie wchodźcie, jesteście podejrzane!

– Makaron też! – odwarknęła Kaśka.

– No cóż, życie nie jest sprawiedliwe – odparła złośliwie Eleonora – a poza tym on ma alibi i nie miał po co jej zabijać.

– Sorka też nie jest sprawiedliwa! – mruknęła Kaśka. – On z nią kiedyś chodził.

– Z sorką? – wrzasnęła Marietta, przerażona takim pomysłem. – Ocipiał czy co?!

– Z Karoliną, durnoto! Mógł chcieć ją zabić.

– Bo z nią chodził?

– No, sypiał też, ale właśnie dlatego. Tak to w życiu bywa, kto się czubi i tak dalej.

– Co ty wygadujesz?!

– Nic, ale jak ktoś chodził z Karoliną, to mógł chcieć ją zabić, ona była zimną suką jakich mało.

– To dlaczego się z nią zadawałyście? Pisałyście z nią książkę? – zdziwiła się Luśka, sądząc, że takie układy są, albo choć powinny być, przyjacielskie.

– No bo właśnie dlatego. Zimne suki są świetne w wielu sprawach, na przykład w promocji. Ktoś coś złego napisze o książce, to ja na przykład się zaraz denerwuję, Kaśka by tylko płakała i zastanawiała się, co poprawić, a Karolina od razu z grubej rury. „Spadaj na ryj, pieprzony zboku, nikt cię o zdanie nie pytał”. Albo i ostrzej czasami, no i to było w porządku. Raz to nawet szesnastą wojnę światową wywołała, bo ktoś napisał, że książka jest...

– Ale Makaron jej i tak nie zabił, a my musimy skombinować coś do jedzenia, bo rzeczywiście zdechniemy z głodu.

– Szkoda, że tej wegańskiej knajpy już nie ma, bo blisko było i nawet dobre.

– Trawy nie jadam – odburknęła Eleonora.

– Karolina tam pracowała. – Kaśka wskazała głową za drogę. – Mówiła, że jedzenie było tak zielone, że aż...

– No ale już nie pracuje, to co robimy?

– Ognisko! – oświadczyła z zachwytem Luśka.

– O, świetnie – powiedział Lipski, wchodząc na taras. Z daleka cuchnął jak stare, brudne męskie skarpetki umoczone w zepsutych jajach.

– Czemu pan tak...

– Niczemu. Proszę nawet nie pytać, za chwilę powinno wywietrzeć, nie mam teraz czasu wracać do domu. Mundur zmieniłem, wzięłem prysznic, a to cholerstwo cuchnie jak cuchnęło.

– Ale co?

– Parówka Anity.

– To ona zje zepsute mięso? I jeszcze ludzi częstuje?! Matko Boska...

Lipski nie miał zamiaru się tłumaczyć.

Nikt nie liczył, że to wywietrzeje, a jednak wkrótce okazało się, że Lipski się na coś przydał. Komary padały jak muchy.

Stada tych upierdliwych insektów, jak tylko się zbliżyły do policjanta, padały, marły śmiercią straszliwą i natychmiastową, żadna świeczka przeciw komarom jeszcze nigdy tak dobrze nie działała jak aspirant Lipski. Niestety na ludzi też działał, mniej zabójczo, ale równie morderczo, odsuwali się od niego wszyscy, na dodatek podejrzliwie wachając swoje zatknięte na patykach kielbasy.

Pewne rzeczy się udzielają.

Pakoś nie miał zbyt wiele do przekazania Makaronowi, tym bardziej że Makaron niczego mu nie obiecywał. Nie mówił, że jak dostanie te adresy, to odnajdzie uciekinierów, nic z tych rzeczy, a Pakoś należał do ludzi zdolnych, ale i wymagających. Zawsze było coś za coś. „Był zdolny zmusić kamień, by srał pieniędzmi”, jak mówili o nim wszyscy jego dłużnicy.

A dłużników miał wielu. Bardzo wielu. Całe niemal dzielnice, kamienice, domy, więcej przed świętami, ale i tak zawsze, bo jak reklama mówiła o sianie i bocianie, tu mówiło się o Pakosiu „niedopita gosposia dzwoni do Pakosia”.

Były też wersje z lososiem, ale się nie przyjęły, bo kto by chciał jeść lososia i dzwonić do Pakosia, kiedy kaszanka też dobra?

A jak już ktoś zaczął pożyczać, to nigdy nie kończył. To było po prostu niewykonalne. Pożyczka na coś tam, potem pożyczka na odsetki, potem pożyczka na pożyczkę, potem na pół litra, a czasami nawet i na gips, bo rękę potrafił złamać, jak ktoś nie płacił, choć oczywiście nie osobiście.

– No ja ci adresy dam, ale to i tak jedno wielkie gówno, bo nie wiem, którędy szedł i w jakiej kolejności. Owszem, gdybym wiedział, to w ostatnim miejscu komuś tak bym ryja obił, że by powiedział, gdzie się podział ten bydlak, ale jak? Jeden miał dwadzieścia adresów, a drugi trzydzieści do przejścia, to co, miałem pół miasta okaleczyć? Nie żebym nie chciał, chciałem, ale moja pani mówi, że to nie bardzo pasuje, i ja jej wierzę.

Makaron też wierzył, można było przymykać oczy na na wpół legalne interesy Pakosia, ale trzydzieści pobitych osób jednego dnia nie uszłoby uwagi policji, to znaczy nie dałoby rady ująć, nawet gdyby bardzo się starała.

Nawet policjanci nie mogą być całkowicie ślepi i głusi.

– I co ci to da?

– Powiem, że mnie to nic, zupełnie, ale Eleonora prosiła.

– Jezu, sorka? Matko Boska, po co?! Ta cholera w podstawówce się nade mną znęcała, koszmary miałem do piętnastego roku życia... Daj jej to i nawet o mnie nie wspominaj! Żeby tylko niczego nie chciała ode mnie pożyczać! Przecież bym musiał znów iść na terapię...

Makary przejrzał adresy.

Większość to były oczywiście ulice Gdańska i Warszawska. Praktycznie co drugi dom. Ta część miasta składała się z niezbyt praworządnych obywateli, wiadomo, bijatyki i pijatyki były tu na porządku dziennym, a chyba bardziej nawet nocnym, ale były też adresy w innych dzielnicach, tych nieco, albo nawet naprawdę, lepszych.

Tych, gdzie domy nie były odrapane, plotki miały wszystkie przesła, wybitych okien nie zatykano dyktą, a ich właściciele bywali trzeźwi. Może nie codziennie, ale bywali.

Ze zdziwieniem rozpoznał też swój własny adres.

Oczywiście on nigdy niczego od Pakosia nie pożyczał, bo Pakoś miał RRSO tak wyrąbane w kosmos, że nawet gdyby bardzo się postarać, to nie dało się tego spłacić. Pożyczałeś tysiąc, musiałeś oddać trzy tysiące, a to nie jest dobre dla ludzi, którzy nie mają nawet na chleb, choć, co ważne, na wódkę mają.

Ponieważ cała sprawa miała już ze trzy lata, to chwilówkobiorcą musiał być ktoś, kto mieszkał wtedy pod tym samym adresem, ale kto?

Tego oczywiście Makaron nie wiedział, ale Eleonora mogła wiedzieć.

No i właściciel domu też.

Adresy zostały ułożone w porządku alfabetycznym, ale nazwisk nie było, tylko inicjały, toteż nie było wiadomo, w jakiej kolejności poborca chwilówkowy je odwiedzał. Makaron zgadywał, że ten ktoś nie latał jak z pieprzem to tu, to tam zygzakiem, po kolei nabijając kilometry, tylko ułożył sobie jakąś trasę. Niestety nikt nie wiedział jaką.

Mógł zacząć wszędzie, a więc miał kilka możliwych i prawdopodobnych tras.

Makary wsiadł na motocykl i w parę chwil był już pod domem Eleonory.

– Zepsute mięso pieczone? – zapytał, pociągawszy nosem.

– To aspirant Lipski – wyjaśniła Luśka.

– Pieczenie Lipskiego? Miałem ochotę na jakieś jedzenie, ale nie będę jadł zaśmierdłego policjanta!

– Nie, ty nie będziesz, on chyba jadł i dlatego tak cuchnie, jakąś parówkę żarł, dawaj. – Wydarła chłopkowi adresy, podeszła do światła, wyciągnęła okulary, pomamrotała coś, poczytała i po chwili wręczyła papiery Lipskiemu, przezornie się do niego nie zbliżając. – Ma pan!

Lipski rzucił okiem na spis adresów.

– I co to takiego? Czego ja mam tam szukać?

– Niczego. Pan powie, ile dokładnie jest szkieletów.

– Dwa.

– Luśka mówiła o trzech.

– Ale są w tej chwili dwa, i to na sto procent męskie. Żaden z nich z pewnością nie jest pani koleżanką, jak pani podejrzewała.

Lipski był nawet ucieszony, że może pokazać dawnej nauczycielce, że ona już nie ma monopolu na prawdę objawioną i nie wie wszystkiego.

– Zmieniłam zdanie. Ona ich zamordowała!

– Pani Eleonoro?! Kto i kogo? – Lipski znał bardzo dobrze wścibskie sąsiadki, które często się przydawały w śledztwach, bazarowe matrony, które widziały i słyszały nawet kosmitów, ale nie były w stanie przypomnieć sobie rozmowy sprzed dwóch dni, baby podbłokowe, które chętnie służyły alibi, bo pracowały jako monitoring. Umiał z nimi rozmawiać, ale z Eleonorą rozmawiało mu się trudno, może z powodu przeszłości, a może dlatego, że nadal się jej bał, a ona stanowiła kwintesencję wszystkich tych bab w jednym.

I niestety zaczęła mu się śnić po nocach. Bał się zasypiać.

– Regina zamordowała tych dwóch facetów! To logiczne. A potem uciekła. Jestem pewna, że to ona. Widziałam ją – oświadczyła Eleonora pewnym głosem, co go wkurzyło, bo takie ferowanie wyroków pomimo dowodów, albo wbrew nim, po prostu jest wkurzające.

Cała Eleonora była wkurzająca, ale nie mógł nic na to poradzić.

– Pani przestanie świrować! Te dwa szkielety to rzeczywiście mężczyźni, ale jest tam coś jeszcze, wcale nie jest powiedziane, że pani koleżanka żyje. Dopiero wykopujemy... Nie mogła jej pani widzieć.

– Mogłam!

– Pani Eleonoro... Gdzie? Do cholery jasnej? Gdzie pani ją widziała?

– W bibliotece! To była ta baba z termosem, jestem pewna całkowicie! Na sto procent! Jestem!

Nie była, ale miała w sobie ducha dziecięcej przekory. I kiedy się mówi o dziecięcej przekorze, to wcale nie należy widzieć w tym niczego uroczego, dziecięca przekora jest uparcie ośła.

Kobieta z termosem w zasadzie była kobietą z termosem. Tylko i aż tyle. Termos to nie bomba zegarowa, termos to nie nóż sprężynowy, to tylko termos. Można z nim chodzić do sklepu, do znajomych, do lasu, a nawet do biblioteki.

Posiadanie termosu nie czyni z człowieka mordercy. Ani z kobiety.

Choć samo posiadanie noża też właściwie nie.

Gdyby kobietą z termosem nawet była Regina, to też by nic nie znaczyło.

– No i co z tego?

– Zabiła Karolinę.

– Bo?

Tu był pewien problem. To, że ten, kto zabił te szkielety (kiedy szkieletami jeszcze nie były), mógł zabić i Karolinę, było bardzo prawdopodobne, ale dlaczego?

– Zaraz, tych dwóch zabiła dlaczego? Bo skoro pani już tak mówi o tych dwóch szkieletach, to może pani ma jakiś pomysł? Tylko rozsądny, błagam!

– Regina mogła być zboczona. Podduszanie? Jakies takie, nie... Moim zdaniem nie zabiła ich z powodu pieniędzy.

Pomysł, że chodzi właśnie o pieniądze, zaświtał wszystkim, a tu Eleonora bach! – utraciła taki cudny pomysł w zarodku.

– Ci ludzie, którzy mieli oddać pieniądze... – zaczęła Eleonora, ale jej przerwano.

– I którzy oddali. – Kaśka poklepała się po kieszeni, chcąc uzmysłowić jej błąd w rozumowaniu, bo wiadomo, pożyczki to pieniądze, w tę czy w tamtą, ale pieniądze.

– Nie, nikt nie oddał, to znaczy może tysiąc tu, dwa tam, ale tylko grosze. Po pierwsze morderca musiałby wiedzieć, że facet ma pieniądze, ile uzbierał, że w ogóle coś od kogoś dostał, a skąd miałby wiedzieć? Po drugie musiałby to zaplanować.

– Ale wszyscy...

– Oj tam, wszyscy twierdzili, że oddali, bo była taka okazja, ale mało kto oddał, już to widzę. Pakoś też był zdziwiony, bo zawsze jak mu poborca przyniósł trzydzieści procent zaplanowanego poboru, to się cieszył, a tu nagle sto?

– Ale jeżeli nie dla pieniędzy? – Kaśka pokręciła głowę z niedowierzaniem.

– Może i dla pieniędzy, ale w innym sensie, nie że zaplanowane morderstwo i dla dużych pieniędzy, tylko przypadkowy cios łopata w łeb dla kilku stówek bez przygotowań i pomysłu. Na jakimś kacu gigantycznym?

– No ale...

– Skoro znaleziono ich tutaj, to ten dom był ostatni, ale wtedy to mieszkała tu taka starsza babka, co oglądała tureckie seriale po nocach, i to ona miałaby ich zabić? Nie dałaby rady... – przerwała na chwilę. – Chyba – dodała już mniej pewnie.

Lipski pokręcił głowę.

– Wyciągacie zbyt pochopne wnioski! Skoro znaleziono ich tutaj, to znaczy tylko tyle, że znaleziono ich tutaj, a nie że szumią palmy na gór szczycie! Rozumiecie?

– No. – Kaśka przekrzywiła głowę.

– Nie, nie rozumiecie! Opowiadacie bezpodstawne bajeczki! To wcale nie znaczy, że zabito ich tutaj ani że ten, kto tu mieszkał, ich zabił, ani nawet że coś słyszał, owszem mógł, ale nie musiał. Tu zostali zakopani, nic więcej!

– Ale to znaczy, że choć zabito ich w odstępie kilku miesięcy, to jednak zrobiła to ta sama osoba! – oświadczyła Eleonora bardzo pewna swego.

– Tu też nie musi mieć pani racji. Zakopała ta sama osoba, ale czy zabiła?

– Ależ pan wszystko komplikuje! – mruknęła Eleonora. – Ktoś inny zabił, ktoś inny zakopał? Zlecił komuś? Czy ktoś wyszedł do ogrodu, zobaczył trupa i natychmiast zaczął go zakopywać, nie zastanawiając się, skąd się wziął, kim jest i czym to grozi? Bez sensu!

– To jest możliwe przecież – uśmiechnął się złośliwie – ale fakt, czy ja wiem, trochę naciągane. Chciałem tylko pokazać, że nie wolno wyciągać pochopnych wniosków, a zakopać mógł ktoś zupełnie niezwiązany z tym miejscem! Zresztą jaki idiota zakopałby zwłoki we własnym ogródku?!

Eleonora śmiertelnie się obraziła na Lipskiego, bo nie pozwalał jej pokazać, jaka jest zdolna i dociekliwa. Role trochę się zmieniły, ale ona nie zmieniła się wcale.

Ognisko paliło się tuż przy tarasie. Wszyscy siedzieli na krzeselkach z patykami w dłoniach, a na patykach skwierczały kielbaski.

Przez chwilę.

Tak byli zajęci rozmową na temat szkieletów, że nie zauważyli chmur. Lunęło tak strasznie, że i kielbaski, i ognisko zaskwierczały jeszcze głośniejsze, ale tylko jeden jedyny raz.

Z piskiem rzucili się do domu, ociekając wodą.

Grzmiało.

– Makaron, Makaroon! – usłyszeli z daleka. Pijawka przekrzykiwała oberwanie chmury. Jednak słychać ją było jakoś z bliska. Tak jakby...

– Gdzie ona, do cholery, jest? – zdziwił się Makaron.

– Brzmi jakoś tak jak zza ściany.

– Zza ściany deszczu? – Marietta pochwaliła się swoją poetycką wyobraźnią godną pisarki.

– Nie, zza ściany domu, a właściwie... Chyba z jego czeluści – prychnął.

– Maakaaron, ratuuunku...

– No szlag! Jeszcze ratunku?

Nie zważając na deszcz, przebiegli tarasem pod drzwi Makarego, które, oczywiście, były otwarte. Było ciepło, duszno, wręcz upalnie i nikt w takich chwilach drzwi tarasowych nie zamyka, tym bardziej że siedzi tuż obok, może zajęty czym innym, ale jednak na tyle blisko, że przecież by zauważył, a jednak nie zauważył.

Pijawka była w domu Makarego.

Krzyczała gdzieś z jego czeluści.

– Gdzie ona jest? – jęknął do wszystkich, bo przecież wszyscy pobiegli razem z nim ratować Pijawkę.

– W łazience? – zaproponowała Marietta. – No ale jeżeli w łazience, to nie wiem... Może tam sra? Nie powinniśmy tam wchodzić.

– Powinniśmy – oświadczyła Eleonora, ujrawszy leżącą na stole książkę z zakreślonym żółtym markizem fragmentem. – Ty to zakreśliłeś? Bo jak nie, to trzeba wzywać pogotowie.

– No proszę pani! To nasza książka! O to chodzi, że co? Dlaczego pogotowie...

– Dlatego, że jak znam rozkład łazienki, to ona się zaraz rozedrze...

– Ratunkuuuu!

– Już się rozdarła! – oświadczyła Marietta. – Drze się jak opętana.

– No cóż, nie to miałam na myśli.

Wpadli do łazienki, w której Pijawka dokonała dowolnej, aczkolwiek wcale nie subtelnej interpretacji fragmentu *Morderczego pożądania*.

Jedna noga Pijawki tkwiła w umywalce, druga w sedesie.

Pijawka kurczowo trzymała się lustra, a w zębach miała kabel od kinkietu, przez który skowyt wydawał się jeszcze bardziej przerażający.

– Puść to! – wrzasnęła Makaron, mając na myśli kabel, bo bał się podłączenia Pijawki do prądu w razie przegryzienia kabla, co było możliwe na przykład z bólu, a ból był wielce prawdopodobny, złamania bołą, miała w tej chwili szanse na złamanie obu nóg i może kręgosłupa.

– Po cholere tam wlaźłaś?

– To takie łomantyczne – wydukała, plując po kablu i puściła, niestety nie kabel, ale lustro.

Chybnięta się do tyłu, zamachała rękami, znów chciała złapać lustro, nie dała rady, po czym ryknęła głową w podłogę, ale jedną nogę nadal miała uwięzioną w sedesie, i to głęboko, ta druga z umywalki wystrzeliła w górę i straciła lustro. Pijawka potłukła się nieco tylko od góry, ale już nie była pod prądem, za to spluczka walnięta lustrem spuściła wodę, coś się zablokowało i zatkany nogą odpływ ubikacji zaczął wylewać wodę na podłogę łazienki.

– Wyciągnijmy ją stąd! – zarządził Lipski.

– Raaaaazem! – zawołał Makaron.

W chwilę potem Pijawka była już w przedpokoju, wraz z sedesem. Niestety nadal miała nogę w nim uwięzioną, a oni wyrwali sedes z podłogi zamiast wyrwać Pijawkę z sedesu.

– Co ty wyprawiasz, głupia pindo?! – ryknął Makaron, patrząc na pobojoywisko.

– No co? No co? Chciałam... A mówią, żeby książki czytać! Tfu! Zboczeńcy!

Scena tak dokładnie, choć niedokładnie odtworzona miała być seksem pod prysznicem, ale że Makaron miał wannę, a Pijawka wyobraźnię, stała się sceną na pobojoywisku.

Nie było w niej specjalnie dużo erotyzmu.

Było za to coś innego.

Kiedy tak stali i patrzyli na pobojoywisko, jedyny jako tako rozsądny w tym momencie Lipski podszedł zakręcić główny zawór wody.

Pośliznął się na kawałku lustra, padając, wyrwał rurę i półkę oraz oderwał od ściany dolnopłuk.

– O kurwa! – zawołał wbrew swoim zwyczajom. Jako policjant kłął tylko w miejscu pracy i tylko przy niektórych podejrzanych, przy kandydatkach na podejrzanych starał się tego nie robić.

– Złamał pan sobie coś?

– Zdejmijcie mi z nogi ten kibel – jęczała Pijawka – on mnie boli!

Jej wykręcona noga miała prawo boleć, kibel nie, ale chyba się z nim identyfikowała. Nikt nie wiedział, jakim cudem udało jej się wsadzić dolną kończynę tak, że teraz jej noga była skrzycona jak paragraf i całkowicie unieruchomiona od kolana w dół w białym, ceramicznym butcie.

Lipski stał i patrzył, i oczom nie wierzył. Z rozciętej rurą brwi sączyła mu się krew, ale to mu akurat nie przeszkadzało.

– Nich mi pan tutaj rzeźni nie robi – mruknął Makaron i oniemiał. – O szlag! – rzucił mimo woli, kiedy zobaczył papiery w plastikowej torbie.

Było to niewielkie zawiniątko wciśnięte między spluczkę a ścianę tak, że nie dałoby się tego zauważyć.

– Techników! Luśka, wzywaj techników! – rozkazał Lipski, zasłaniając dostęp do znaleziska gapiom. – Mamy przełom! Jak nic, na tysiąc procent to jest to!

– Kurwa, a ja mam nogę w kiblu! – warknęła Pijawka i usiłowała stanąć. Chybnięła się. Kibel stanął w pionie, za to ona poleciała na ścianę.

– Dość tej masakry! Dom mi rozwalisz! Ścian nie dotykaj...

Było już za późno. Na ścianach pojawiły się ślady zakrwawionych rąk.

Nie wyglądały uroczo.

Oblanie munduru policjanta prawie wrzącą, cuchnącą wodą wpłynęło na Józeczkę i Anitę bardzo pozytywnie. Bojąc się zemsty, zdwoili wysiłki w poszukiwaniu papierów.

Już w dwunastym pudle znaleźli stare zdjęcia, a to dawało im nadzieję na więcej. W kolejnym był adres ciotki Reginy i jej numer telefonu.

– Dzwoń do niego, może to chwilowo wystarczy – rozkazała Józeczkowi żona – albo nie dzwoń, idź tam, oni tam podobno jeszcze siedzą. Jakies wykopaliska odwalają. To twoja własność, zajmij się tym, sprawdź, czy wszystko jest w porządku.

Józeczek bardzo chciał wyjść. On i Anita byli małżeństwem ze sporym stażem i niby wszystko grało, ale „ładnie pięknie” nie było, bo Anita lubiła rządzić, dlatego lubił chwile z dala od domu. Niestety nie bardzo chciał patrzeć na ręce policji, bo to akurat mogłoby źle o nim świadczyć. Jak każdy praworządny obywatel, policji się bał, nie, to nie pomyłka, ci niepraworządni się nie boją. Mają swoje sposoby i choć czasami są one niepraworządne, a czasami mordercze, to jednak mają sposoby, a taki zwykły Józeczek

nie ma nic. Może tylko liczyć, że nikt go do więzienia nie wsadzi, bo nie ma za co, ale to mylne podejście, niekiedy nawet jeżeli nie ma za co, to jednak jest. Wścieklej Anity, a była wściekła, bał się natomiast jeszcze bardziej niż policji, bo policja, co prawda, może człowieka zamknąć, ale żona zrobi człowiekowi piekło z życia. Z dwojga złego wołał to niż grzebanie w pudłach, a poza adresem i telefonem niczego jeszcze nie znaleźli. Było to więc jakby pokazanie, że się starają.

* * *

– Ello Ziom! – zawołała Marietta i roześmiała się donośnie. Zebrani popatrzyli na nią z niepokojem, bo w korytarzyku, poza uwięzioną w sedesie i pokiereszowaną nieco Pijawką oraz wszystkimi, którzy już tu wcześniej byli, nie zobaczyli nikogo, do kogo mogłaby się tak odezwać.

Trochę zresztą to i do niej nie pasowało, była chyba na to za stara, miała już ze trzydzieści lat.

Makary z Lipskim wlekli Pijawkę w kierunku tarasu, bo drzwiami głównymi mieli do domu wejść technicy, po których zadzwoniła Luśka.

– A ty co? Zwidy masz? – zaniepokoiła się Eleonora, bo krwawe ślady rąk Pijawki na ścianie były tak sugestywne, że pomyślała, iż Marietta widzi jakąś zjawę.

– Nazwę wymyśliłam.

– Jaką znowu, do cholery, nazwę?

– No, co sorka jej szukała, Elocośtam, to niech będzie Ello Ziom, to ładnie! I każdy, kto zadzwoni, to usłyszy: „słucham, agencja Ello Ziom” i od razu się ucieszy, że jesteście na luzie!

Eleonora od razu pomyślała, jak cudnie poczułby się klient przywitany w ten sposób, klient na przykład taki w pewnym wieku, który o „ziomach” słyszał tylko w opowieściach więziennych.

– Co wy mi tu o Eldomach pieprzycie, wyciągnijcie mnie z kibla – piszczała Pijawka, kiedy chcieli ją przeciągnąć, ale się zaklinowała. Sedes był spory.

– Pająk! – wrzasnęła Kaśka. – Pająk łązi po kiblu!

Jak wszystkie sprzęty umieszczone na stałe w podłodze, kibel, choć naprawdę czysty, miał też swoją mroczną stronę, tę podłogową, i ona stanowiła zaplecze mieszkaniowe dla pewnego sporego pająka, który teraz, zdziwiony kataklizmem, wyszedł sprawdzić, co się dzieje i dlaczego jego pajęczyny poszły w strzępy.

W tej chwili zaczął zwiedzać nogę Pijawki.

– Aaaaa! – wrzasnęła ta ostatnia i odruchowo kopnęła nogą obutą w kibel ze sporą siłą. Wybiła dziurę w ścianie przedpokoju.

Wielki pająk przybrał dla Pijawki rozmiary ptasznika, choć w zasadzie jego wielkość nie przekraczała wymiarów pięciozłotówki, a owłosienie na nogach w żadnym razie nie upodabniało go do typowego Janusza.

– Zabijcie to bydle! On, on, on idzie taaaam! – W sposób zakamuflowany poinformowała wszystkich, że pająk zamierza zwiedzić jej majtki.

– Sama go zabij, to przynosi pecha! Ręce masz sprawne! Sama ryzykuj własne życie! – odburknęła Kaśka z wyższością, ciesząc się, że nigdzie w pobliżu nie ma kaptcia.

Pijawka zaryzykowała. Zamachnęła się, walnęła i złamała sobie rękę.

– Jezu, co ona wyprawia?! – jęknął Makary. – Teraz to strażaków i pogotowie trzeba wzywać.

Eleonora wzruszyła ramionami.

– To i tak nic. Patrz tutaj. – Podetknęła mu pod nos zakreślony fragment powieści.

„Stanęła nogą w brodziku, twarzą do ściany i złapała zębami kurek kranu i postawiła drugą nogę na półeczce z mydłem...”

– Jezus Maria! Mogła stracić zęby!

– A... A... A... – wrzasnęła Pijawka w dzikim tańcu, który miał być ucieczką przed pajakiem, i rąbnęła twarzą w kłamkę.

– I udało się, straciła – westchnął Makary.

W końcu Pijawkę wyniesiono na mokry taras. Przestało padać. Położono ją bokiem na materacu przyniesionym z pokoju. Krwawiła. Noga nadal w sedesie krepowała jej ruchy, złamana ręka puchła, wybite zęby utrudniały mówienie, jęczała.

– Książki erotyczne to wielkie zagrożenie – podsumowała Eleonora.

Technicy, którzy przez chwilę kotłowali się w całkowicie zdewastowanej łazience, wyszli, trzymając w rękach odzianych (choć możliwe, że obutych) w rękawiczki znalezisko.

Po kilku minutach Lipski dostał na telefon pierwsze zdjęcia.

– Pani Eleonoro! – zawołał. – No co jak co, ale pani? – zapytał zaszokowany. – Dlaczego pani nic nie mówiła?

– Ale o co chodzi?

– Proszę – podsunął jej pod nos telefon – Eleonora Miazga, Strunowa dwadzieścia osiem.

– No i?

– Pożyczyła pani od Pakosia pięćdziesiąt tysięcy? Jak pani zamierzała to oddać?

– Oszalał pan? W życiu nie widziałam takiej sumy! Nie pożyczylabym! Nic nigdy nie pożyczylabym od Pakosia, bo mam zdolność kredytową, a przy jego wymaganiach – splunęła teatralnie – to musiałabym oddać sto pięćdziesiąt!

– No, ale tu jest...

– Cokolwiek tam jest, to jest kłamstwo. Zresztą nie ma się czym aż tak podniecać, przecież te kartki o niczym nie świadczą.

– Pani Eleonoro... Numer dowodu jest. Wszystko. PESEL...

– Niech pan nie będzie naiwny, jeżeli jest numer dowodu, to ktoś ten numer musiał znać, czyli miał mój dowód, a więc i PESEL nie jest niczym dziwnym. Na dowodzie jest PESEL. No i dlaczego przez te trzy lata nikt się ze mną nie kontaktował? Proszę mi pokazać.

Podsunęła sobie telefon pod nos i powiększyła obraz.

– Ale to nie mój PESEL – oświadczyła pewnym głosem.

– I tak pani wie, od razu? Bez sprawdzania? No wiem, pani jest genialna, ale ja nie wierzę.

– Może pan wierzyć lub nie, ale pierwsze dwie cyfry w tym PESEL-u to dwadzieścia pięć. Gdyby był mój, musiałabym mieć dziewięćdziesiąt pięć lat, a na tyle chyba nie wyglądam. Poza tym na liście jest nie tylko ja. Marianna też jest!

Podreptała do siebie, fakt, niechętnie, ale podreptała i wróciła z dowodem.

– Inny numer – stwierdziła po porównaniu.

– Może kiedyś zginął pani dowód i wyrobiła pani nowy?

– Nigdy w życiu! Ja nie gubię takich rzeczy!

– No to może ktoś spisał... Przecież musiała pani wymieniać dowód?

– Jeżeli o to chodzi, to tylko Regina. Ona mogła, nikomu innemu nie pozwoliłabym grzebać w moich papierach!

Makary uśmiechnął się z przekąsem, bo nie dalej jak poprzedniego dnia wpuściła go do domu i zostawiła bez nadzoru. Mógł spisać, co chciał.

– No wie pani... nawet ja mogłem. – Uśmiechnął się przepraszająco.

– Nie mogłeś!

– Aż tak mi pani wierzy?

– Oczywiście, że nie! Jestem zabezpieczona. Mam system antywłamaniowy do szuflady!

– Jaki?!

– No cóż, zainstalowałam tam pułapkę na myszy! Działa, wierzcie mi, sama wypróbowałam. Palec w gipsie miałam przez trzy tygodnie.

Pogotowie zabrało Pijawkę z kiblem, bo strażacy po ulewie mieli kilka pilnych wezwań i nie mogli przyjechać. Makaron chciał rozbić kibel młotkiem, ale właśnie wtedy pojawił się Józeczek i stanął w jego obronie.

– Mowy nie ma! To moja własność. Nie pozwalam! Nie będę płacił za takie fanaberie. Kibel ma wrócić na miejsce, a o ile znam życie, to przy tym bałaganie winnych nie będzie, bo policja powie, że nie oni, ona – tu wskazał na zmaltretowaną Pijawkę – powie, że wypadek, najemca się wykręci sianem, a ja zostanie z ręką w nocniku!

– Dobrze, że nie z nogą – warknęła Eleonora.

I tak Pijawka, spuchnięta i zakrwawiona, pojechała na noszach z nogą w kible do szpitala, gdzie obiecali zdjąć go bez używania młotków i pił.

– Tylko uważajcie! Nie uszkodźcie mojego sedesu!

Tak wołał za nimi Józeczek. Wiedział, że żona będzie z niego dumna. Pijawka oczywiście nic go nie obchodziła.

Pakoś udzielał pożyczek w trybie, który był nie do końca jasny, a z pewnością również nietuzinkowy, dlatego Lipski musiał się z nim spotkać, żeby na ten temat porozmawiać, ale rozmowa policjanta z Pakosiem mogła nie być tym, czego Pakoś pragnął. Nie było to proste. Gdyby Lipski przyszedł prywatnie, może czegoś by się dowiedział, ale też niekoniecznie, bo Pakoś konkurencji nienawidził, a informacje o swoich działaniach utajniał na wszelkie sposoby.

Jeszcze ktoś by podejrzwał, podsłuchał i wykorzystał genialny plan biznesowy, który przynosił całkiem spore dochody.

Ze swojej strony z kolei, jako prowadzący śledztwo, Lipski nie za bardzo mógł i wcale nie chciał rozmawiać z Pakosiem prywatnie.

A jednak jakoś musiał. Zresztą prywatnie czy służbowo, to już była inna rzecz, musiał po prostu się wszystkiego dowiedzieć.

Musiał się zorientować, na jakich zasadach to się odbywa. Czy ktoś przychodzi i mówi „daj kasę” i to wystarczy? Zdawał sobie sprawę, że nie jest to możliwe, szczególnie przy dużych pieniądzach, więc jak? Dowód? Chyba na dowód, ale co z wyplacalnością?

Żaden bank nie da dużej sumy komuś, kto ma tylko dziury w kieszeni. Niby Pakoś bankiem nie był i naprawdę umiał swoje odzyskać, ale jego metody bywały trudno akceptowalne.

Najpierw jednak musiał jakoś sprawdzić, czy przyszły dłużnik poza tymi dziurami w kieszeni coś jeszcze ma, choćby mieszkanie, pracę, albo jeżeli nie, to żonę, którą będzie można porwać, mamusię, którą da się zastraszyć, albo choć zdrową nerkę.

Lipski postanowił zadziałać taką samą metodą, jak robił to Pakoś.

Strachem, ale nie takim zwykłym, tylko raczej podskórnym. Perfidnym, podprogowym.

– Uczyla pani w szóstce? – zapytał Eleonorę z nieodgadnionym uśmiechem.

– No, a jak? Pewnie! Przez dobre piętnaście lat.

– Świetnie! Idzie pani ze mną! – oświadczył, licząc na to, że widok dawnej nauczycielki tak zrestreduje Pakosia, że coś uda mu się z niego wyciągnąć.

Nie chodziło o nienawiść. Ludzie Eleonorę szanowali, wręcz bardzo, ale obawiali się jej nawet po latach.

Nie chcieli na pytanie „co u ciebie?” odpowiadać „miała pani rację, stoczyłem się”, chcieli pokazać, że są kimś i że jej starania naprawdę się przydały.

Ale gdzieś w podświadomości drżeli na jej widok jak trawa drży na widok krowiego pyska.

Objawiało się to na ogół stresem.

Kiedyś jedna z jej uczennic, byłych, założyła kwaciarnię i całkiem dobrze prosperowała. Kiedy zobaczyła Eleonorę, która przyszła po kwiaty, zamarła.

– No, wiedziałam, że stać cię na coś większego – powiedziała z zadowoleniem Eleonora, na co dziewczyna wybuchnęła płaczem.

– Ale sorko! Ja się rozbuduję! Obiecuję, już w przyszłym roku...

I właśnie o to często chodziło.

Eleonora krętów wyczuwała na odległość i zdecydowanie nie lubiła, a Pakoś był krętym, ale był też jej dawnym uczniem, tak więc mogło to coś dać.

– Tylko niech pani nie wspomina o tej pożyczce na pani nazwisko, bo w tej chwili lepiej, żeby nie wiedział.

– Przecież żadnej pożyczki nie brałam!

– Ale pani nazwisko się pojawiło, może ktoś inny wziął? I udał, że jest panią?

Było to tak nierealne, że aż oboje naraz pokręcili głowami. Eleonorę ludzie znali, nie było szans, żeby się ktoś podawał za nią, nie było też zresztą potrzeby, bo nie była bogata.

No bo kto i po co podawałby się za kogoś innego? Z powodu zdolności kredytowej? A właściwie jej braku? Nie, bo Pakoś pożyczał każdemu, a ludzie bez zdolności tego typu byli jego podstawową, jeżeli nie jedyną, klientelą. Więc może odwrotnie – podawał się za kogoś, kto ma duży dom, żeby Pakoś pomyślał, że w razie czego będzie z czego ściągnąć.

I tu też bez sensu, bo domek Eleonory był maleńki i może coś tam wart, ale niewiele. Nie była na tyle zamożna, żeby ryzyko było opłacalne, więc po co?

– Może Regina nie chciała, żeby ktoś wiedział, że pożyczca? Bo jej było wstyd?

Wstyd jest potężną siłą. Ludzie wstydzą się wielu rzeczy. Pryszczycy, nadwagi, niemodnych ciuchów, ale odkąd co druga reklama to zachwalanie pożyczek, które są przedstawiane jak smakowite, niedzielne, chrupiące bułeczki z dżemikiem jagodowym w towarzystwie Miss Universum i psa, absolutny must have, bo jak tak można, pożyczki są super, a nawet seksi, nikt pożyczać się nie wstydzi.

Kraść też nie, ale jednak o tym się mówi rzadziej.

– Zaraz, a może to było jakieś zaplanowane?

– Co?

– No to... To wszystko?

– Ja tam uważam, że jakiś mąż wziął forszę na kochankę, ale żeby żona się nie dowiedziała, i już.

– Albo żona na kochanka? – zaczepnie podsunęła Marietta.

– Ty to durna jesteś? Na chłopca? Kasę brać? Na ucieczkę z chłopem to może, ale nie na chłopca... – odparowała Kaśka i niechętny poddała im całkiem dobry pomysł.

– Tak. – Eleonora pokiwała głową. – Ona mogła mieć kochanka i chcieć z nim uciec!

– Pani Eleonoro, a czy była mężatką? Nie, więc przed czym miałyby uciekać?

– Przed ludźmi! Przed losem, przed patriarchalizmem, na przykład, może on był młodszy? A ona się wstydziła?! Ha?

– Dobra, idźmy. – Lipski zrezygnował z dywagacji.

Pakoś zgodził się na rozmowę z Lipskim, bo nie miał innego wyjścia. Gdyby wiedział, z kim przyjdzie Lipski, z pewnością by się rozchorował.

* * *

Pakoś był bogaty i to było widać.

Był to ten rodzaj bogactwa, który obliczony jest na to, żeby kłui w oczy patrzących, a nie żeby zachwycał właściciela.

I wszystko w te oczy sąsiedzkie kłuiło. Gięte balkony, strzeliste wieżyczki, różowe ściany, stromizny dachów i freskodachówki.

Oczywiście nikt jeszcze nie wymyślił freskodachówek, ale Pakoś zapłacił, żeby ze zwykłych dekarz mu Giocondę na dachu wyłożył. Wyszła jak wyszła, ale była. I była trochę naga, ale tylko dlatego, że koloru zabrakło.

Kiedy podeszli do bramy, fotokomórka powiadomiła właściciela dzikim rykiem o tym, że ktoś się chce włamać do domu.

O mało nie zaczęli uciekać w panice.

– Przepraszam – powiedział Pakoś, materializując się pod bramą – ustawienie alarmu jest jeszcze niedopracowane... O Jezus Maria! – dodał na widok Eleonory.

Przeszli ścieżką pomiędzy plastikowymi krokodylami do domu, którego wewnątrz było złoto-różowe jak przystało na dom wielbiciela Sławomira i dmuchanych flamingów.

– Zaraz przyniosę dowód – oznajmił Pakoś spanikowanym głosem.

– Nie będzie nam potrzebny – uspokoił go Lipski. – Chciałem tylko o coś zapytać...

– Jeżeli chodzi o ten biust z dachówek, to nie moja wina, fachowiec tak mi to spieprzył! – zaczął się tłumaczyć z czegoś, co jego zdaniem mogło być powodem wizyty policjanta.

– Chciałbym poznać zasadę pańskiej działalności pożyczkowej.

– Ależ ja nie mam nic do ukrycia. – Ucieszył się chyba. – Pożyczam. I to jest zasada.

– Ale komu?

– Tym, którzy potrzebują.

Przez dłuższą chwilę takich przekomarzań, podczas których usiłował nic nie powiedzieć, Eleonora wpatrywała się w niego wzrokiem jak znad dziennika. Zaczął się pocić. W końcu wydukał:

– Ja z matematyki byłem kiepski, ale się poprawiłem! Teraz to ja jestem piramidą, ale nie taką nielegalną, jestem odwróconą piramidą finansową. Przyniosę koniaku. – Westchnął i wstał.

– My dziękujemy – wyburczała Eleonora. – Jest zbyt wcześnie na koniak.

– Ale sorko! Ja muszę się napić – jęknął płaczkliwie i usiadł, potem znów wstał, podszedł do barku i drżącą ręką nalał sobie koniaku do sporej szklanki, wychylił duszkiem i westchnął po raz drugi.

– Ja w sumie nie pożyczam ludziom, tylko swoim zaufanym poborcom, oni to rozprowadzają, a jak? Co mnie to obchodzi? Byleby pieniądze wracały pomnożone.

– Ale jak? Na dowód?

– Nie interesuję się tym. Owszem, podejrzewam, że tak, ale to nie moja sprawa, choć jak są kłopoty ze spłatą, to włączam się w akcję. Zazwyczaj, o ile mi wiadomo, to dowód, PESEL, adres wystarczą, przy większych sumach to już ryzyko, ale... Powtarzam, mnie to nie interesuje. Przychodzi któryś z moich ludzi i mówi, że ma klienta na dwadzieścia albo pięćdziesiąt, to mu daję, a dalej on się martwi. Przy mniejszych sumach to nie warto sobie nawet głowy zawracać.

Gospościa przyniosła tacę z zastawą do kawy. Połowa filiżanek była wyszczerbiona, a dzbanek nie miał ucha. Trochę to dziwnie wyglądało. Pakoś pochwycił ich zdziwione spojrzenie.

– Serwis jest cenny, ale żona za często się nad nim pochyla.

Nie zrozumieli. Ponieważ nie było to ważne, a on nie wyglądał na kogoś, kto chce roztrząsać tę kwestię, poprzestali na uśmiechach zrozumienia.

Mieli wrazenie, że może żona się znęca nad Pakosiem. A ten po prostu nie chce nikomu o tym mówić? To było możliwe, tym bardziej że teraz coraz więcej jest takich przypadków. Albo inaczej, pewnie ich jest tyle, co zawsze, ale częściej się o nich słyszy, bo ludzie coraz mniej się wstydzą tego, że są bici, choć mężczyźni raczej się do tego nie przyznają zbyt chętnie.

Jego stwierdzenie mogło znaczyć wszystko, włącznie z przemocą domową i znęcaniem się żony nad serwisem, albo nawet nad nim samym.

– A ci, co uciekli? – zapytał Lipski, zmieniając temat i budząc tym rozbawienie Pakosia.

– No to i co? Uciekli, ale to nie takie proste. Mieliśmy pewne układy, o których nie zamierzam opowiadać, ale ja na tym nie straciłem. Może parę marnych groszy, no nie zarobiłem, to fakt, ale kto by się tym przejmował...

– Bo wie pan, że...

– Jakby co, to nie ja! – oświadczył natychmiast, porządnie przestraszony.

– Jakby co, to nie pan? – Eleonora wypluła słowo „pan” w tak specyficzny sposób, że Pakoś aż poczerwieniał.

– Szkielety... – wydukał. – Słyszałem, że tam gdzieś w sorki okolicy znaleziono jakieś szkielety.

Plotki najwyraźniej przemierzają się po mieście tunelami podprzestrzennymi, bo nikt nie powinien raczej jeszcze wiedzieć o szkieletach, a już na sto procent kojarzyć ich z działalnością Pakosia i ucieczką jego pracowników, ale najpewniej wszyscy kojarzyli.

Dziewczyny rozsyłały SMS-y o wszystkim, co ich dotyczyło, wrzucały zdjęcia do sieci, bo przecież to mogło je rozpropagować. Polepszyć zasięgi, zwiększyć sprzedaż... Zresztą każdy prawie to robił, chyba nawet Pijawka, ale ona żaliła się na FB, że straciła ostatnie zęby, i zastanawiała się, skąd wziąć pieniądze na nowe.

Przewrotny żart na temat kibelka teraz zaczął ją prześladować, bo jeżeli ktoś zapyta, dlaczego ceramiczny sedes jest dziesięć razy tańszy od ceramicznego zęba, to odpowiedź jest jedna. Sedesem trudniej się gryzie.

I w tym momencie ona to odczuła na własnej skórze, kiedy okazało się, że nogi z sedesu wyjąć się nie da bez szkody albo dla sedesu, albo dla nogi, prawie się popłakała, bo nie stać jej było na nowy sedes. Na nową nogę też nie.

– Ja ich nie zabiłem! – powiedział po chwili Pakoś. – Nie miałem po co.

I w tym momencie Lipski trochę się zdenerwował, bo nic przecież ani o szkieletach, ani o morderstwie nie wspominał, więc dlaczego?

Oczywiście trudno uwierzyć, że dwóch facetów w odstępie kilku miesięcy zmarło całkiem naturalnie w tym samym miejscu, a potem się zakopało w ogródku, ale nagle pomyślał, że kto wie? Pakoś mógłby być niezłą opcją.

Powiedzmy ktoś komuś za dużo pożyczył i nie było jak ściągnąć, Pakoś miał zabezpieczenie, możliwe, że dom albo ziemię, zabił i wziął, co mu się należało, a pewnie i więcej, bo dom to jednak trochę kosztuje.

Tylko że Pakoś nie jest chyba aż takim idiotą, nie zakopałby ich razem.

I po co by chował papiery za kiblem?

SMS z posterunku sprawił, że Lipski się uśmiechnął.

– Adam Kracz i Marek Kusicki, coś to panu mówi? – zapytał Pakosia.

– Tak, to moi ludzie. Ci, którzy uciekli. To znaczy widać, że nie uciekli. I, że tak zapytam...

– Ma pan jakąś toaletę? – zapytała Eleonora zmęczonym głosem, bo strasznie jej się nudziło. Chciała sobie kości rozprostować.

– Oczywiście, zaraz. Kochanie! – zawołał, wykrzywiając głowę w górę. – Zaprowadź panią Eleonorę do kibelka, tego dla gości – dodał, kiedy na schodach pojawiła się blond piękność w złocie.

– Moja żona – oświadczył – znaczy tak jakby.

Blondwłosa piękność o ustach jak dwie spore parówki wieprzowe, rzęsach jak czułki i biuście w rozmiarze XXX zeszła ze schodów posuwistym krokiem i podeszła do Eleonory.

– O, to pani jest tą wariatką, przez którą Pusio musiał chodzić na terapię?! – zaszczębiotała ucieszona. – Opowiadał mi! – dodała z dumą.

Pusio o mało nie zemdłał.

Dziewczyna miała na sobie złotą suknię z rozparkiem do pępka, złoty pas ze złotą klamrą i złote kapciuszki na szpilkach ozdobione złotym futerkiem.

– Kiciu, przestań! – jęknął Pusio vel Pakoś.

Dziewczyna odwróciła się zbyt gwałtownie w jego kierunku, jedna z jej piersi nie wyrobiła na zakręcie i pacnęła w poręcz.

Odlamek poręczy spadł na podłogę, ale pierś nie została uszkodzona.

– Kiciu, przestań – jęknął jeszcze raz Pakoś.

– Kicia nie przestanie, nie wolno się znęcać nad Pusiem! – oświadczyła, odkładając pierś na swoje miejsce.

– To wiem, ale nie demoluj mi domu cycem... Wiem, sam się zgodziłem, ale wczoraj serwis, dziś barierka, kochanie... Uważaj trochę. Nie wykonuj gwałtownych ruchów, bo grawitacja nie nadąży.

– Grawitacja? Kopnąć w tyłek i nadąży! Że też wzięłaś sobie taką nędzną gosposię... Wstyd! Na twoim stanowisku?!

Pakoś był naczelnym chwilówkodawcą i nikim więcej, żadnego innego stanowiska nie piastował, ale Kicia chyba nie była zorientowana.

Eleonora wstała i poszła za Kicią, która pomyliła zapewne korytarz domu z wybiegiem dla modelek, bo szła, kręcąc tyłkiem w ten specyficzny sposób, który przychodzi na myśl ból kręgosłupa.

A za Kicią ciągnęła się jej sukienka.

Eleonora miała ochotę ją przydepnąć. Nie zrobiła tego, bo były same, a Kicia była spora.

Mówi się, że nie można zostać bogaczem, jeżeli się nie umie ukrywać dóbr, tak więc albo Pakoś bogaczem nie był, bo niczego nie ukrywał, albo to, co pokazywał, było marnym okrawkiem tego, co miał.

Wszystko było złote. Może zresztą tylko pozłacane albo pomalowane złotą farbą, ale lśniło.

Klamki, ramy obrazów, dzbanki na kwiaty i kwiaty w dzbankach, gzymsy i bibeloty na stolikach, które złote nie były, ale i tak błyszczały wysokim połyskiem.

– To tu. – Kicia wskazała drzwi do łazienki i poczekała, aż Eleonora wejdzie.

Łazienka była beżowo-złota.

Eleonora poczekała chwilę, po czym wyjrzała. Kicia gdzieś sobie poszła. Eleonora wyszła i postanowiła pozwiedzać dom.

Był naprawdę spory.

– Niech pan ją stąd zabierze – jęknął Pakoś, kiedy Eleonora wyszła za Kicią. – Ja pana proszę. Wszystko wyjaśnię. Przyszedł do mnie kiedyś ten Adam, powiedział, że ma chętnego, dałem mu pieniądze, to było tylko na chwilę, wie pan, chwilówka to chwilówka, pomyślałem, że dobrze będzie, ale po dwóch tygodniach, kiedy poszedł odebrać forszę, po prostu zniknął. Z tym drugim potem było tak samo. Czy myślałem, że to coś dziwnego? Oczywiście, że nie! Pan sobie sprawy nie zdaje, jak się działa w takiej branży. Bywa, że ludzie potrzebują pożyczki na dzień lub dwa, czasami nawet sporej, skąd mogłem wiedzieć, że go ktoś zabije? A co do tych adresów? Nie interesowały mnie, bo wie pan, ja miałem zabez-

pieczenie na czymś innym. Bo, jak mówiłem, to taka piramida. Oni brali ode mnie, ktoś brał od nich i było w porządku.

– No ale sprawdzaliście dane?

– A po co? Człowiek spisuje dowody i tyle.

– A jeżeli na przykład dowód jest innej osoby?

– A to nawet lepiej!

– Jezu, dlaczego?

– Pan pomyśli trochę, teraz kiedy wprowadzili te zdjęcia do dowodów, co to każdy wygląda na seryjnego mordercę, to nikogo się prawie rozpoznać nie da. Nie?

Lipski przytaknął, choć jemu się wydawało, że aż tak źle nie jest.

– No, i jak się pożyczyci na taki dowód, to potem można komornika nasłać.

– No ale nie na tego, kto wziął pożyczkę.

– No bez sensu, pan w ogóle nie myśli! Przecież jak on u mnie pożyczkę bierze, to on jest całkowicie niewypłacalny, tak? No! Więc jak z niego ściągnąć? Nie da się, a właściciel dowodu przy odrobinie szczęścia ma jakieś pieniądze w banku, więc może się je odzyska od niego.

– Ale on nie jest nic winien – jęknął Lipski, zaskoczony takim rozumowaniem.

– Ale co mnie to obchodzi? To już sprawa komornika! Niech ściąga!

– Ale to jest nieuczciwe – stwierdził Lipski bez zastanowienia. Nie powinien był oczywiście, ale się ja-koś tak smartwił, że ktoś musi spłacać pożyczki, których nie zaciągnął, tylko dlatego, że zgubił dowód, albo mu go ukradli.

– A etyczne jest to, że ja mam straty?! – warknął Pakoś. – U mnie najlepiej jest tak: dowód, PESEL i dłużnik, a jeżeli każde jest inną osobą, to cud, miód i pieniądze!

– A wiedział pan, że jedna z tych osób to była pani Eleonora?

– Znaczą?

– Jej adres, no, prawie. Jej nazwisko, PESEL za to nie jej.

– A dowód?

– Jeszcze nie sprawdzałem.

– A, czyli była mi winna spore pieniądze...

– Twierdzi, że nie wiedziała, nie brała...

– Każdy tak twierdzi, ale tu mam zapisane, że wszyscy oddali, tylko poborca... No tak. Nie uciekł, więc ktoś musiał go zabić i zabrać mu pieniądze. Myśli pan, że sorka byłaby w stanie?

– Oszalał pan? – Lipski otworzył oczy ze zdumienia, on sam za Eleonorą nie przepadał, ale nie uważał, że mogła kogokolwiek zabić, zamęczyć może tak, ale nie zabić.

– Szkoda...

– A pan? – Lipski spojrział na Pakosia, który znów, tym razem odrobinę chwiejniejszym krokiem, podszedł do barku i znów chlapnął sobie szklanekę koniaku na raz.

– Nie, no co pan, panie władzo, po co?

– Z zemsty?

– Na tych moich...

– Nie, na Eleonorze?

– O... – jęknął Pakoś, po czym usiadł. – Ja jej się tak bałem, że bałbym się nawet na niej mścić! Nie, ja nie... Ale Kicia?

– O co chodzi, Pusiaczku? – Kicia zmaterializowała się, jakby podsłuchiwała pod drzwiami.

– O nic, powiedz gospoś, żeby przyszła zabrać tę tacę, bo nie mogę już na to patrzeć, taki piękny serwis... Po mamusi...

Kicia stanęła tyłem do Pakosia i wrzasnęła:

– Grawitacja! Chodź no tutaj serwis zabrać, tylko migiem, bo pan się denerwuje, że nie nadążasz!

– Grawitacja? – zdziwił się Pakoś.

– No sam mówiłeś, że Grawitacja nie nadąża!

– Idź już, Kiciu, na górę. Muszę z panem spokojnie porozmawiać. – Odesłał żonę jak niesforne dziecko do jego pokoju. Odczekawszy, aż zniknie u góry schodów, westchnął.

– Ona by mogła. Ona mnie kocha nad życie. Wie, że dzięki mnie może mieć wszystko, czego zapagnie. Jestem jej bóstwem. – Uśmiechnął się całym swoim nalany, czerwonym obliczem człowieka w dość zaawansowanym stanie tuszy.

Eleonora przemierzała korytarze złotego przybytku, które kojarzyły jej się ze świątynią Inków i bezguscia. Dom był wielki. Wszędzie gięły się poręcze i wiły schody, jakby ten, kto go zaprojektował, miał owsiki.

Wchodziła po nich (po schodach, nie owsikach), schodziła, zaglądała do pokoi, ciesząc się, że nie ma nigdzie Kici, a więc, gdyby co, będzie mogła powiedzieć, że się zgubiła.

Była już chyba wszędzie – i w piwnicach, gdzie Pakoś miał kino domowe i stół do bilarda, i na poddaszu, gdzie jeszcze nie miał niczego, ale coś na pewno planował, bo widać było jakieś prace.

Co zaskakujące, Pakoś miał też bibliotekę!

Eleonora zamarła, zaszokowana. Podeszła, aby zobaczyć, jakie tytuły zaszczyliły to złote miejsce.

– *Dzieci z Bullerbyn?* – Wsunęła głębiej tę jedną, wystającą nieco książkę, żeby wyrównać tomy na półce, ale w tym momencie biblioteczka skrzypnęła, przesunęła się i odsłoniła wejście do prawdziwej jaskini... hazardu.

Nie było tam okien, ale kiedy biblioteczka się przesunęła, automatycznie zapaliło się światło.

Eleonora ujrzała zielone stoliki, ruletkę, a nawet automaty.

No tak – pomyślała, robiąc kilka zdjęć telefonem – i czego ja się spodziewałam po tym matolku? Poczuli się naprawdę oszukana.

Przeszła jeszcze dalej. Usłyszała, że ktoś wchodzi. Schowała się za złotym bukietem wielkości człowieka, który o mało nie obciął jej nosa, bo był z metalu.

Zobaczyła Kicię. Rozmawiała przez telefon.

– Gabryśka? I coś ty nawywijają, debilko? Jak to noga w kiblu? Jak to zęby... Pewnie się znów nachlałaś?! I to ja mam robić? Przecież taka siostra to w chuj kłopotów, nie, nie zabiorę cię, bo Pusio się denerwuje i z dupy nici! Nie, nie z seksu, idiotko! Z operacji! Muszę sobie tyłek poprawić, bo mi półdupki zwisły...

Eleonora popatrzyła na odkryte złotą suknią, imponująco wydatne półdupki Kici. Zwisiały, według tego, co mówiła Kicia, jeden był już w okolicy kolan. Eleonora pomyślała, że jak je jeszcze bardziej podciągnie, to będzie je miała na łopatkach.

To akurat nie było interesujące, ale to, z kim rozmawiała, już tak.

Czyżby Pijawka była siostrą Kici? Ona? Ta wytatuowana menelica? Genetyka to bardzo tajemnicza nauka, niby podobne geny, podobne wychowanie, a u jednego życie skupia się na złocie, u drugiego na błocie.

Zeszła do salonu tymi samymi schodami, którymi wcześniej schodziła Kicia.

– Czyli uważa pan, że Kicia... – Lipski nie był przekonany – mogła zamordować tych dwóch facetów, żeby zrobić panią Eleonorę?

– No właśnie nie, ale trochę tak. Mogłaby ją zrobić, to prawdopodobne, ale mordować? Chyba tylko cycem. Powiem panu, że nie wiem, gdzie ona sobie te operacje robiła, ale ten jej cyc jest jak beton zbrojony.

– Tego nie rozumiem.

– Betonu? Czy mordowania cycem? – zapytał Pakoś, już nieźle wstawiony.

– Nie, tego wrabiania, mogła zrobić, ale nie zabić? Jakim cudem?

– A bo ja wiem? Ona jest głupia. Przerażająco głupia, ale ja potrzebuję reprezentacyjnej żony. Gdyby znalazła zwłoki, to mogła je zakopać gdzieś tam albo coś tam... robić, żeby... Żeby wyglądało, że to sorka? Mogłaby.

– Na przykład wziąć pożyczkę i podpisać się jako Eleonora Miazga?

– Nie wiem nawet, czy ona umie pisać. No, żartuję, ale po co jej pożyczka? Ma mnie!

* * *

Makary chciał posprzątać, ale policjanci mu nie pozwolili. Odnalezienie papierów w skrytce za dolnopłukiem świadczyło o tym, że zbrodnia miała miejsce w tym domu albo przynajmniej w tym ogrodzie, a morderca, skoro to tutaj ukrył, do tego domu miał dostęp jak Józeczek czy może jego żona, albo nawet jego matka, albo w nim mieszkał jak Regina, która była jego ciotką, albo jak wszystkie te osoby, które dom wyjmowały.

– Papiery z najmu – zaordynowała Luśka, biorąc na siebie dowództwo na czas nieobecności Lipskiego, co bardzo jej się spodobało i trochę przeraziło Makarego, bo bał się dominujących kobiet.

Na szczęście to akurat Józeczek mógł im dać bez problemu, wystarczył tylko dostęp do sieci, bo miał to zapisane w pliku na komputerze.

Mieszkały tu po Reginie cztery osoby, to znaczy najpierw wiekowa Stefania Markowska, wielbicielka seriali tureckich, która tak się dała we znaki okolicy tymi serialami, że musiała się wynieść, bo nawet sąsiedzi dwa domy dalej pisali na nią skargi, potem dwie siostry prostytutki, Andżelika i Gabryśka Kloc, które uprawiały najstarszy zawód świata, a tego nie zniosła matka Józeczka, następną z kobiet Alicja Otrocka, poetka, która też była okropnie głośna nocami, zamieszkała jako ostatnia przed Makaronem na bardzo krótko.

– Słuchaj, dlaczego wy się tak przejmujecie tymi szkieletami? – zapytał Luškę Makary, trochę żeby z nią pogadać, a trochę, bo wydało mu się to bez sensu. – Przecież to stara sprawa. Tam w bibliotece macie nową, świeżą zbrodnię, więc dlaczego?

– Słuchaj, nie wiem – odparła Luśka, wzruszając ramionami – ale aspirant Lipski twierdzi, że to może być coś, co jest... No na podstawie, czy ja wiem? On uważa, że jedno i drugie to ta sama osoba.

– A ty?

– A bo ja wiem?

– A to ja wiem – powiedziała Eleonora, szokując swoim wejściem smoka wszystkich. – To jest powiązane!

– Skąd pani przyszło do głowy?

– Stąd. – Pokazała zakreślony fragment w książce Marietty i Kaśki, bo już jakby mniej Karoliny. – „Wpatrywała się w okno domu naprzeciw. Jego fasada migotała zielenią jakiegoś neonu. Błękitne światło telewizora drżało i migąło, rzucając cienie sylwetek na zasłony. Gdzieś za tymi gęstymi tiulowymi zasłonami te cienie walczyły. Jeden nich wyjął podłużny przedmiot, błysnął nóż”.

– I co z tego? – zdziwiła się Marietta. – To jest opis morderstwa, może i tak, ale skąd pani wzięła pomysł, że to jest to morderstwo?

– Pamiętacie tę wegańską knajpę, gdzie pracowała Karolina?

– No i?

– I ten ich koszmarny, upiorny neon?

– I?

Nadal nie pamiętali.

– Dopóki knajpy nie zlikwidowali, dom, ten nasz, nocą był od tego cholerstwa cały zielony! Czytajcie, do cholery, ze zrozumieniem! Jak wyście szkoły skończyli?! – wrzasnęła naprawdę wściekle, przypominając wszystkim stare, niedobre czasy. – Dom naprzeciw, zielona fasada... Karolina pracowała w wegańskiej knajpie... Mogła coś zobaczyć!

– I zapisała to? Jak jakaś...

– Idiotka!

– Nie, ona chciała kogoś szantażować. To proste. – Eleonora nie lubiła tłumaczyć wszystkiego jak „krowie na miedzy”, ale inaczej wyraźnie się nie dało.

– W książce? Bez sensu, nie każdy czyta książki... Mordercy na ogół nie czytają. To znaczy, mogą nie czytać... No, albo napisała to przypadkiem? Tyle że po co ten kawałek w książce erotycznej? Bzdurne to...

– A jeżeli inaczej nie mogła? – Eleonora usiłowała ich naprowadzić.

– Jak mogła nie móc? Dzwoni się, pisze list, wysyła maila. A nie takie coś do książki.

– Żeby wysłać list czy maila, trzeba wiedzieć, do kogo i kogo szantażować.

Karolina chyba była pierwszą szantażystką, która nie wiedziała, kogo szantażuje.

– Tylko że to zupełnie nie pasuje do Karoliny, ona by tak nie zrobiła. Owszem, mogła coś zobaczyć, owszem, mogła chcieć kogoś szantażować, ale nie tak. To zbyt subtelne jak na nią. Nie że była tępą jak tabaka w rogu, ale ona tak nie działała.

– Tabaka w rogu jest ciemna, nie tępą! – odburknęła Kaśka. – Ale ja uważam... No, że to jakby nie w jej stylu.

– To co jest z tymi nazwiskami? Spisaliście już? Bo nie będę tak stał jak dupek, chcę wrócić do domu, a nie w tym bajzlu siedzieć...

No tak, wszyscy zapomnieli o Józeczku. Najbardziej Makaron, bo trochę chciał o nim zapomnieć.

– Nazwiska nazwiskami, ale jak ja tu będę mieszkał?

– To już nie moja sprawa! – Józeczek szybko odciął się od problemów mieszkaniowych Makarona. Te były dość poważne.

– Wiesz, chwilowo zamieszkaż u mnie – oświadczyła Eleonora. – Będzie ci różniej, bo te szkielety pewnie cię odrobinę zestresowały. A potem jakoś to załatwisz, jak wstawisz nowy kibel, będzie w porządku. Nie musisz się spieszyć, w salonie mam sofę.

– Ma pani rację, zestresowałem się szkieletami jak najbardziej – odpowiedział z uśmiechem. Nie zestresował się za bardzo, widać było jednak, że ona chyba tak, a zresztą nie miał za bardzo wyjścia.

– Ty mi powiedz, Kaśka, bo wiem, że wiesz, tylko ściemniasz. – Luśka dopadła Kaśkę na zewnątrz, kiedy te już wychodziły do siebie. To znaczy, do siebie jak do siebie. Marietta nadal pomieszkiwała w domu koleżanki, ale też i trochę u siebie. Nie było żadnych ataków, nikt im nie groził, nikt o książce źle nie pisał. Wydawało się, że sprawa jakoś je omija.

Uspokoily się nieco.

Nie wiedziały tylko, co mają zrobić, bo z jednej strony rozgłos byłby czymś świetnym, z drugiej jakby odrobinę zbyt niebezpiecznym, skoro nie miały nic przeciwko temu, żeby je wiązano z morderstwem,

ale nie chciały, żeby pisano o ewentualnym plagiacie. Ewentualnym, bo Karolina podobno zrobiła to inteligentnie, ale żadna z nich tego nie sprawdziła.

Porównywanie tych buław, maczug i płonących mieczy do innych buław, maczug i drżących mieczy, nie oszukujemy się, język polski nie jest za bardzo bogaty w te określenia, wcale im się nie uśmiechało.

Luśka wpadła do salonu Eleonory stanowiącego teraz coś w rodzaju centrum dowodzenia, gdzie ta ostatnia i Makary robili wszystko, żeby pozbyć się Józeczka, w końcu ta część domu nie należała do niego.

Kiedy wyszedł, niechętnie, ale jednak, pochylili się nad papierami.

– Sexi Klocunia! – zawołała Luśka z przejęciem. – To od niej Karolina kopiowała te erotyczne wstawki.

– A kto to jest Sexi Klocunia? – zdziwiła się Eleonora, nieobyta z internetowym światem dziwnych nazw i nicków.

– Zaraz się dowiemy. – Luśka się uśmiechnęła, zasiadając do laptopa. Wszyscy skupili się jej nad głową.

Wystarczyło wpisać nick do wujka Google, by natychmiast pokazał kilka ciekawych linków. Były zapatrzone w zdjęcia.

– No nie, coś mnie zaraz trafi... – jęknęła Eleonora. – Przecież to Kicia!

– A kto to jest Kicia? – zapytała tym razem Luśka.

– No to jest ta żona, chyba druga, Pakosia albo, jak to mówił, niby-żona – wyjaśnił Lipski. – Ale też, dlaczego Seksi, to rozumiem, ale klocunia? Wcale nie jest klocowata!

– Bo to jest jej nazwisko. – Makary wskazał na zdjęcie. – Ona się nazywa Andżelika Kloc, to siostra Pi-jawki!

I w tym momencie szczęki wszystkim opadły.

Bo jeżeli Karolina od niej coś skopiowała, to ta mogła chcieć się na niej zemścić.

– I one tu mieszkały wcześniej, lata temu, ale Józeczkowej Anicie nie pasowało, że no... wiadomo. – Teraz odezwała się Eleonora, przyglądając się papierom na stole. – Myślicie, że ten kawałek... Jak to sprawdzić? Bo jeżeli one twierdzą, że taki szantaż nie pasował do Karoliny...

Luśka szybko wpisała kontrowersyjny fragment tekstu do wyszukiwarki.

– Mogą twierdzić, co chcą i całkowicie nie mieć racji. – Lipski wzruszył ramionami. – Takimi sprawami nikt się nie chwali. No? Masz coś? – ponaglił dziewczynę.

Ta wzięła wszystko w cudzysłów i nacisnęła „szukaj”.

– I mieliśmy rację. Ona to ma w jednym ze swoich postów...

Wyglądało na to, że Karolina, kradnąc teksty, trochę się zagapiła i ukradła fragment bez buław i ognistych mieczy, ale jak wszystko, trochę go przerobiła.

„Wpatrywała się w okno domu naprzeciw. Jego fasada migotała zielenią jakiegoś neonu. Błękitne światło telewizora drżało i migało, rzucając cienie sylwetek na zasłony. Gdzieś za tymi gęstymi tiulowymi zasłonami te cienie się pieprzyły. Jeden nich wyjął długie przyrodzenie. Rozświetlił je szał namiętności”.

– Czyli ona nikogo nie chciała szantażować?

– No, na to wygląda. Nie chciała, ale, jak to się mówi, karma wraca... Tamta też nie chciała nikogo szantażować. Jak to w ogóle możliwe?

– Na złodzieju czapka gore...

– Ktoś to przeczytał w wersji z nożem i się przestraszył. Tylko kto? Bo kiedy byliśmy przekonani, że to Karolina, to jeszcze miało sens, pracowała w wegańskiej knajpie, mogła wyjść na papierosa i coś zo-

baczyć, a tak?

– Nie rozumiecie? Ona niczego nie zobaczyła, nikt niczego nie zobaczył. Kicia napisała durny tekst, ta go skopiowała i pozmieniała, pech chciał, że morderca wziął go do siebie.

– Czyli mamy mordercę paranoika! Wiecie, w ilu książkach ludzie piszą o nożach i o zielonych fasadach? Ale tam, fasady, patrzcie na to. – Luśka wskazała na przypadkowy tekst z poradnika kulinarnego. – „potem nożem, raz koło razu, tak żeby uzyskać krwawy befsztyk”. No i? To nas nigdzie nie doprowadzi! Mamy przerażane!

– Mamy jednak coś...

– Co?

– Nóż! Ten ktoś zareagował na nóż, a kto świruje z nożami!

– Marianna! – odpowiedzieli sobie chórem.

Kaśka i Marietta były o wiele spokojniejsze, ale nie na tyle, żeby nie uspokajać się alkoholem.

Podejrzeń, które padło na Mariannę, nie wyczerpało możliwości. Były przecież jeszcze i inne, ale jak to się mówi, z jednej strony lepiej nie mnożyć podejrzanych, bo co za dużo, to niezdrowo, z drugiej trzeba brać pod uwagę wszystkich możliwych, bo jeżeli się kogoś pominie, a on się okaże tym jednym, który zabił, może być spory kłopot, a sprawa może się ciągnąć i ciągnąć.

Tak więc z jednej strony istnieje pokusa, żeby eliminować, kogo się da, z drugiej, żeby wpisywać na listę podejrzanych, kogo tylko można.

Niby od przybytku głowa nie boli, ale tu jednak to powiedzenie się nie sprawdza.

– Pakoś i jego Kicia – oświadczyła Eleonora. – Może marny pomysł, ale albo Kicia ich zamordowała, bo chciała ich okraść, albo zamierzała oskubać Pakosia. No i sam Pakoś też mógł, bo coś do nich miał.

Taki pracodawca, który morduje swoich pracowników tylko dlatego, że „coś do nich ma”, mógłby być koszmarem.

– Ale sam siebie by okradał?

To stwierdzenie też nie do końca było prawidłowe. Nie musiał. Mógł tylko udać, że został okradziony, a kto go sprawdzi?

– No, pieniądze i tak były jego, więc czy ja wiem? Ale znając sprawę, nie powiedziałaby, że wszystko odebrał, chyba... zresztą nie wiem.

Skąpa natura Pakosia kazałaby mu na przykład zostawić gdzieś rachunki i poświadczenia, żeby potem nikt nie mógł powiedzieć, że oddał wszystko, skoro nie oddał. To przemawiało na korzyść Pakosia, ale to mógł być blef albo fałszywa wskazówka.

No i było więcej osób, które mogły być podejrzane.

– Regina? Podała się za mnie dla niepoznaki, nikt niczego nie sprawdzał, pożyczyła kupę forsy, zabiła i uciekła? – Wersję z Regimą promowała Eleonora.

To by było nawet dość ciekawe i jakieś takie logiczne, gdyby nie pewien szczegół – ofiary to byli dość młodzi mężczyźni, a Regina nie była siłaczką. Więc jak?

No ale nikt jeszcze nie wiedział, co było przyczyną śmierci szkieletów, jakkolwiek to brzmi, więc mogła to być trucizna, z trucizną dałaby radę, tyle że przecież w tym dziwnym tekście był jakiś nóż. I jeszcze jedno. Przez okno nóż da się czasami zobaczyć, choć nie zawsze widać, czy kroi on szynkę czy dźga człowieka, ale z trucizną tak się nie da. Przez okno można zobaczyć jakieś gesty, ale tylko tyle, a gesty, takie jak mieszanie czegoś łyżeczką, dosypywanie czegoś, dokładanie czy nawet dorzucanie nie są a priori mordercze.

– Po pierwsze Regina już tu wtedy nie mieszkała – sprzeciwił się Makary – więc jak? Weszłyby do kogoś jak do siebie, umówiła się, zamordowała i zakopała, a ten, kto tam mieszkał, nie zauważyłby tego?

– Co nie znaczy, że nie mogła się tu z kimś umówić. Może zachowała klucz, a ten ktoś, jakiś najemca, wyjechał na kilka dni? No, a potem Karolina.

– Regina nie czyta powieści erotycznych, to po co by zabijała Karolinę? Skąd by wiedziała?

– Tego nie możemy brać tak całkiem na poważnie, książkę może przeczytać każdy, wejdzie do Empiku, otworzy i przypadkiem...

– Nie, tak to nie, ten ktoś musiałby wiedzieć, że to jest związane z Zastroniem, przecież dziewczyny pisały pod pseudonimem. Ten ktoś musiał wiedzieć wszystko, nawet to, że pisały we trzy.

– Czyli znów wracamy do Marianny i, jak rozumiem, zakładamy, że te obie zbrodnie się łączą?

– Trzy zbrodnie. Mamy dwa męskie szkielety, na jednym z nich widać ślady po nożu – wyjaśnił Lipski, dopiero teraz podając przyczynę zgonu, możliwą, ale też nie do końca pewną. – Jeden został zakopany wyraźnie wcześniej niż drugi, ale oba pochowano w dole, w którym były już szczątki zwierzaków, więc ten ktoś miał tym łatwiejsze zadanie.

– I znał sprawę, wiedział, że Regina ma tam takie miejsce na zwierzaki.

– Najbardziej to miejsce znała Regina.

– Czemu się pani tak czepiła tej swojej koleżanki, nie lubi jej pani aż tak bardzo?! – Lipski nie wytrzymał.

– Nie, no...

U Eleonory zadziałała dość prosta zależność i wcale nie chodziło o sprawiedliwość czy o jakieś inne sprawy moralne. Zwyczajnie Regina była jej znajomą, a gdyby okazała się morderczynią... To byłaby znajomą morderczynią i każdy, kto ją znał, mógłby jęczeć na każdym kroku: „a ja tak jej ufałem”, „nigdy bym jej o to nie podejrzewał” albo „no i co gry komputerowe robią z ludźmi?”.

To ostatnie to jednak nie, ale można gry komputerowe zamienić, na przykład, na starość.

– Trzeba sobie powiedzieć jasno: ktoś się umówił z tymi dwoma facetami, zadźgał ich. Zabrał im pieniądze. To znaczy nie, inaczej. Umówił raz, okradł, zamordował, stwierdził, że działa, nikt się nie czepia, wszyscy twierdzą, że facet uciekł, więc pomyślał, że jak drugi ucieknie, nic się nie stanie. Stąd kradzież pieniędzy.

– O ile jakieś mieli – mruknął Makary.

– A mogli nie mieć?

– Mogli, przecież to zależy, kto im co oddał, o ile oddał, ale tego to się raczej nie dowiemy, bo nikt nie ma interesu w tym, żeby siebie samego pograżać. Dłużnicy twierdzą, że oddali wszystko, korzystając z tego, że nikt nie sprawdzi.

– Mogło być tak, że facet obszedł dłużników, zebrał kilkaset złotych i dał się zabić, mogło też być tak, że miał przy sobie pieniądze dla kogoś i dał się zabić, albo nawet ludzie rzeczywiście mu oddali wszystko, mało realne, ale kto wie... – Lipski głośno myślał, bo możliwości było sporo. – Ale wiecie co? Jedną z osób na pierwszej liście była też Marianna...

– Jakoś tak dziwnie, tylko na pierwszej? Na drugiej nie?

– Tylko na pierwszej, ale nie jest wcale powiedziane, że morderca musi być na obu listach albo na którejkolwiek. Przecież mogła śledzić, no i... Tak czy tak, u Marianny w ogródku zwłok nie ma. To znaczy, jak na razie, poza tym kto zakopuje zwłoki w swoim własnym ogródku? Tylko idiota chyba...

– Trochę tak, ale przenoszenie jest niewygodne, a zresztą... Zresztą nie wiem. Marianna się tu nieźle płącze i ten Pakoś.

– A właśnie. – Eleonora podsunęła telefon Lipskiemu. – Widział pan już coś takiego? Normalna jaskinia hazardu. Może to o to chodziło i wcale nikt nie mordował chwilówkowych poborców, tylko Pakoś niewygodnych hazardzistów? Niewypłacalnych?

– Niewypłacalność nie zabija, zawsze więcej można wydusić z żywego dłużnika niż ze zwłok.

Cały problem polegał na tym, że trzeba było zorientować się, kto kogo zamordował, i nie chodziło wyłącznie o nazwiska, ale o pewne fakty pozwalające zrozumieć motyw. Zazdrosny mąż? Splagiatowana Klocunia? Zwariowana maniaczka? Czy może po prostu zachłanna na pieniądze kobieta... Albo męczycielka? W momencie, kiedy się to zrozumie, zrozumie się motyw, a ten zawsze wskazuje sprawcę.

Tu z motywem był kłopot, bo było dwóch facetów zamordowanych wcześniej (ale nie naraz) i mających coś wspólnego z pieniędzmi oraz jedna pisarka, niemająca jeszcze z pieniędzmi wiele wspólnego, za to sporo z seksem. Więc o co chodziło? O seks czy o pieniądze?

A może o jedno i drugie?

– A jeżeli ci faceci nie mieli nic do pieniędzy?

– Mieli. Pożyczali je i odbierali. – Luśka wzruszyła ramionami. – Musieli mieć.

– Tak, ale jeżeli wcale nie w tym tkwiło sedno, tylko w seksie?

Szukanie motywu jest często szukaniem igły w stogu siana, z tą różnicą, że każdy wie, że szuka igły w stogu, z motywem jest to o tyle wspólne, że się szuka, nie wiadomo zresztą czego, a sprawa się wyjaśnia, dopiero jak się coś znajdzie.

Bo motyw motywowi nierówny, jednemu rzuci się na mózg porwanie i przetrzymywanie na swojej posesji kota, innemu flirt żony w pracy, a jeszcze innemu kradzież na ciężkie miliony. Motywy są bardzo osobiste i to, za co jeden człowiek morduje, dla drugiego jest warte wzruszenia ramion.

– Ale jak? To znaczy o co chodzi z tym seksem? – Eleonora była wyraźnie zainteresowana, może nawet ciut niezdrowo.

– Bo tak jak gdzieś w naszych aktach czytałam – westchnęła Luśka – to czy ten Adam Krac i Marek Kusicki to nie byli naganiacze?

Eleonora popatrzyła zdziwiona.

– Do jaskini hazardu? O to chodzi?

– Nie, do tych dwóch, co się prostytuowały. Przecież skądś musiały brać klientów, nie chodziły po ulicy z tabliczką „pieprzę się za pieniądze”, pod latarniami nie wystawały, a jednak klienci walili drzwiami i oknami! Ktoś ich im naganiał!

* * *

Wieczór nadszedł dla Marianny dość niepodziewanie, bo po tych wszystkich rewelacjach przedawkowała kompot śliwkowy. Oczywiście nie sam, tylko z czystą wyborową, kompot zadziałał na potrzeby organiczne natury wydalniczej niestety drugiego stopnia, czysta na psychiczne. Po kilku godzinach spędzonych w kibelku (kompot był z suszonych śliwek i bardzo jej smakował, ale działał jak najlepsze czopki na przeczyszczenie, a wódka czyściła sumienie i dawała nadzieję, że jakoś to będzie) Marianna padła i zasnęła, nie przejmując się nawet obiadem dla Lutka, który też pewnie gdzieś pił, bo to było jego podstawowe zajęcie.

Obiad dla Lutka zawsze był sprawą opcjonalną. Jak był, to był, jak nie było, to brat zawsze coś gdzieś skombinował i nie przejmował się za bardzo zdrowym żywieniem ani regularnym odżywianiem. Pilnował za to odpowiedniego nawodnienia, a właściwie nawódczenia organizmu.

Marianna była przytłoczona tym, co zrobiła ostatnio w bibliotece, ale też tym, że nie ma zamiaru się tym przejmować, a nawet że ma zamiar robić to nadal. Seks jako taki nie miał tu w tej chwili nic do rzeczy, ale adrenalina jak najbardziej. Po tym wszystkim wstąpiła w nią cała paleta uczuć, których już dawno u siebie nie dostrzegą.

Czuła po prostu, że żyje, że ma wpływ na świat wokół siebie i że ktoś wreszcie ją zauważa.

Dostała skrzydeł, poczuła misję i własną wartość, a to niebagatelne uczucie.

Takie kobiety jak ona, te, które przegrają walkę z rywalką, często zamiast zgłębić niewiernego małżonka, szukają winy w sobie, a potem tę winę hołubią tak bardzo, że staje się ona częścią ich samych.

Teraz Marianna, przepelniona winą i niechęcią do seksu, zyskała choć środki wyrazu.

Czuła się winna, bo mąż ją zdradził, czuła się winna, że ją zdradził, że była zbyt nijaka, zbyt byle jaka, żeby tego nie zrobił. Teraz zyskiwała na wartości. Sen ją utumanił, a nawet dał jej dużą przyjemność.

Jednak to, co ją obudziło, wcale nie było miłe.

– Eee eeeee e... – wystękało coś gdzieś nad jej głową, ale nie bezpośrednio, tylko ogólnie. Gdzieś tam, u góry. Jęczało sugestywnie, obrzydliwie, obraźliwie przypominając jej zdradę i seksualną rozwiązłość bezczelność męża.

– Eeee – odpowiedziało coś innego. Też erotycznie i z obsceniczną wręcz seksualnością.

Marianna natychmiast się zdenerwowała.

To brzmiało dokładnie tak jak wtedy, kiedy przyłapała męża z obecną nieboszczką, która wówczas jeszcze nieboszczką nie była, była za to naga i uprawiała seks z bardzo również rozneglizowanym i rozochoconym ekstatycznie małżonkiem.

Jej własnym.

I wszystko: łóżko, sypialnia i małżonek należeli do Marianny. Jeszcze.

– Ezz... Ee... Eeee E... – usłyszała znowu i pomyślała, że może nieboszczka przysłała ją odwiedzić seksem.

Trzeba powiedzieć, że seks dziwnie wpływa na ludzi, i to nie tylko kiedy się go uprawia albo o nim myśli, ale zawsze, kiedy już się zaczyna za bardzo nim interesować. Seks potrafi zdominować wszystko. I nic już nie jest takie samo, nagle opis drzewa staje się opisem penisa, dziwna rzeźba z pewnością jest waginą, a każdy dźwięk odnosi się do tego właśnie aspektu, nawet gdyby tylko ktoś krzyczał: „świeże buleczki!”, to i tak to się kojarzy z seksem, bo wiadomo, śledzie też, a ogórki? Oczywiście... Jabłka? A co było z wężem w raj? Gruszki? No nie udawajmy, wystarczy spojrzeć... Dla niektórych ludzi opętanych seksem, nawet nie tym ekstatycznym, ale zaledwie statycznym, wszystko jest seksem i należy tego zakazać.

A potem wszystko zaczyna być rozseksualizowane, rozwiąże, peniso- i waginopodobne, Marianna egzystowała właśnie w takim stanie.

Chociaż to, co słyszała, chyba naprawdę było seksem.

Oczywiście nieludzkiem, znaczy nie ludzkim. Ponieważ jej sypialnia znajdowała się na pierwszym (i zarazem ostatnim) piętrze domu, a dom poddasza nie miał, ona miała spory problem.

– Kto, do cholery, pieprzy się na moim dachu?! – wrzasnęła ze złością, ale nikt jej nie odpowiedział. Była w takim stanie, że nawet gdyby na jej dachu ktoś śpiewał arie z Halki, też by uważała, że uprawia seks.

– Kto tam jest?! – ryknęła, stając przed domem, jeszcze nie całkiem trzeźwa, ale już tylko otumaniiona, a nie pijana. Po chwili dołączył do niej Lutek, prowadząc do domu Mariettę i Kaśkę, które trochę się znieczuliwszy, zaczęły łączyć po okolicy w poszukiwaniu inspiracji.

To znaczy nie tak.

Najpierw się pobily.

Życie pisarskie to jedna wielka gehenna. Kto nie spróbował, ten nie wie. Kaśka i Marietta po doświadczeniach z wydaniem wspólnej książki postanowiły pójść dalej, ale inaczej.

Oddzielnie, choć trochę razem, bo jakoś je ze sobą kojarzono. Zresztą lubiły rozmawiać ze sobą o pisaniu. Z nikim innym o pisaniu rozmawiać nie mogły, bo tak naprawdę ani proces twórczy, ani ten wydawniczy nikogo nie interesuje, a rozważania na temat długości akapitów są dla zwykłych ludzi zdecydowanie bezsensowne.

Ponieważ do buław i mrocznych pochew płynących (i płonących) pożądaniem nie miały już zacięcia, postanowiły wejść w inną sferę działalności literackiej. Nie, nie razem, każda osobno. Gdyby jedna poszła w obyczajówkę, a druga w kryminał, może by jakoś się udało, ale obie zapragnęły napisać mroczny

thriller. To znaczy dwa mroczne thrillery i właściwie to też nie byłby problem, gdyby nie to, że obie chciały się posłużyć tym samym tematem.

Tym tutejszym – pisarka, szkielety, pożyczki, horror...

Ludzie czasem inspirują się życiem. Tematy są wszędzie, dookoła, gorzej, kiedy jeden i ten sam zainteresuje dwie osoby w tym samym czasie.

Obie w jakimś sensie miały do niego prawo, zresztą prawo do tematu jako takie nie istnieje, mogły pisać, tylko że trochę im to nie pasowało.

– Zaklepuję temat! – powiedziała Marietta, za co Kaśka postanowiła zaklepać ją.

Dość mocno i brutalnie, bo znieczulenie alkoholem wzmacnia pewne nieadekwatne reakcje.

– Biorę go!

– Nie bierzesz, nie bierzesz. Ja o tym napiszę! W końcu byłem z Karoliną bliżej! – odwinęła się Kaśka, nie chcąc stracić okazji.

– No ty? Byłaś bliżej? A z której strony?! – odcięła się Marietta, a że były pijane, rzuciła się na Kaśkę z pięściami. Gdyby nie Lutek, straty byłyby poważniejsze, a tak to wyszło tylko jedno podbite oko i jedna rozcięta warga.

Kobiety trochę się potarmosiły, trochę zwyzywały, potem groziły sobie okaleczeniem, ale w końcu obie się zmęczyły.

Wtedy zjawił się, chyba na szczęście właśnie, Lutek, który przechodził tamtędy, idąc do Marianny.

Złapał je obie i pociągnął w kierunku domu, gdzie, niedaleko drzwi wejściowych, piekliła się jego siostra.

Stała chwiejnie, obleczona w szlafrok włożony na ubranie, na lewą stronę, i patrzyła w górę, mając rękami. Kiedy zauważyła Lutka, ucieszyła się bardzo.

Liczyła na jego pomoc.

– Wejść tam i zrób coś z nimi! – rozkazała bratu. – Uprawiają seks! – dodała i dostała czkawki. – Na, hep, na... hep... domu!

Uprawianie seksu na domu brzmi dość paskudnie, bo dachy czyste zazwyczaj nie są, a ludzie uprawiający seks powinni, albo choć mogą, być nadzy. To zaciekało chłopaka.

Oczyma duszy ujrzał bardzo brudne kobiece pośladki, były kuszące. Oczyma ciała nie ujrzał niczego, bo było ciemno, a dach, choć płaski, nie był z dołu widoczny.

Eleonora, Makaron oraz Luśka usiedli napić się herbaty. Zwyczajnej, słodzonej, bez prądu. Nie mieli ochoty na alkohol, tylko na chwilę spokoju. Lipski pojechał na posterunek. Zapowiedział, że zaraz wróci, ale u niego „zaraz” miało różne oblicza.

Czekali zmęczeni, ale i zaciekawieni, bo mógł przywieźć jakieś nowiny.

– Czyli możemy powiedzieć, że Karolina niczego nie widziała. Nikt niczego nie widział. Ktoś ją zabił z powodu swojej paranoi?

Nagle zdali sobie sprawę, że ten, kto zabił Karolinę, działał pod wpływem czegoś, co w ogóle nie miało miejsca.

Dopadła go jakaś bezsensowna paranoja, coś w stylu: „zabiję wszystkie kobiety, bo jedna powiedziała, że jestem głupia”. Coś takiego też istnieje.

– Początkowo wyglądało to tak, że ona widziała któreś z wcześniejszych morderstw, wstawiła wzmiankę o nim, zresztą zupełnie bez sensu, do książki (i to też zupełnie niezwiązanej ze sprawą), a ktoś to przeczytał, dodał dwa do dwóch i wyszła mu jakaś pieprzona liczba pi. To znaczy postanowił ją zabić. Był w tym jakiś sens, wtedy był, ale w tej chwili zupełnie go nie ma. Potem myśleliśmy, że ukradła kawałek tekstu o morderstwie i wkleiła go do swojej książki, a morderca się przestraszył i ją zabił,

bo nie wiedział, kto go podejrzwał, i sądził, że była to ta osoba, która tekst dodała do książki, czyli Karolina. W tym też był jakiś, trochę mniejszy, ale jednak sens, natomiast teraz sensu nie ma w ogóle.

– Niestety – westchnęli wszyscy.

– Czyli mamy do czynienia z mordercą, który działa jak szalenciec. Jutro burmistrz albo ktoś z rady miasta powie, że widział w oknie coś ciekawego, i będzie miał na myśli ładne kwiaty, a morderca go zaszlachtuje, bo będzie myślał, że to o nim? Przecież to grozi morderczą katastrofą! – stwierdziła Luśka.

– Albo to w ogóle jest coś innego – zaproponowała Eleonora.

– Jak bardzo innego? – Makary zainteresował się tematem, choć dotychczas wpatrywał się w Luśkę zdecydowanie zachłannie i bez morderczych podtekstów.

– Tak bardzo jak ten twój cycek, który wrzeszczał, a wszyscy myśleli, że jest dowodem. Po prostu albo to nie ma ze sobą nic wspólnego i Karolina została zamordowana z powodu książki, albo ma coś wspólnego, ale nie chodzi o ten kawałek ani o to, że coś widziała.

– Czyli totalna masakra, zamordowali ją z powodu tego albo czegoś innego, ale nie z powodu... Brrr, jedynie Marianna pasuje tak czy tak. Jest pojebana!

– Marianna pasuje od początku, ale to jest dziwne. Kobieta, która morduje książki i rozkłada je w bibliotece? Hmm... Wcale bym się nie zdziwiła – Eleonora zagryzła wargę – bo to takie dość mistyczne, a Marianna to wariatka. Najpierw książki, potem autora... Dlaczego nie?

– To może zechce zabić i tamte dwie? – zapytała Luśka zmęczonym głosem.

– Zechcieć to może i może, ale zabić nie. – Makary wysiorbał resztkę herbaty z kubka i zastanawiał się, czy nie iść po drugą porcję.

– Właśnie – poparła go Eleonora. – Są w domu u Kaśki. Jej rodzice ich pilnują. Lipski kazał im tam siedzieć i się nie wychylać, to znaczy nosa nie wychylać.

Przez chwilę milczeli, wsłuchując się w odgłosy nocy za oknem, brzmiała jak noc w Afryce, co prawda nie było tam-tamów, ale tupot stada słoni zbliżał się, i to wcale nie powoli.

Ten właśnie tupot na dobre przerwał im dyskusję. Obok domu przebiegł tabun podekscytowanych i rozentuzjasmowanych głosów. To znaczy jacyś ludzie biegli po drodze, krzycząc.

Nie były to krzyki rozpaczy czy bólu.

Raczej fascynacji.

– O ja pierdole, podobno wisi i krzyczy... – wołał ktoś do telefonu. Wszyscy wołali coś do telefonów, bo w biegu trudno wysłać SMS-y, a wszyscy właśnie dzielili się jakimiś fascynującymi wieściami, których nie znali ani Eleonora, ani Luśka, ani Makary.

– I dom się pali! – oznajmiał ktoś radosnym głosem.

– Wzywać straż pożarną. Wezwać saperów, wezwać pogotowie, zaraz ktoś się tam upiecze!

– Nie pali się, przestańcie, tylko ktoś kogoś zabił – dodał ktoś inny, równie rozradowany.

Wszyscy byli w pewnym stopniu oczywiście (naprawdę tylko w pewnym stopniu) zachwyceni kolejną makabrą, bo jednak makabra to fajna sprawa, przegania marazm wieczoru, daje temat do rozmów na całe tygodnie i rozprasza nudę.

– Znowu? To już przechodzi ludzkie pojęcie! – ucieszył się kolejny biegacz z telefonem.

I to właśnie ludzkie pojęcie przetupełniało przed domem Eleonory i sprawiło, że i oni do niego dołączyli.

Nie wiedzieli, dokąd idą, ale tłum chyba wiedział. Podążyli za nim. Ludzie się dziwią, ale to tak właśnie wygląda. Grupa gdzieś biegnie i jak kula śniegowa pochłania ludzi napotkanych po drodze, a ci, którzy dołączają, mają nadzieję, że ktoś w tym tłumie wie, o co chodzi, wie, dokąd biegną i wie po co.

Nie zawsze tak jest.

– Co się dzieje? – zapytał ktoś. Ktoś inny podał pytanie do przodu, a po chwili odpowiedź dotarła do tyłu peletonu.

– Tam, w jednym domu, u Lutkowej siostry, ktoś morduje te pisarki na dachu.
– O ja pierdole! – jęknęła Eleonora, wzbudzając grozę biegnących obok niej koleżanek w tym samym wieku, które na tak soczysty język nie umiały sobie pozwolić.

* * *

Jakim cudem i dlaczego wszyscy wraz z Marianną znaleźli się na dachu, nie pamiętał nikt, może to była kwestia seksu i ciekawości, wódki, pijaństwa, brudnych, ale cudownie krągłych pośladków uwalanych smołą? Możliwe, ale i chęci mordu na pewno też, bo Marianna miała ochotę zamordować tych dwoje (miała nadzieję, że dwoje tylko) zбочeńców na dachu.

Albo dwóch, albo dwie, każdego, kto teraz niezależnie od kombinacji płciowej pieprzył się na jej pieprzonym dachu.

Według tego, co potem się okazało, to chyba pierwszy wlaź tam Lutek, wejściem z domu, po metalowej drabince, bo siostra mu kazała kogoś przegonić.

Wlaź i nikogo tam raczej nie znalazł, pośladków też nie, czego ogromnie żałował.

Jak znalazła się tam cała reszta, nie pamiętał nikt, zresztą to nie miało znaczenia, bo i tak wszyscy byli już na dole.

Dach nie wytrzymał.

Zaczęło się od tego, że Marianna zaczęła biegać jak wariatka, tłukąc w dach podniesioną z niego gałęzią.

Nikogo nie zobaczyła, ale wyobraziła sobie bezcielesną Karolinę pieprzącą się w dusznej postaci na dachu z jakimś... wszystkim jedno, w każdym razie ona się pieprzyła, stękała i jęczała, choć, to fakt, była niewidzialna.

Kij wydał się Mariannie dobrą opcją. Walenie nim w poszycie dachu i wrzaski jeszcze lepszą.

– Wynocha, zбочeńcy! Wynocha z mojego dachu! Idźcie się pieprzyć gdzieś indziej! – Latała dookoła, jakby coś ją opętało.

Dla reszty nie był to widok specjalnie zrozumiały.

– Ale kto tu się pieprzy? – zapytała Marietta. Oko jej spuchło i nie za bardzo widziała, co się dzieje, poza tym na dachu nie było światła. Na dole owszem, obok drogi też, ale latarnie nie oświetlały dachu, który, dość płaski i niezbyt ciekawy, wydawał się wszystkim raczej pusty.

– Eeeee, eeeee – uuuu – odpowiedziało im zza komina.

– Tam są! – wrzasnęła wściekła Marianna. – Zaraz wam przywalę! – Rzuciła się do komina, żeby dopaść złoczyńców, no bo nawet jeżeli nie byli jakoś specjalnie źli, to jednak każdy, kto uprawia seks, szczególnie na jej dachu, jest złoczyńcą i Marianna nie zamierzała mu darować. – Mam was! – wrzasnęła.

Furkot skrzydeł tak ją przestraszył, że upadła na plecy z ogromną siłą, w tym czasie biegnący jej na pomoc Lutek i obie pisarki potknęli się o jej nogi i padli na nią.

I tak dobrze, że padła na środku, a nie na brzegu, bo nawet jeżeli dom wysoki nie był, to upadek z wysokości pierwszego piętra może być śmiertelny.

Czasami stwierdzenie „upadła na głowę” bywa rozumiane dosłownie.

Oni jednak nie spadli. Jeszcze wtedy nie.

Jednak skotłowane ciała ważyły swoje, tym bardziej że były zwalone mniej więcej w jednym miejscu.

Usłyszeli trzask i ogarnęła ich furkocząca ciemność.

– Aaaaa, aaa! – wrzasnęła Marianna. – Tu się schowali ci pieprzeni zбочeńcy! Wy świnię, ja wam dam!

Usiłowała walczyć, ale bez skutku, nie miała jak się ruszyć.

Zboczeńcy z łopotem zerwali się i pobiegli, albo nawet polecieli, do siebie tylko znanych szpar i dziur pomiędzy belkami.

Padło sporo ptasich kup, co było z pewnością odpowiednikiem ludzkich przekleństw.

Gołębie też nie lubią, jak im się przerywa.

Wiercząca się i wściekła Marianna usiłowała wstać.

Po krótkiej chwili wisiała w postaci dwunożnego żyrandola w sypialni.

Coś trachnęło.

– Nie ruszajcie się! Sufit tego nie wytrzyma! – jęknął Lutek, ale nic to nie dało, wkrótce w suficie pojawiły się kolejne części ciał, odrobinę tylko pokiereszowane, bo tynk jest chropowaty i może ranić, ale to, co było najciekawsze, to to, że trzy pary nóg (Lutek leżał, więc jemu się udało) nagich, jak najbardziej damskich, zwisały z sufitu w bardzo wyuzdany sposób.

Pierwsza do sypialni wpadła jakimś cudem Kicia, która w zasadzie nie brała udziału w takich miejscowych zabawkach integracyjnych, ale tłum ją przywłókł, kiedy wracała od siostry ze szpitala.

– Jezus, ale odlot! To musi być sztuka, też takie chcę mieć!

Wielu ludzi wszystko, czego nie jest w stanie zrozumieć, nazywa sztuką, ale nazwanie nią zwisających z sufitu podrapanych nóg to lekka przesada, tym bardziej że pod nimi było trochę gruzu, śmieci i odlupanego tynku.

– Pusi! Pusi! Patrz, jakie żyrandolki! Kupisz mi takie? – Wysłała kilka zdjęć Pakosiowi. – Jesuuuu, jakie cudne! Muszę je mieć!

– Co tu się, do cholery, dzieje?! – zawołał do tłumu Lipski, oczywiście zawiadomiony o dziwnym zgromadzeniu pod domem jednej z podejrzanych.

Takie rzeczy się wie, kiedy się pracuje w policji, nie zawsze się reaguje, bo nie zawsze ma to sens, ale ten tłum miał wszelkie cechy tłumu, który ma ochotę na lincz, a linczowanie podejrzanych to już jednak działka dla policji.

Gdyby Marianna nie była podejrzaną, to co tam? Nie musieliby reagować, a w każdym razie nie natchmiast. Takie zabawy się zdarzają, może to jakoś by się rozeszło, ale nie teraz, nie w takiej sytuacji.

– Ratuunku – usłyszał w odpowiedzi z domu, ale dźwięk rozchodził się dość dziwnie, nie słychać go było ani z dachu, ani z wnętrza, był przytłumiony.

– Tu jesteśmy... – zawył Lutek, jakby z czeluści, zabrzmiał duchowo.

– Tu, czyli gdzie? – Pytanie zawierało w sobie trochę lęku, bo Lutka nigdzie nie było widać, a do pokrzwawionych nóg Lipski jeszcze nie dotarł.

Dopiero po chwili przedarł się przez tłum i wpadł do budynku, wyganiając z niego kilka przypadkowo wciągniętych tam przez ciekawość osób, wśród których dostrzegł też Eleonorę.

– Niech pani stąd wyjdzie! – wrzasnął do niej. – Ludzie zaraz zaczną się tratować!

Eleonora posłusznie się wycofała, rozdeptując i taranując tych, którzy parli naprzód. Nagle stanęła jak wryta.

– Regina? Ty żyjesz?! – zapytała z taką miną, jakby zobaczyła ducha. – I co ty tu robisz?!

Kobieta spojrzała na nią z przerażoną miną.

– Nie, nie, to nie ja! – odpowiedziała i zaczęła uciekać.

Takie postawienie sprawy, kiedy ktoś w tak nieudolny sposób udaje, że nie jest sobą, bardzo dziwi, szkodzi, ale też fascynuje, tutaj i teraz zaś Eleonorę zdenerwowało.

– Makaron! – zawołała Eleonora przez ramię. – Łap ją!

– Dobra, czyli co? Mam zwidy? – Eleonora siedziała w salonie Marianny, obok niej oklejone plastrami i cuchnące alkoholem Marianna, Kaśka i Marietta.

– Dobra, wszystko mi jedno – przerwał jej Lipski. – Te dywagacje do niczego nie prowadzą i czy to była ona, czy nie, to wszystko jedno! Nic mnie nie obchodzi!

Był wściekły, widząc tu wszystkie te kobiety, które przecież starał się zabezpieczyć i ochronić, a które jak te idiotki wlażyły w samo serce zamieszania i dały się komuś zrzucić z dachu.

– A powinno, bo może to ona ich zamordowała, a teraz, jak okazuje się, że tu jest, to mogła też zabić Karolinę!

Lipski nie był zupełnie pozbawiony tego zmysłu, który sprawia, że pewne rzeczy, choć są całkiem odrębne, czasami układają się w jakąś całość, nie był też zadufany w siebie. Owszem, pewność siebie pokazywał, bo musiał, ale potrafił też wątpić, nawet w swoje zmysły. Postanowił zadzwonić gdzie trzeba i trochę posprawdzać.

Po jakimś czasie wyszedł, zapowiadając, że wróci.

– No przecież mówiła, że to nie ona? – Marianna czknęła. – Trzeba wierzyć ludziom, nie można tak od razu, że kłamie. To bez sensu! – Rozczuliła się nad sobą i światem. – Sorka zawsze taka była! Nigdy nikomu nie uwierzyła, a ludzie prawdę mówili.

– Kiedy? – Eleonora bardzo ostro zareagowała na te pijackie efekty specjalne.

– No jak ktoś coś mówił i się zwalniał, o...

– No, pamiętam, ty się zwalniałaś z powodu wizyty u ojca w szpitalu, bo miał zawał, tak?

– Tak... No i co z tego?

– Przecież twój ojciec pracował w szkole. Tego dnia był w pracy.

– Boże, no i co z tego, sorka to jest taki niedowiarek!

– Ale przynajmniej nie jestem naiwna.

– A kto jest? Może ja? My? – Marietta aż się nabzdyczyła.

– A kto wierzy w te wszystkie buławy? W te ogniste romanse? W te pornosopodobne sceny? Wy, nie ja. Ja myślę, jestem logiczna, co byś powiedziała, gdyby ktoś cię zapytał, co tu robisz? Odpowiedziałabyś „to nie ja”? Zresztą dajmy sobie z tym spokój, gdzie, do cholery, jest ten Makary?

Makary posłuchał natychmiast polecenia Eleonory, rzuconego mu przez ramię w formie dość krótkiego, nieco psiego zwrotu „Makaron, łap ją”. Nie obraził się, bo gdyby się obrażał za takie bzdety, musiałby się obrazić na ojca i matkę, za to durne imię, które mu nadali. Zresztą nie wiedział dokładnie, bo swojej matki nie znał, jeszcze nie znał, kobietę, która go adoptowała, znał bardzo dobrze i bardzo źle kojarzył, dlatego olewał wszystko.

No ale rozwiązać tę zbrodnię chciał jak najbardziej, bo pewne rzeczy sprawiały, że jakoś się z nim wiązała, a on nie chciał, żeby tak było, a poza tym Eleonora była fajna. Taka mniej więcej wredna, ale nie sukowata, kobieta, która niczego nie udawała, nie płaszczyła się przed nikim i nie uśmiechała się życzliwie na pokaz, żeby komuś potem obrabiać dupę. Nienawidził fałszu, bo miał go w domu naprawdę sporo. Kiedyś, bo teraz się od tego całkiem odciął.

Dlatego polecenie Eleonory postanowił wykonać bez zastrzeżeń, choć zastrzeżenia pojawiły się dość szybko.

– Jaką ją? – zapytał, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Przed sobą zobaczył kilka kobiet, wszystkie się poruszały, niektóre szybciej, inne wolniej. Złożył, że ta, którą ma łapać, powinna uciekać, toteż wypatrzył w tłumie kobietę przedzierającą się w kierunku wyjścia i ruszył za nią.

Początkowo tłum mocno mu utrudniał zadanie, potem uciekiniarka nabrała takiej szybkości, że pożałował, iż nie ma motocykla, zresztą uciekała krzakami.

Biegła, krzycząc do siebie, jakby była szalona:

– Makaron, Jezus Maria! Makaron!

Biegący za nią chłopak bardzo się zdziwił, że wzbudził w niej takie przerażenie. Owszem, był łysy i wytatuowany, ale jeszcze nigdy nikt tak straszliwie się go nie bał.

No może jakiś kumpel, z którym poprzytykał się po pijaku i zaczynał zahaczać o rękoczyny, to wtedy owszem, ale jak dotychczas kobiet nie bił, a tej zupełnie nie znał.

Przebiegła przez przesmyk między domami, zanurkowała w żywopłot. Wrzasnęła kilka razy, widocznie był kolczasty, przebiła się.

– O Boże, on mnie zabije! – krzyknęła i naprawdę dzikim pędem rzuciła się naprzód.

Makaron w żywopłot nie zanurkował, był na to trochę za duży, obiegnął posesję dookoła, dając uciekinierce tym samym spore fory, stracił ją z oczu, ale był szybki. Już po chwili znów prawie jej dopadł.

Miał pewien dylemat, który uwydatniał się wraz ze zmniejszającym się dystansem. Nie wiedział, co właściwie ma zrobić. Złapać ją, zarzucić sobie na ramię i zanieść do Eleonory?

Zawlec ją? Za ręce, nogi, włosy, przed jej oblicze? Coś powiedzieć?

Jednak te rozmyślenia bynajmniej go nie spowolniły. Biegł dalej.

– O matko jedyna, co ja zrobiłam?! – Bolesny okrzyk kobiety sprawił, że i on zaczął zastanawiać się, co ona zrobiła, skoro Eleonora kazała ją złapać.

Kobieta przedarła się przez jakieś podwórko, znów wbiegła pomiędzy domy. Uciekała jak profesjonalistka, zygakiem. Może myślała, że ją zastrzeli?

To go trochę przeraziło.

Ktoś, kto aż tak się boi, może być niebezpieczny, bo to, że on nie miał broni, nie znaczyło przecież, że uciekająca kobieta też jej nie ma.

Zwolnił. Instykt przetrwania kazał mu się odrobinę ukryć.

W tym momencie kobieta stanęła, rozejrzała się i krzyknęła:

– O Boże! Makaron!

Tego już nie wytrzymał.

– Czego pani tak przede mną ucieka, do cholery? Co ja jestem? Trędowaty? Chciałem tylko zapytać...

– Jezu, spaliłam chałupę! – odpowiedziała uciekiniarka, teraz już nie uciekająca.

– Ale co ja mam do tego? – zapytał. – Tylko Makaron i Makaron?!

– Bo zostawiłam w piecu zapiekankę! – jęknęła. – Makaronową, i teraz sąsiad mnie zabije. Pan pa-trzy...

Kłęby dymu wydobywające się z okna na parterze zasnuły już całe piętro.

– Damy radę. Pani otwiera – zaoferował pomoc.

Weszli, przez chwilę błędzili w czeluściach zasnutego dymem korytarza. Płomieni jeszcze nie było, czuli się jak w wędzarni, ale takiej do wędzenia na zimno.

Dopadli kuchni.

Makaron otworzył okno, kobieta otworzyła piekarnik.

Czarne, poskręcane, zwęglone rurki w czarnym zwęglonym sosie, posypane tartym zwęglonym se-m zrobiły piorunujące wrażenie.

I w tym momencie Makary zdecydował się wykonać zadanie.

– Nie wiem, czemu pani tak uciekała, ale tam pani Eleonora chciała z panią pogadać, musi pani pójść ze mną.

– A, Eleonora, jasne, zresztą ja nie uciekałam, po prostu bałam się o zapiekankę, ale teraz tak czy tak muszę wyjść, zanim się wywietrzy, bo się uwędzę.

Pytanie „gdzie, do cholery, jest ten Makary?” ledwie zdolało wybrzmieć, kiedy w drzwiach pojawił się rzeczony Makary.

– Przyprowadziłem ją – oświadczył z dumą.

– Reginę?

– Nie wiem, jak ma na imię, możliwe, że Regina. – Wzruszył ramionami. – Dopadłem ją dopiero pod domem.

Przepuścił kobietę z zadowoloną miną.

– No gdzie Regina? Jestem Róża! – obraziła się wchodząca do pomieszczenia bibliotekarka.

– Przecież to nie ona! Miałaś złapać Reginę!

– A niby skąd miałem wiedzieć? „Łap ją” to nie jest bardzo dokładne określenie w sytuacji, kiedy pod domem tłoczy się pół miasta, nawet nie wiedziałem, że to miała być jakaś Regina.

– No tak, ale po co przywlokłeś tu Różę?

– Nikt mnie nie włókł – odburknęła. – Chałupę prawie spaliłam z powodu tego zamieszania, zapomniałam, że wstawiłam zapiekankę, teraz się wietrzy.

– Zapiekanka?

– Zapiekanka też, choć jej nic już nie pomoże. – Makary się roześmiał.

Lipski dowiedział się sporo, ale oczywiście nie wiedział jeszcze wszystkiego. Wiedział, że dla niego pewne rzeczy są o wiele prostsze niż dla innych, bo on ma dostęp do policyjnych baz i innych ciekawych możliwości, do których zwykły zjadacz chleba nie tylko nie ma dostępu, ale nie ma nawet pojęcia o ich istnieniu, a nawet jeżeli jakie takie pojęcie ma, to trudno mu się do nich dostać.

Są bazy związane z rejestracją samochodów, wypadków, wykroczeń; inne dotyczą paszportów, jeszcze inne dowodów osobistych. Teraz kiedy wszystko jest zapaskudzone, ale też i chronione przez RODO, zwykły zjadacz internetu nie może dowiedzieć się zbyt dużo, inna sprawa, że istnieją niezwykle zjadacze internetu, a oni mogą wiele.

Jeżeli taki zjadacz internetu jest dodatkowo policjantem, to powinno się go ożłocić.

Takim niezwykle zjadaczem był posterunkowy Miziołek, który miał specyficzne podejście do sprawy, jakby był hakerem, co dawało mu jako policjantowi takie możliwości, że wszyscy Miziołka kochali.

Z tego powodu nikt nie prorokował mu zbyt szybkiej kariery w policji, bo był tak przydatny, że po prostu szkoda go było na wyższe stanowiska, do innych, większych miast.

Był tak cenny, że aż chcieli się go przywiązać za nogę do krzesła i nawet karmić kawiozem, byleby był tu, a nie gdzieś indziej.

Lipski nie wyobrażał sobie momentu, kiedy będzie musiał go awansować albo, nie daj Boże, komuś oddać.

Inna sprawa, że Miziołek lubił swoją pracę i jak na razie do awansu się nie pchał. Mogło tak zostać na dłużej, gdyby nie uposażenie. Każdy przecież chciał więcej zarabiać, toteż Lipski bał się, że ktoś mu ten skarb podkupi.

– No mam coś – powiedział rzeczony posterunkowy, widząc Lipskiego wchodzącego na posterunek. – Szef patrzy, o tu. I tu... Tu jest wyjazd, tu data powrotu, pierwszego, potem drugiego, zresztą to dość dawno, a teraz to ona już kilka miesięcy tu jest.

Położył przed Lipskim wydruki.

– No i tu jest coś jeszcze. To chyba numer telefonu?

Lipski porównał ten, który dostał od Józeczka, z tym zdobytym przez Miziołka. Były różne.

Regina siedziała w pokoju przy zasłoniętych oknach. Nie było w tym nic dziwnego, zrobiło się już naprawdę późno, ale i tak nigdy ich nie odsłaniała.

Nie zależało jej na tym, by ktokolwiek wiedział, że tu właśnie jest, mieszka, wróciła.

Pukanie do drzwi o tej porze trochę ją zdenerwowało, ale że miejsce, w którym się znajdowała, było pensjonatem, z rezygnacją podeszła i otworzyła.

Myślała, że to ktoś z zamówioną kolacją. Coś musiała przecież zjeść. Zamówiła jakieś kanapki, herbatę, sok pomidorowy oraz paróweczki z wody, tylko tym w tej chwili dysponowała kuchnia.

W drzwiach zobaczyła właścicielkę i policjanta.

– Szlag! – jęknęła. – Cholerna Eleonora! – powiedziała, wpuszczając policjanta. – Że też mnie podkuśilo tam iść, ale naprawdę już mam dość siedzenia w takich warunkach.

– Jak rozumiem, ukrywa się pani?

– A gdzież tam, nie tak znowu bardzo, nie chciałam tylko kilku osób spotkać. Po prostu mi wstyd!

Była wyraźnie zmęczona, nie był pewien, czy to zwykle wieczorne zmęczenie niezbyt już młodej kobiety, czy ogólne zmęczenie sytuacją. Tak często mają mordercy – tak długo są wydani na działanie adrenaliny, że po jakimś czasie są po prostu fizycznie i psychicznie wykończeni.

Zdarza się, że zasypiają zaraz po zatrzymaniu, bo schodzi z nich lęk, strach i ekscytacja. Nie mają już potrzeby uciekać. Wtedy dopada ich sen.

Regina nie zasnęła, ale była jakaś taka załamana.

– To fakt, choć wstydem bym tego nie nazwał, to coś o wiele gorszego! – odpowiedział, bo chociaż, co prawda, z pierwszymi dwoma szkieletami jej nie łączył (jeszcze), to z zabójstwem Karoliny jak najbardziej.

Aż się zapieniła. Zawściekła, zapłula, na chwilę nawet trochę się ożywiła.

– To pan z tych nawiedzonych? Że kobiecie nie wolno? Że to nie wypada?!

To go zaszokowało, bo wyraźnie z feministycznym zacięciem broniła prawa kobiet do mordowania za pomocą noża.

– Nikomu nie wolno! – oświadczył ostrym tonem.

– Ale co? Już wprowadzili zakaz? Jezu, nie wiedziałam! Słyszałam, że mają, ale nie wiedziałam, że już...

– Nikt nie wprowadzał zakazu, ale to chyba rozumie się samo przez się. Nie wolno! Nikomu! Dobrze zresztą, jutro przesłucham panią na posterunku, teraz tylko niech mi pani powie, po co pani to zrobiła.

– Na posterunku? To już do tego doszło?! Boże kochany...

– Wracam do pytania: po co pani to zrobiła? – powtórzył niepewnym głosem.

– Jak to po co? Raczej chyba dlaczego?!

– Wszystko jedno, może być i tak. To dlaczego?! Niech pani mówi!

– Ja już nie mogłam wytrzymać! Rozumie pan? Nie miałam siły. To był koszmar! Jeden wielki koszmar!

Lipski pomyślał, że Regina chyba ma jakieś problemy psychiczne, tym bardziej że Karolina nie była jej matką, córką ani teściową i wyjście jakieś było, po prostu mogła jej unikać, a nie zaraz mordować, jednak ludzie czasami najprostszych rozwiązań w ogóle nie biorą pod uwagę.

Regina trochę się rozczuliła nad sobą.

– Ja nawet, wie pan... Ja nawet miałam myśli samobójcze, takie to było straszne.

– I poszła pani do biblioteki z nożem?

– To też pan wie!? Poszłam, fakt. Musi pan zrozumieć. Po prostu mi odbiło. Nie byłam w stanie tak dłużej funkcjonować, on mi nawet jedzenie wydzielał!

Lipski przez chwilę patrzył na Reginę, nie rozumiejąc.

– Jakie jedzenie? Jaki on?

– No mój mąż! Ten John pieprzony!

O pieprzonym Johnie Lipski nie wiedział nic. Rozważał chorobę psychiczną, ale przecież nie mógł być pewien, że kobieta nie robi sobie z niego żartów.

– Ale co on ma do zabójstwa w bibliotece? Ten jakiś tam John? – zapytał niepewnie.

– John był moim mężem, nowym. Przecież go nie zabiłam! Postraszyłam go tylko! Postraszyłam nożem w jego bibliotece, w jego cholernym domu, i zdecydowałam się odejść. Tylko tyle. Nie wiedziałam, że jest teraz w Polsce zakaz dotyczący rozwodów. Skąd mogłam wiedzieć?

– Nie ma zakazu.

– Sam pan mówił.

– Mówiłem, że nie ma, tylko że nie wolno mordować. Chciałem jedynie wiedzieć, dlaczego zabiła pani Karolinę, tę autorkę w bibliotece.

– Ale ja?

Regina popatrzyła na policjanta z takim zdziwieniem, że aż jemu zrobiło się nieswojo. Nie wiedział, jak to rozegrać. Regina zamilkła, po czym znów zaczęła mówić.

– Sprzedałam dom za grosze siostrzeńcowi, nawet mi jeszcze nie zapłacił, wyszłam za mąż, no dobra, trochę pospiesznie, bo myślałam, że mi ucieknie do młodszej, pojechałam do USA i to było coś najgłupszego w moim życiu. Rozwiodłam się z tym idiotą i wróciłam. Siedzę tu jak debilka, bo mi wstyd, chcę odzyskać dom, ale nie wiem jak. Tyle. Nikogo nie mordowałam!

– Ale w bibliotece pani była? Wtedy, jak zabito tę dziewczynę.

– Byłam, chciałam się rozerwać. Czy to jest karalne? Czy teraz wszystko tu jest karalne, nawet te rowery, co pan mówił, że nikomu nie wolno? Bo jak wyjeżdżałam, to jeszcze nie było. Co się tu porobiło?

– Nic się nie porobiło, miałem na myśli mordowanie ludzi! – powtórzył.

– O wie pan, w USA też niby nie wolno mordować, a ciągle się mordują! Może to od nich przeszło, ale ja nie, nikogo nie zamordowałam, ale Józeczka to mam chęć! To wszystko przez niego! Gdybym mu domu nie oddała, tobym miała gdzie mieszkać, dokąd wrócić, a tak się tułam po ludziach.

Powiedziała to takim tonem, że nie do końca jej uwierzył. To znaczy to wszystko jakoś mu nie pasowało, owszem, straciła dom, ale nie musiała się ukrywać, rozwód nie jest czymś, czym trzeba się chwalić, ale to też żaden wstyd. Nie, to było jakieś nie takie.

Nagle wydało mu się, że Eleonora mogła mieć rację. Może nie całkiem, ale trochę tak.

Kiedy tamci zostali zamordowani, ona była w Polsce, to dało się sprawdzić, może chciała ich obrabować, żeby oddać siostrzeńcowi pieniądze? A może nie tyle oddać, co dać. Żeby się wycofał?

Potem wróciła na stałe, przeczytała książkę i zabiła Karolinę, sądząc, że ta ją widziała?

Tylko że Regina nie wyglądała na osobę czytającą takie książki. Przez chwilę się zastanawiał, jak mogłaby wyglądać osoba czytająca takie książki, i nie doszedł do niczego sensownego w tym zakresie.

Czytane książki nie zmieniają fizis czytającego, od erotyków nie rosną dodatkowe piersi ani penisy, od opowieści detektywistycznych nie powiększają się uszy, a od poradników nie puchnie głowa (choć czasami puchnie), więc Regina naprawdę mogła tę książkę przeczytać.

Zresztą jeżeli się nudziła, mogła przeczytać wszystko, włącznie z instrukcją obsługi glebogryzarki.

Stan nadranny to najgorszy moment dnia, nocy, doby w ogóle, czasoprzestrzeni. Zmęczenie kładzie człowieka pokotem, ale kiedy spać nie można, wszystko się komplikuje.

Byli kompletnie wykończeni.

Powinni byli iść do siebie, to znaczy dziewczyny i Eleonora, bo Marianna była przecież u siebie, a Makary miał spać na sofie u sąsiadki, ale nikt jakoś się nie spieszył, bo wszyscy czekali na Lipskiego.

Czekała też Róża, bo nic jej nie ciągnęło do domu.

W ogóle wszyscy byli zmęczeni i podekscytowani równocześnie, choć Luśka i Makary ciążyli ku sobie w sposób wielce fascynujący, niestety w tym momencie on miał rozwalone mieszkanie, a ona rodziców, którzy z pewnością nie zachwyciliby się wytatuowanym nocnym gościem. Gdyby nie był wytatuowany, też by się nie ucieszyli, bo państwo Chucherkowie byli bardzo zasadniczy i nie pozwalali uprawiać nierządu pod swoim dachem, zresztą nawet gdyby Makary był kobietą, też nie byłiby zachwyceni, bo przez to, że Luśka zaczęła wykonywać ten, bądź co bądź męski, zawód, podejrzewali ją o pewne skłonności, których nie tolerowali.

Wydawało im się, że wystarczy czegoś nie tolerować, a to zniknie.

Co ciekawe, z mrówkami faraonkami to nie działało ani z bałaganem w pokoju Luśki.

Dziewczyna się tym nie przejmowała zupełnie, owszem, utrudniało jej to życie, ale jakoś sobie radziła.

Dzień zastał ich nad szklankami niedopitej herbaty. Wypili jej już takie ilości, że nie byli w stanie wtłoczyć w siebie więcej.

– A wiecie co? – Róża postanowiła trochę rozruszać towarzystwo. – Znow czytałam tę waszą morderczą książkę i naprawdę nie wiem, kto wam robił redakcję.

– Co znowu? Literówki to literówki. Nie ma co drażnić. Ja wiem, że wy w tych bibliotekach to jesteście tacy literkowi puryści, ale to już przesada. – Marietta postanowiła bronić swojego dzieła.

– Nie, nie o to mi chodzi, pomyślałam, że tam ktoś napisał, że w ogrodzie kwitły przebiśniegi i piwonie.

– No i co?

– No nie mogły, przecież przebiśniegi to początek wiosny, a piwonie najwcześniej w czerwcu.

– To przecież nie poradnik ogrodniczy, do cholery, co z tym za problem? Kto w książce erotycznej zwraca uwagę na takie rzeczy? – Kaśka poparła koleżankę.

– Czytelnik?

– Czytelnik szuka momentów, nie kwitnących chwastów!

Róża nie uzyskała poparcia, nikt się nie odezwał.

– To ja idę – stwierdziła. – Może wywietrzało. – Ziewnęła i przeciągnęła się dyskretnie.

Dziewczyny też zaczęły się zbierać. Nie były zadowolone, ale też nic nie miały do roboty, miały tylko ochotę nieco się dopić i wreszcie wyspać.

Kaśka i Marietta położyły trochę tapety (pożyczonej od Marianny) na poranione części twarzy. Obejrzały plastry i szramy na nogach.

– Po co myśmy włożyły na ten dach? – westchnęła Marietta. – Człowiek, jak pijany, to robi takie durnoty, że głowa mała.

– A tam, przecież to Marianna wszystko odwaliała, gołębie jej seks na dachu uprawiała.

– Wrażliwa, co?

– A właśnie, że wrażliwa! – mruknęła Marianna, która z jednej strony czekała, aż towarzystwo sobie pójdzie i da jej odpocząć, z drugiej wcale nie chciała być sama. Odkąd rozeszła się z mężem, miała spore kłopoty ze znalezieniem sobie towarzystwa. To było tak, że nikt jej nie chciał. Znajomi z czasu małżeństwa się wykruszyli, jedni wzięli jego stronę, że biedny, że mu żona takie świństwo zrobiła. Normalnie wariatka, zdradę wymyśliła, a nawet jak zdradzał, to o co chodzi... Nie zmydli się. Inni uważali,

że powinna zacisnąć zęby i nauczyć się lepiej gotować, bo „przez żołądek do serca”, i nie marudzić na los, bo tak to już jest, nie ma co się przejmować takimi sprawami, albo dziecko jakieś urodzić, ewentualnie sześcioro, żeby chłopą przy sobie zatrzymać.

Koleżanki nagle zaczęły jej unikać, żeby im mężów i chłopaków nie poderwała, jakby wywalenie z domu wiarołomnego małżonka równało się rozpoczęciu „sezonu polowań na męski wkład do łóżka”.

Dlatego cierpiała na niedobór kontaktów międzyludzkich.

I było to naprawdę paradoksalne – on zdradził, ona dostała po łbie. No i oczywiście jej odbiło.

Tłumek w jej salonie pod rozwalonym sufitem był więc dowodem na to, że Marianna wraca do gry, do normalnego obiegu towarzyskiego, był poza tym i Lipski, choć w tej chwili go nie było. Może nie był bogiem i niestety był policjantem, ale był facetem, a w tej chwili się to liczyło najbardziej.

Nie rozpoczęła „sezonu polowań na męski wkład do łóżka”, ale facet by jej się przydał. Choćby po to, żeby zamknąć pyski koleżankom.

Nie, nie zamierzała uprawiać z nim seksu. Seks nadal uważała za zły i obrzydliwy, ale tak jakby trochę mniej.

Wyrzała przez okno.

– Szlag... Ale to słońce wali w okna, patrzcie na tamten dom... Mieni się jak psu jaja... – westchnęła zmęczonym głosem.

Nie mając co robić i nie wiedząc, jak zakończyć tę noc, która właśnie odpływała wraz ze wschodem słońca, wszyscy podeszli do okna.

– No szlag by to trafił! – krzyknęła Eleonora i wybiegła przed dom.

Wpadła na Lipskiego.

– Ej, co pani wyprawia?!

– Błędne założenie! – krzyknęła. – Muszę szybko iść do domu. Makary, choźdź ze mną, trzeba jeszcze raz przeczytać książkę!

– Ten chłam? – zdziwiła się Luśka. – Idę z wami! – dodała, bo czytanie tego podniecającego chłamu w towarzystwie Eleonory wcale jej nie kusilo, ale w towarzystwie Makarego jak najbardziej, jednak to pierwsze było proste i realne oraz możliwe do załatwienia, to drugie jeszcze chwilowo nierealne, tak więc coś za coś. Wolala czytać z nimi obojgiem niż wcale.

Ta książka nie była dobra, każdy to przyznawał, ale na kobiety działała. Opisy były fascynujące, możliwe, że je podniecały, a przecież podniecenie to jednak przyjemne uczucie, poza tym można sobie mówić co się chce, ale stwierdzenie, że pornusy się ogląda, a nie czyta, powoduje pewien dyskomfort.

Dla Luśki spory.

Oglądanie pornosów nawet w internecie jest, hm... No, trochę dziwnie wygląda i trochę wstyd się do tego przyznać, nawet jeżeli nikt tego nie widzi, a w domu rodziców? Horror.

Matka wchodząca do pokoju bez pukania z kanapką, kiedy się ogląda pełną jęków scenę finałową, jeszcze ujdzie, ale ojciec?

A książki są w porządku i zawsze można powiedzieć, że się je czyta tylko po to, żeby je skrytykować!

No i nie jęczą.

W domu u Eleonory rozsiedli się przy stoliku i zaczęły grzebać w książkach, tak, nie w książce, ale w książkach, bo tymczasem Luśka pojechała do biblioteki i wyciągnęwszy dyrekcję z łóżka, wróciła z jeszcze dwoma egzemplarzami. Były uszkodzone, ale były, gdyby nie działalność Marianny, z pewnością nie stałyby na półkach.

Tabuny rozentuzjasmowanych nastolatek dosłownie wydzierały je sobie z rąk.

– Strasznie teraz modne są – wyjaśniła dyrektorka, podając jej uszkodzone egzemplarze. – Nie rozumiem tego szaleństwa, kiedyś to *Ania z Zielonego Wzgórza* tak chodziła, potem *Tomki*, ostatnio *Kwiaty na poddaszu*, a teraz tylko romanse z klatką na okładce. Mafijno-erotyczne. Dziwne, ale znamienne.

Luśka nie chciała się mieszać w te biblioteczne dylematy, nie miała o nich najmniejszego pojęcia, ona bardziej interesowała się na przykład narkotykami, wiedziała, co kiedyś, a co ostatnio, ale każdy tak ma. Miały zupełnie rozbieżne pola zainteresowań.

Dotarła do domu ciotki i rzuciła oba uszkodzone tomy na blat.

– To czego szukamy? – zapytała pełnym gotowości do poświęceń głosem.

– Pamiętajcie, co Róża mówiła o piwoniach? Właśnie znalazłam ten fragment i wiecie co? To jest zupełnie nie tak. Patrzenie! „Obok przebiśniegów rosły piwonie”, widzicie?

Wszyscy widzieli, bo pokazała im ten fragment na stronie.

– I co z tego?

– One nie kwitną, tylko rosną. Rozumiecie?

Nie, w tym momencie nie rozumieli, a jeśli nawet, to jednak przebiśniegi i piwonie dzieliły całe lata świetlne od szkieletów i morderstwa w bibliotece. Po prostu w tym momencie nie rozumieli, o co w ogóle może chodzić, przecież nikt nikogo przebiśniegiem nie zamordował, bo on, co prawda, przebija śnieg, jak pokazuje jego nazwa, ale serca nie przebija. Inna sprawa, że jest trujący, a nawet woda, w której stały kwiatki, może być niebezpieczna. Pivonia też bywa trująca, ale tutaj chyba nikt nikogo kwiatami nie truł.

– Ale o co chodzi?

– O to, że bibliotekarka, ta Róża, założyła, że te kwiaty kwitły, a one rosły.

Wytłumaczenie wywołało u zebranych zdziwienie, ale i niedowierzanie, bo nie rozumieli, to znaczy zrozumieli słowa, ale nie przekaz.

Nie zdążyli jednak jej tego uświadomić, ktoś inny zrobił to za nich.

– A pani to już totalnie odjechało – stwierdziła Pijawka, zaglądając do pomieszczenia przez drzwi tarasowe, które od jakiegoś czasu wciąż były otwarte. – Ja do Makarona – oświadczyła. – Kibel mu przyniosłam. Prawie nowy.

Wszyscy aż się wzdrygnęli.

– Ale...

– No co, że szpitala podpieprzyłam, skoro mi tamten rozwalili, to musiałam. Bo oni mi go rozcięli, jak nogę wyjmowali, że niby było trzeba, no i potem im spadł i nie dało się już go naprawić, to jak mi nogę w gips zapakowali, to się gipsem zapałam i sobie jeden z ich wychodka wyrwałam. Taki sobie, ale może być. Obrypany, ale cały, srać można.

Nie czekając na zaproszenie, wtaszczyła się z nogą w gipsie i z kibelem pod pachą.

– Bo wie pani, że niby pani taka mądra i szkolona – zwróciła się do Eleonory – ale jak coś kwitnie, to musi rosnąć. Takie są prawa natury, to jak, bierzesz? – zwróciła się z kolei do Makarego, który naprawdę miał odruch wymiotny, widząc to, co przytaszczyła.

– Wyrzuć to gówno! Kupię sobie nowy – warknęła. – Nie chcę używanego.

– Też się zrobiłeś kwiatek nieużytek! A tak spaniałeś, jakbyś nie pamiętał, skąd jesteś!

– Doskonale pamiętam, skąd jestem, ale to mnie nie określa! – dodał dumnym głosem, chyba na użytek Luśki, bo trudno było przypuszczać, żeby Pijawka to zrozumiała.

Ona tylko wzruszyła ramionami i pogardliwie wydeła usta.

– Tamten był do dupy i ten jest, po co drążyć temat?

– A wcale nie, to nie jest prawda! – zawołała Eleonora.

Wywołało to pewną konsternację u wszystkich.

– Nie był do dupy? – zdziwiła się Luśka.

– Był, ale mnie chodziło o kwiaty! Nie każdy, który kwitnie, rośnie i nie każdy, który rośnie, kwitnie!
– A co to ma do morderstwa?
– Już mówiłam, błędne założenie! – Eleonora aż krzyknęła ze zdenerwowania.
– Pani Eleonoro, rozumiem, że istnieje coś takiego jak błędne założenie, ale co te piwonie mają do naszej sprawy?
– Nic! Oczywiście, że nic, ale na przykładzie tych kwiatów doszłam do tego, że my też popełniliśmy błąd. Patrzcie. – Podsunęła im pod nos tekst z książki. Widzicie? „Wpatrywała się w okno domu naprzeciw. Jego fasada migotała zielenią jakiegoś neonu. Błękitne światło telewizora drżało i migotało, rzucając cienie sylwetek na zasłony. Gdzieś za tymi gęstymi tiulowymi zasłonami te cienie walczyły. Jeden nich wyjął podłużny przedmiot, błysnął nóż”.

Niczego nie widzieli.

– Założyliśmy, że była noc, a mogło być rano albo południe. Założyliśmy, że to neon od knajpy wege, założyliśmy, że ten podłużny przedmiot to nóż.
– Jezu, ciociu! Przecież to tak właśnie wygląda! – jęknęła Luśka, teraz rozumiejąc coraz mniej.
– Wygląda, ale nie musi. Widzieliście dom naprzeciw domu Marianny? Też migotał na zielono...
– Dobra. To co pani nam chce powiedzieć?
– To, że morderczynią jest Regina.

Ten wniosek był tak nieuprawniony, że aż zaparł im dech w piersiach swoim bezsenssem. Żył kiedyś podobno jakiś grafolog, były to lata dwudzieste dwudziestego wieku, gdy metody śledcze były jeszcze w powijakach, a grafologia tym bardziej, ale on, spojrzawszy na kartkę, powiedział: „zbrodnię popełnił piekarz”. Wszyscy byli bardzo sceptyczni i oczywiście nikt mu nie uwierzył, co ciekawe, rzeczywiście zbrodnię popełnił piekarz, a grafolog odkrył to na podstawie jednej litery, którą piekarze na tortach zapisywali w dość specyficzny sposób. Jednak do takiego obrotu sprawy tu jednak było bardzo daleko.

– Ta, której tu nie było? – zdziwiła się Luśka.

– Była, to fakt, ale co to zmienia? – wtrącił Lipski, który jak zwykle nieoczekiwanie się pojawił na miejscu tego nieformalnego zebrania detektywistycznego, bo albo szukał Luśki, która mu gdzieś zniknęła, a nie powinna, albo po prostu wiedział lub wierzył, że przy takich rozmowach można trafić na ciekawe informacje. Takie, o których można by inaczej nie mieć pojęcia, bo przy przesłuchaniach nikt o takie rzeczy nie pyta albo nie wie, że warto o to coś zapytać, albo zupełnie nie mają sensu, a jednak go mają, ale jeszcze w tym momencie nikt tego sensu nie odkrył.

– Tylko tyle, że nie mordowała w tym domu, bo tu mieszkał ktoś inny, a nie ona.

– To by pasowało – stwierdził Lipski. – Rozmawiałem z nią wczoraj. Rzeczywiście siedzi tu już od dość dawna. Ukrywa się, ponoć rozwiodła się z tym amerykańskim mężem i teraz się wstydzi. Chciała podobno odzyskać dom, ale nie wie jak.

– Musiałaby oddać pieniądze siostrzeńcowi. Może stąd te pożyczki?

– Mówi, że jej nawet nie zapłacił. W każdym razie to jest możliwe.

Luśka nie była jakoś pewna tego, co proponowała ciotka, zresztą bardziej wieszczęła, niż proponowała, bo od samego początku kreowała Reginę na morderczynię i wyraźnie bardzo chciała (Eleonora oczywiście), żeby to, co mówiła, okazało się prawdą, tak jakby od tego zależała jej sława, albo choć wiarygodność, ale też jakby do Reginy miała o coś pretensje.

O to, że wyjechała? O tego amerykańskiego męża? O cokolwiek w tym rodzaju, ale jednak tak.

Luśka natomiast bardziej skłaniała się w kierunku Pakosia, jako ojca chrzestnego tutejszego półświatka (choć Don Corleone to to nie był z żadnej strony), który karze nieposłusznych przestępców.

Brała też pod uwagę Kicię, jako osobę, która potrzebuje wielkich pieniędzy i musi je zdobyć, bo zwisają jej pośladki, a pośladki poniżej linii talii to zupełnie nie w jej stylu.

No i oczywiście rozważała też możliwość udziału Marianny, bo była wariatką, a wariat to wariat – nie musi być logiczny, nie musi mieć konkretnego motywu, nie musi niczego, jest, jaki jest. Morduje, bo morduje. Nie dlatego, że coś mu każe to robić, że ktoś mu jakoś w czymś podpadł, ale dlatego, że taką ma ochotę.

To wygodne, ale trudne do udowodnienia.

Makary bardziej skłaniał się ku Pijawce i Kici, ale nie z powodu Kiciowych pośladek poniżej czy powyżej linii talii, ale z powodu tego, co robiły wcześniej (siostry, choć pośladki w tym oczywiście uczestniczyły), czyli z powodu prostytutki. Jeżeli Kicia chciała wyjść za Pakosia (a chciała), musiała ukryć pewne swoje dawne poczynania. Oczywiście nie chciała, żeby plotki o nich do niego dotarły, ale Zastro nie to małe miasteczko, mógł całkiem przypadkiem się o tym dowiedzieć od baby z serem na bazarze, więc zamordowanie trzech osób wcale dziewczyny do całkowitego ukrycia sekretu nie przybliżało.

Poza tym Pakoś na pewno wiedział.

Nawet gdyby Kicia wymordowała pół bazaru, to mogłoby nic nie dać. Pakoś wiernej żony nie szukał. Kiedyś taką miał i bardzo się na niej zawiódł, owszem, gotowała, prała, sprzątała, była nawet miła, ale... Pośladki jej zwisały, a biust to już w ogóle, no i Pakoś nie mógł zrozumieć, jak do tego mogła dopuścić, ale ona skończyła pięćdziesiąt lat!

To było ponad jego siły, nie był w stanie tego znieść, rozstali się.

Luśka wyszła z Makaronem wyrzucić kibelkowy artefakt Pijawki, czym zyskała jej dozgonną nienawiść, po pierwsze dlatego, że z nim, po drugie, że wyrzucić. To był w rozumieniu Pijawki dar prosto z serca, taki, którego się nie odrzuca.

– Co ona z tym, że zapomniałeś, skąd jesteś? – zapytała Luśka, dręczona ciekawością, jedną z tych babskich, które wiedzą, że nie pasuje pytać, że nie wypada drążyć, że jeszcze nie i ciach... Szybko jednak naprawiła swój błąd. – Bo to wyglądało tak, jakbyś pochodził z krainy zasyfionych kibelków czy coś...

– Oj tam. Nie chce mi się o tym gadać.

– No weź. – Luska sapnęła, ciut niezadowolona. Nie lubiła takich tajemnic, do których nie miała dostępu. Poza tym... Było coś jeszcze.

Bo jeżeli ta „kraina zasyfionych kibelków” to był poprawczak, albo jeszcze gorzej – więzienie, to dupa zbita.

Nie, że praca dla Luśki była najważniejsza, ale żaden stróż prawa, żaden policjant jakoś nie chce, żeby łączono go z przestępczością, a za dobre zachowanie do więzienia nie zamykają.

Więc żona z zakładu karnego czy mąż na warunkowym odpadali na ogół w przedbiegach.

Jeżeli chodzi o alimenty, bo za ich niepłacenie też się idzie do więzienia i nikt jakoś za przestępstwo tego nie uważa, to Luśka alimenciarza również nie widziała w roli swojego chłopaka, partnera czy w konsekwencji męża.

– Siedziałeś?! – wypaliła, pełna obaw, chcąc mieć to już za sobą.

– Zdurniałaś?! – zapytał zaszokowany. – Z biduła jestem! Tylko tyle i aż tyle!

Naprawdę odetchnęła.

– Znaczy się, że nie będę miała teściowej? – zapytała niby dla żartów, ale też żeby go sprowokować, i to w taki sposób, który daje wiele możliwości, a w razie czego zawsze można powiedzieć „żartowałam”.

– Gorzej, możliwe, że będziesz miała dwie – odparł spokojnie, choć trochę się zaczerwienił.

I może Luśka jakoś by zareagowała, a może nawet dowiedziałyby się więcej, ale nie zdążyła.

– Całujecie się tam? – wrzasnęła z okna Eleonora, jakby to „tam” było miejscem o wiele bardziej cieleśnym niż śmietnik. – Czy wyście poszaleli? – Popatrzyła na nich zza okna.

Nie całowali się, jeszcze nie.

I z pewnością nie „tam”!

– Czy mi się zdaje, czy wy odwalacie oświadczyzny nad osranym kibelem? Nie możecie jakoś przestać się zajmować tym zasranym seksem? Wciąż to samo! Gdzie się nie ruszyć, tam seks, w reklamach, w książkach, na billboardach, cholera, tylko w domu brak – dodała po chwili z niejakim żalem.

Za to Pijawka nie mogła tego znieść. Nie dość, że wyrzucili jej prezent od serca, to jeszcze wyraźnie mieli ochotę się migdalić.

Ona też weszła w tym seks.

– Pierdolone psy – warknęła Pijawka, chyba w odniesieniu do Luśki jako policjantki albo w odniesieniu do szczekających gdzieniegdzie Burków, co nie dało Luźce możliwości reakcji.

Za to Lipski wyrzwał przez drzwi od tarasu i odwarknął pewnym siebie głosem:

– Pani Gabrielo, tylko bez takich tekstów! – Użył nieprzyjemnego tonu, dając tym samym do zrozumienia, że ją kojarzy, pamięta, a nawet zna, żeby sobie nie pomyślała, że cokolwiek ujdzie jej na sucho. To „cokolwiek” właściwie nawet nie było ważne, bo takie odzywki policjanci znali od dawna i niestety trudno było się ich czepiać, ale zawsze lepiej jakoś zareagować niż udawać, że się ich nie słyszy.

– Bez, jasne, tekstów... Zasrane życie. Ona mi tu mojego Makarona molestuje, a ja co? – Pokręciła, zrezygnowana, głową. – A! O mało nie zapomniałam, babka mnie zaczepiła, jak tu szłam, taka jakaś starsza, powiedziała, że jakiś John coś zrobił. I żeby pan zadzwonił. Ja to tylko tego Johna zapamiętałam, ale ona coś jeszcze mówiła. Wariatka pewnie. W szlafroku na ulicy stała.

– I zaczepiła panią?

– Nie całkiem, to było tak. Ona stała i klęła na telefon, że się jej spieprzył, a chciała dzwonić na policję. Pytała, czy dam jej od siebie zadzwonić, ale przecież nie mogłam jej dać jak na policję, nie? To tylko zapodałam, że będę się zaraz widzieć z takim policjantem jednym, to ona, żeby powiedzieć, że John to zrobił. Wariatka!

Lipski się wkurzył. Jeżeli John, to Regina, ale też dłaczego John?

Tyle że kobieta rzeczywiście z tym ukrywaniem się nie była chyba w pełni władz umysłowych. No a telefon przecież... Postanowił pojechać do niej. Chciał kogoś ze sobą zabrać, ale nie miał kogo. Eleonora odpadała, bo jeżeli Regina się ukrywała, a miała przecież do tego prawo, to ukrywała się właśnie przed dawnymi znajomymi, więc sprowadzenie do niej Eleonory byłoby nietaktem. Luśki zabierać nie chciał. Jakoś za oficjalnie to mogłoby wyglądać, poza tym obiecał Reginie przesłuchanie na posterunku, ale jeszcze nie wysłał jej wezwania, podejrzewał, że w ten sposób chciała mu się przypomnieć. Istnieje spora grupa ludzi, którzy uwielbiają tego typu zainteresowanie, choć udają, że go nie lubią. Postanowił, że do niej pojedzie sam. Wrócił do domu, po czym przeszedł przez salon i wyszedł głównymi drzwiami, bo nie chciało mu się okrażać domu po wertepach, a poza tym wolał nie patrzeć na idące ku intymności, chociażby w spojrzaniach, poczynania Makarego i posterunkowej Chucherko.

Nie zdążył.

Przez domem zatrzymała się taksówka, z której wysiadła Regina i podreptała wprost do niego, choć chyba szła raczej do domu Eleonory. Co ciekawe, taksówka nie odjechała, najwyraźniej Regina kazała jej na siebie zaczekać.

– Nie mam już siły się ukrywać – oświadczyła zasapanym głosem, choć zrobiła zaledwie kilka kroków. – Dobrze, że pana widzę – dorzuciła, jakby wcale się go tu nie spodziewała. – Muszę to panu powiedzieć. Morderca jest John.

W świetle tego, co mówiła Pijawka, było to zupełnie bez sensu. Regina powinna była się go tutaj spodziewać, skoro kazała Pijawce go powiadomić, po chwili jednak zdał sobie sprawę z tego, co dokładnie usłyszał, Pijawka oznajmiła, że się spotka z policjantem, ale nie sprecyzowała gdzie, więc mogła mieć na myśli posterunek. Czasami wyciągamy nieuprawnione wnioski. Lipskiemu też się to zdarzało.

– John? Jaki John, pani amerykański mąż?

– Taki on amerykański jak ja chińska. Przecież bym się z nim nie dogadała, gdyby był całkowicie amerykański, to przeflancowany Polak i on to musiał zrobić!

Regina była ubrana po amerykańsku, pewnie dlatego Pijawka jej sukienkę wzięła za szlafrok. Był to ten rodzaj stroju, który może walić w oczy; liczba kolorów i ich intensywność sprawiają, że w słońcu jest jednym wielkim efektem stroboskopowym.

– Dlaczego... – Chciał zapytać, dlaczego ona tak sądzi, ale nie dała mu dokończyć, tylko to pytanie odebrała jako pytanie o motyw.

– To proste! Bo od niego ucieklam! – Podniosła głowę, jakby była bardzo dumna z tego, że ktoś morduje z jej powodu.

– Pani od niego uciekła, a on przyjechał tu mordować obcych ludzi?

– Właśnie! – przytaknęła, po czym dodała: – Dokładnie!

Takiego motywu się nie spodziewał, ba, nigdy się z takim nie spotkał. Pobrzmiwała w nim spora dawka samozadowolenia, a może i narcyzmu.

Niektóre kobiety uważają się za centrum wszechświata, i to nie tylko te młode. Regina chyba musiała do nich należeć już od urodzenia.

– Uciekła pani? Kiedy? – zapytał dla uściślenia, bo mogło to mieć jakieś znaczenie, choć raczej nie dla motywu potwornego Johna, mordującego obcych ludzi z powodu wiarołomnej żony. Zresztą chyba nawet nie wiarołomnej, możliwe, że ona go nawet nie zdradziła, nie uciekła do innego chłopa, uciekła od niego, od męża do innego kraju, ale nie do innej miłości.

– No teraz, ostatnio, tak ze trzy miesiące temu. – Regina zrobiła zagadkową minę.

– A on zamordował tych ludzi trzy lata temu? Jasnowidz jakiś?

– No proszę pana! – obruszyła się. – On mnie śledził!

Lipski razem z Reginalą weszli do domu Eleonory.

Na ich widok ta ostatnia odrobinę oniemiała.

– Regina, co ty tu...

– Co ja tu robię? Co ja tu robię?! – warknęła zapytana. – Przyszłam ci wpierdolić! – oświadczyła takim głosem, że nawet przebywającą na tarasie Pijawkę zatkało.

W pewnym wieku nie wypada. Niektóre kobiety forsują wolność i w ogóle, wypada tylko szczęka albo szkło kontaktowe, ale takie słowa? U kobiety w wieku babciczym?

– Aleee. – Eleonora rozdziawiła usta, nie rozumiejąc, choć chyba przekaz do niej dotarł, bo wycofała się za lampę.

– Jeżeli jeszcze raz każesz mnie łapać jak bezpańskiego psa jakimś tysemu hyclowi, to mnie popamiętasz! I to jak? Łap ją?! Łap ją?! Ja ci dam, cholera, łap ją! – Regina podeszła, a właściwie poczłapała do lampy, walnęła ją na odlew, strącając abażur i sprawiając, że właścicielka i lampy, i domu skamieniała.

– Ale o co...

– Nie mam zamiaru się powtarzać! – warknęła Regina, zawróciła i zostawiając wszystkich w osłupieniu, znów podreptała do wyjścia.

– Ale pani Regino! – zawołał za nią Lipski, bo, co prawda, gróźb wobec Eleonory nie brał na poważnie, przecież chyba babcie się nie pozabijają torebkami, to jednak chciał wyjaśnić sprawę tego Johna.

– Czego pan jeszcze ode mnie chce? Mordercę panu na tacy podałam, a pan tylko się jąka i stęka! Dość tego! Ja w policji nie pracuję, niech pan dupę ruszy, a nie tylko czeka na drapanie! On chce to wszystko zwalić na mnie! Nie dam się wsadzić do więzienia za niego! Chwila moment, a on jeszcze kogoś zamorduje, żeby było wyraźnie na mnie!

Lipski pomyślał, że John (a właściwie w tej chwili już biedny John) nie może być mordercą, on na pewno teraz tapla się w szampanie z radości, że ta wściekła baba go opuściła.

Potem pomyślał, że się czegoś naćpała.

Starsze panie tak się nie zachowują.

Lipski, jak każdy młody Polak, przechowywał w sercu archetyp cudownej babci, takiej z białym kiem i w okularach, czytającej bajki. Choć jako policjant powinien raczej przypomnieć sobie Nannie Doss, amerykańską „chichoczącą babcie”, która tak kochała miłosne opowieści i tak zaczytywała się w romansach, że w poszukiwaniu idealnej miłości zamordowała czterech mężów, dwoje dzieci, matkę, siostrę, dwoje wnucząt i teściową.

Lipski miał iść za Reginą do taksówki, ale zrezygnował. John nie był dla niego realnym tropem, nawet gdyby był jak najbardziej zakochany w tym babsztyle, to jednak po prostu nie pasował do sytuacji, do dat, a nawet do tego motywu, który Regina wymyśliła.

John jeździł za nią w tajemnicy po świecie i mordował jej kochanków (albo tylko ludzi, z którymi miała kontakt)? Bezsens. Mógł jej zniszczyć paszport. To by ją zatrzymało. I co jeszcze? Tam w USA też mordował? Czy tylko Polaków w Polsce tak się straszliwie obawiał? I co do tego miała Karolina? Też była jej kochanką?

W takim niepewnym nastroju Lipski wrócił do Eleonory, która wciąż stała za lampą i nie mogła uwierzyć w to, co się wydarzyło.

– Przecież to wariatka! Teraz mi pan wierzy, że mogła mordować?

– Nie, ale – usiadł nieco załamany – nie rozumiem po co. Po co to wszystko? John i ta akcja z panią? Po co w ogóle...

– Bo ona chce odzyskać dom.

– I jak takie wariactwa mają jej pomóc?

– Nijak, to bez sensu, jeżeli jej siostrzeniec się nie zgodzi, to nic jej nie da, bo nawet gdyby chciała odkupić, to i tak on musiałby wyrazić zgodę, więc nie, tak domu nie odzyska, chyba że Józeczek...

Oboje popatrzyli na siebie z przerażeniem.

– Józeczek? Czy ona nie powiedziała, że John kogoś znowu zamorduje, żeby było na nią?

– A zamordowanie Józeczka coś by jej pomogło?

– Nie wiem, jak w ogóle mogłaby Józeczka zamordować, on jest spory, ona stara, John oczywiście odpada, ale to mogłoby jej coś dać, bo skoro jeszcze nie zapłacił albo nie całkiem zapłacił, to może?

– To może być tak: ona chciała zdobyć pieniądze, umówiła się, okradła dwóch facetów i zamordowała ich, Karolina to zobaczyła. Zamordowała i ją, dlatego dopiero teraz, bo dopiero teraz wróciła i może nie wiedziała, kto ją wtedy widział, aż się zorientowała po książce.

– Czy myśmy przypadkiem, zresztą za pani podszeptem, nie uznali, że to, co zostało napisane w książce, nie ma znaczenia? – Makary bezlitośnie obnażył ostatnie rewelacje Eleonory. – Czy to nie pani uważała, że to był błąd, znaczy błędne założenie?

– Nie wiem, już nic nie wiem, wszystko mi się miesza, to jest tak pokręcone, że po prostu nie umiem sobie tego wyprostować. To powinno być proste i logiczne, a nie takie nasrane!

I to była prawda. Jeżeli coś jest zbyt zagmatwane, to znaczy, że gdzieś tkwi błąd. Nie ma tak, że ktoś zabił chwilówkowego poborcę, a ktoś inny jego zabójcę, a jeszcze ktoś inny Karolinę, a teraz zamierza zabić Józeczka... To się nie mieści w głowie.

– Czy pani myśli, że ona chce zabić Józeczka? – zapytał Makary, który mimo natłoku uczuć, i to skrajnych, do dwóch różnych kobiet i kibelka, śledził przebieg rozmowy.

Pijawka też nie omieszkała się wtrącić.

– Ale że Kicia? Andżelika? Józeczka? Tego z biblioteki? Nie, ona go lubi! Nie zabije go, no chyba że Pa-koś... Bo ona z nim czasami sypia, to znaczy sypiała z Józeczkiem, choć z Pakosiem też oczywiście.

Odkąd Pijawka wzięła udział w dyskusji, Józeczka miało zabić jeszcze kilka innych osób, w tym Paraciejowa, sprzątaczką z biblioteki, i dyrektorką oraz, co nie było bez znaczenia, Lutek.

– Ale dlaczego?

I pewnie wszystko skończyłoby się jakoś rozsądnie, albo choć rozsądniej, gdyby nie Pijawka. Złapała za telefon.

– Hej, Józeczku! Wiesz, że ktoś będzie cię chciał zabić?! No, ale jaja! Powaga! Normalnie szok, nie?! Lipski dopadł Pijawki jednym susem i wydarł jej telefon.

– Tu, aspirant Lipski, policja. Niech pan jej nie słucha! To bzdura, nikt nie chce pana zabić! I to ostatecznie sprawiło, że Józeczek się załamał.

Odwiedziny w dziupli osiłków wydały się Makaremu istotne.

Stanowiły doskonały pretekst do opuszczenia zebranych w domu Eleonory, i to w towarzystwie Luśki, które bardzo mu odpowiadało.

– Słuchajcie, co wy wiecie o Józeczku? – zapytał nieco filmowym tekstem, kiedy tylko wszedł do ich siedziby. Za nim wcisnęła się Luśka, która była w mundurze i nie powinna była w ogóle tam wchodzić.

– Coś ty tu psicę przyprowadził, e? – zapytał jeden z relaksujących się na kartonach osiłków.

– Gównno cię obchodzi, chcę wiedzieć o Józeczku wszystko.

– Józeczku? Przecież to debil! – odparł wąsaty łysol. – Po coś ją tu staszczyl, nie lepiej było ciotkę Norka wziąć? Ona choć z telewizji.

To, że ktoś mógłby chcieć zabić Józeczka, nie było dla Makarona istotne, istotna była otoczka.

Działanie.

Pokazówka.

I Luśka.

Reszta nawet nie bardzo go fascynowała, bo jeżeli nawet, to chęci nie są karalne, więc dopóki ktoś ich nie zrealizuje, albo choć nie zacznie realizować, nie ma jak się do sprawy zabrać.

Józeczek telefonem Pijawki się nie przejął, bo ją znał. Trochę z dawnych, trochę z obecnych czasów i jej intelektu nie cenił, inne walory kiedyś bardzo mu odpowiadały, ale teraz wołał te jej siostry, tym bardziej że Pijawka była często pijana i potrafiła nawet w trakcie paść i zasnąć, no a tego nikt nie potrzebuje.

Tak więc wiadomość o tym, że ktoś go chce zabić, wziął za pijacki zwid albo lęk podopalaczowy, ona tak miała.

Gdyby nie solenne zapewnienie policjanta, że nie ma się czego bać, niczego by się nie bał, natomiast to zapewnienie naprawdę go przestraszyło.

Po pierwsze policja kłamie, to wiedzą wszyscy, po drugie policja i Pijawka w jednym pomieszczeniu? Dziwny układ, a skoro ona dzwoniła, to miała do tego prawo, czyli nie był to posterunek.

Po trzecie policjant wyraźnie wiedział, że ktoś go chce zabić, bo twierdził, że nikt nie chce. Są na świecie w tym momencie miliony ludzi, których nikt nie chce zabijać, i jakoś policja z tym do nich nie dzwoni.

A nawet gdyby chodziło tylko o wyglup Pijawki, to policjant też nie powinien reagować, prawda? Ludzie mają prawo się wyglupiać.

Tym sposobem do Józeczka dotarła prawda, że ktoś chce go zabić, i to naprawdę. Oczywiście w trybie przyspieszonym przeszedł przez zaprzeczenie i gniew, po czym wszedł w smutną akceptację tego stanu, na końcu się załamał i poszedł do schowka po pół litra oraz miotłę.

Pół litra, schowane przed żoną, miało mu dodać otuchy, miotła miała stanowić broń. Nie była czymś idealnym. Józeczek postanowił więc zgromadzić więcej broni, a że w domu trudno o karabiny, przyniósł z kuchni dwa noże, tasak, młotek i tłuczek. Te dwa ostatnie miały być do miotania.

Skoro istnieje rzut młotem, to może być i rzut młotkiem... i tasakiem.

Ponieważ nie wiedział, kto chce go zabić, zrobił przyspieszony rachunek sumienia na potrzeby obronne i doszedł do wniosku, że to bez sensu. Kobiety go kochały, mężczyźni uznawali jego wyższość intelektualną i fizyczną. Nikt nie powinien się na niego porywać, ale przecież istnieją wariaci.

Dodatkowo nikt, ale to absolutnie nikt, nie skorzystałby na jego śmierci. Nie miał żadnych tajemnic, ani cudzych, ani własnych, nie miał bogactw, a nawet dom, który kupili z Anitą, był zapisany na nią, więc spadek odpadał. Dom ciotki Reginy? Nie, no nie, też odpadał.

Uspokoił się, a jednak wewnętrznie drżał.

Wtedy zadzwoniła Anita.

– Słuchaj, podobno niejaki John chce cię zabić – oświadczyła mu bez wstępów i zburzyła ostatni bastion spokoju. – Znasz jakiegoś Johna?

– Nie. John? To musi być jakiś Amerykanin.

– Ciotka Regina wyszła za jakiegoś, ale czy on jest John?

– Janusz, on jest Janusz, ale choćby nawet, to dlaczego miałby mnie zabić?

– Bo jest hitmenem? – Anita nie zadała sobie trudu przemyślenia jednej z opcji tego hit mana, a mianowicie, że jest to zabójca na zlecenie, a nie że zabija jak leci, więc jeżeli na zlecenie, to nie dość, że ktoś musiałby to zabójstwo właśnie zlecić, to jeszcze za nie zapłacić, a kogo stać na amerykańskich specjalistów? Nawet, a może zwłaszcza, od mokrej roboty?

To jednak Józeczka nie ucieszyło, bo świadomość, że gdzieś na dachu sąsiedniego domu, zaopatrzonego w broń szalonego zasięgu z lunetą i celownikiem laserowym czai się snajper, urosła w nim jak druga głowa.

Pozasłaniał okna.

Poszedł do kuchni po durszlak, jedyny metalowy i nadający się na hełm pojemnik, przez który cokolwiek widział.

Usiadł pod ścianą i oparłszy się o nią plecami, czekał na śmierć.

Nie mógł nic zrobić. Anita wiedziała i nie mogła mu pomóc, policja wiedziała i uważała, że nie ma niebezpieczeństwa, a inni? Nie było nikogo innego.

– Mamo! Ktoś chce mnie zabić! – Zadzwoił do rodzicielki, bo i z nią postanowił podzielić się tą wieścią. Zaslugiwała na to, żeby się trochę o niego pomartwić.

– Przestań chlać, Józeczku, bo wątroba ci wsiądzie! – odpowiedziała na jego pełną dramatyzmu zapowiedź śmierci.

– Nie, poważnie, mamo. Ktoś chce mnie zabić, jakiś amerykański snajper, siedzi na dachu i strzela.

– Nie słyszę. – Matka poczuła jednak niepokój, co ucieszyło Józeczka. Nic tak nie boli jak brak współczucia, niestety matka była już w tym wieku, że chyba zaczynała tracić słuch.

– Mówię, że siedzi na dachu...

– To słyszę, nie słyszę, żeby strzelał!

– Mamo! – Obraził się poważnie i śmiertelnie.

– No dobra, ja tam przyjadę.

– Ani mi się waź! Nie mogę cię narażać! – zakrzyknął Józeczek pełen szczerzego poruszenia.

– No wiesz, masz rację – odpowiedziała matka, strącając syna w otchłań rozpacz.

I teraz naprawdę zaczął się bać.

Samonakręcanie się niektórych reakcji tak właśnie działa – im bardziej się boisz, tym bardziej... czujesz strach. Niby masło maślane, ale tak już jest.

Dodatkowo jeżeli ktoś ma naturę paranoika i wypił pół litra wódki pod ten strach, to z pewnością może to być nawet niebezpieczne i nie trzeba do tego mordercy.

Józeczek był wielowarstwowy. Z wierzchu twardy, męski, chropawy i sklęty, w środku miękki, ale ta jego wewnętrzna miękkość to nie był krem waniliowy z rurki z kremem ani czule kłaskania, w środku był trochę jak roztopiona nieco galareta z nóżek wieprzowych. Rozedrgany, niepewny i pełen lęków.

No i, jak to się mówi, siedział w nim tchórz.

Teraz, wraz z ilością wypitego alkoholu, ten jego wewnętrzny tchórz coraz bardziej drżał.

Potem zrobiło się o wiele gorzej, bo jakimś cudem minął dzień.

– Będziemy pilnować Józeczka? – zapytała Eleonora Lipskiego, ale ten wzruszył ramionami.

– Nie ma sensu. Nikt go nie chce zabić! To paranoja pani koleżanki! Nic więcej!

– A jeżeli ona ma rację?

– Nie może mieć racji, rozumie pani? Nie może! Po co ktokolwiek zabijałby tego faceta? On nie ma żadnych powiązań ani z chwilówkami, ani z powieściami erotycznymi.

– Ale z Pakosiem ma!

– Nie ma.

– Sypiał z Kicią!

– Ludzi, którzy nie sypiali z Kicią, można policzyć na palcach jednej ręki! – odburknął.

– I z Karoliną.

– Seks aż tak bardzo nie zabija! – Policjant się roześmiał. – Wiem, że ludzie są teraz na tym punkcie mocno przewrażliwieni, ale są o wiele lepsze motywy niż seks. Zresztą Józeczek bogiem seksu nie jest! No i żaden z niego Adonis! – Przez chwilę milczał. – Co nie zmienia faktu, że panią Reginę kazałem obserwować, nie wiadomo, co ona może wymyślić.

– Nie łatwiej byłoby jednak przypilnować Józeczka?

– A powiedziała, że chce go zabić? Nie! – odpowiedział sam sobie. – Wykoncypowaliśmy to sami, a może ona chce zabić kogoś innego?! Może Kicię, choć nie mam pojęcia dlaczego, może Mariannę?

– Po co?

– Po nic. Przecież my naprawdę nie wiemy, dlaczego to wszystko się dzieje! No i w ogóle, Marianna też jest jakaś niepewna, ale nie mam aż tylu ludzi, żeby każdego podejrzanego pilnować. Jeżeli założymy, że Karolina zginęła, bo coś widziała, to jeszcze jakoś to mogłoby się trzymać kupy, a jeżeli założymy, że to przypadek, to mamy przechlapane.

Drogą za domami, trochę szerszą niż ta przed nimi, prowadzącą w głąb osiedla przejechała straż pożarna na sygnale.

– Cholerne grille, tylko na chwilę przestanie padać, a już zaczynają podpalać chałupy – burknęła Eleonora.

Drogą za domami, trochę szybciej niż poprzedni samochód, przejechał kolejny wóz strażacki na sygnale.

– No, druga jednostka... Dowie się pan, o co chodzi?

– Nie, no co pani, pani Eleonoro, nie będę im dupy zawracał, pewnie coś się pali.

Drogą za domami, z nieco innym sygnałem, przejechała spora czarna furgonetka i dwie karetki pogotowia.

– Co jest, do cholery?! Co tam się dzieje, dwie jednostki straży i karetki to jeszcze, ale skąd tam furgonetka z antyterrorystami?!

– Szefie...

Lipski odebrał telefon na podwórku za domem, wpatrzony w zjawisko nadprzyrodzone, jakim były te wszystkie służby jadące w jednym kierunku, i to na sygnale, i szybko, nawet bardzo szybko.

– No, czego chcesz? – zapytał, słysząc, że ma na linii Miziołka.

– Niczego, ale uciekła nam!

– Co?

– No, poważnie, ta baba z piekła rodem nam uciekła – oświadczył Miziołek.

Lipski zaklął.

Józeczek siedział w ciemnościach początkowo wywołanych zasłonięciem okien, potem naturalną konsekwencją wieczoru.

Bolał go tyłek, od siedzenia na podłodze pod ścianą dostał odcisków, bolały go uszy, bo za bardzo wcisnął durszlak na głowę, a był to taki z jedną rączką, która jak dziób sterczała mu nad nosem, trochę więc zezował.

Bolała go głowa, bo jednak zazwyczaj pił w towarzystwie i pół litra na niego samego, bez zakąski i z marną popitką, to było ciut za dużo.

Bolał go pęcherz, bo bał się iść do ubikacji.

Bolały go ręce, tak je zaciskał na tasaku, który w drodze eliminacji dotarł na szczyt plebiscytu na najbardziej przydatną broń.

Józeczek czuł się paskudnie.

Zapomniał zamknąć drzwi i okna.

Idalia Mickiewiczowa, matka Józeczka, nie była w ciemni bita. Była kobietą praktyczną i rozsądną. Chociażby dlatego nie dała swojemu synowi na imię Adam, zmienić nazwiska męża nie mogła, bo jednak tradycja jest bardzo ważna, nie przyjąć jego nazwiska też nie mogła, bo jednak wstyd by jej było tak z panięmskim chodzić po zamążpójściu, nie daj Boże jeszcze ktoś by pomyślał, że ma nieślubne dziecko.

Bez mrugnięcia okiem przyjęła sugestię, że nie powinna jechać do domu syna, bo to mogłoby być dla niej niebezpieczne, ale też nie zamierzała zostawiać go bez pomocy, toteż zawiadomiła kogo się dało, w sposób, który wywołał reakcję.

Gdyby zadzwoniła na policję i powiedziała, że ktoś chce zabić jej syna, a syn ma około czterdziestki, to z pewnością by ją olali, toteż zadzwoniła do straży z informacją o podłożeniu bomb w domu syna oraz do powiatu o porwaniu nieletniego, a także o strzelaninie.

Zawiadomiła ich w taki sposób, że olać nie mogli.

Józeczek, zmaltretowany bólem pęcherza i obawą, że ten mu pęknie (gdzieś coś takiego wyczytał i bał się, że to może być prawda), postanowił iść do ubikacji.

Po ciemku. Czarną noc pogłębiały szczelnie zasunięte zasłony. Był rozedrgany, a do tego poruszał się po omacku. Żeby wstać, najpierw musiał podeprzeć się rękami, bo zdrętwiały tyłek dawał mu się we znaki.

Podparł się więc, podkulił nogi, odepchnął się i wstając, trafił dziobem rączki durszlaka w stojącą na stoliku obok elektroniczną ramkę do zdjęć. Zleciała, rąbnęła z plastikowym trzaskiem o podłogę i zaczęła grać na pełny regulator elektroniczne melodyjki. Zsikał się ze strachu.

Ponieważ ramka zaczęła też świecić, rzucił się na nią i zakrył ją ciałem, żeby snajper nie mógł w niego trafić dzięki temu oświetleniu.

Niechający wetknął dziób durszlaka w gniazdko.

Tylko trochę, ale że zdążyło się nieco zamoczyć, usłyszał huk i coś rąbnęło go w głowę.

Usiłując wstać, pośliznął się i zarył dziobem w wazon z suchymi kwiatami, który lupnął i chyba się rozłtukił, dźwięk jak najbardziej za tym przemawiał, ale Józeczek nie był w stanie tego zobaczyć. Pomałał rękami dookoła.

Chyba znów się do czegoś podłączył, bo poczuł potężne uderzenie w głowę.

Pomyślał, że wyładowania elektryczne opanowały cały dom, choć spodziewał się, że korki powinny już dawno wysiąść i załatwić sprawę.

Zobaczył nad sobą jakąś postać całkowicie utkaną z cienia.

W rękę trzymała coś błyszczącego, co odbijało resztki światła z rozwalonej ramki i wyglądało jak miecz.

– Utnę ci – powiedziała ochryplym głosem, którego nie rozpoznał, ale też nie spodziewał się rozpoznać.

To wyglądało dość mistycznie, miało głowę jakby diabła albo demona i dyszało.

O ile snajpera się bał, o tyle widokiem tego czegoś się przeraził naprawdę. Po pierwsze to było blisko i jakoś dostało się do domu, po drugie chciało coś mu uciąć.

Jako rasowy mężczyzna, od razu pomyślał, że to nie będzie głowa.

Józeczek nie chciał się dać wykastrować, a że był na podłodze, tyłem doczołgał się znów do ściany i wlaź pod biurko. Tam może nie był całkowicie bezpieczny, ale to coś miało trudniejszy dostęp do jego klejnotów.

Wymacał w kieszeni telefon i wybrał pierwszy dostępny numer.

– Mamo! – wrzasnął do telefonu. – Mamo! To chce mi uciąć jaja! Ratuuuuuuuuuuuu.

Zawsze się kłócił z Anitą, że jak coś się dzieje, to on zawsze najpierw dzwoni do matki, a dopiero potem do żony, ale taka była w ich domu kolejność załatwiania spraw.

Jeżeli chodziło o papier toaletowy, zawsze najpierw dzwonił do żony, jeżeli o sprawy wyższe, do matki.

Jaja od kurek zielononózek należały do żony, jego własne do matki.

Wyrzał spod biurka, w ostatnich ponurych jękach i blaskach ramki zobaczył dwie wielkie, człapate nogi i coś obrzydliwie kolorowego.

– Józeeeeczku – wyjęczało to wielkie coś grubym głosem, po czym rzuciło się na podłogę pod biurko.

Zaczęło obleśnie podrygiwać, wyciągając ku niemu ręce.

– Miziołek, szukajcie jej! – Lipski wydał rozkaz, który z definicji był bez sensu, bo podwładny sam powinien wiedzieć, co robić. – Jak uciekła?

– No taksówką. Wysła przez balkon.

– Przez taras, chciałeś powiedzieć?

– Nie, przez balkon, z piętra zlaźła po barierce, uciekła i odjechała taksówką. Idę łapać taksówkarza, dowiem się, dokąd ją zawiózł.

Lipski ucieszył się, że ma mimo wszystko rozsądnego podwładnego, choć miał ochotę go udusić.

W tym momencie znów zadzwonił jego telefon.

Przez chwilę słuchał, wpatrując się w Eleonorę coraz bardziej zaszokowanym wzrokiem.

– No? Co, do cholery, niech pan mówi. – Eleonora nie wytrzymała. – O co chodzi?

– Józeczek.

– Tak, rozumiem, Józeczek, ale co z nim?

– Dzwoniła jego matka. Zabarykadował się w domu, ale coś tam weszło i chce mu uciąć... tego, no... tasakiem, jego własnym.

– Ale co?

– No jaja chce mu uciąć, z przyległościami chyba.

Eleonora parsknęła z pogardą.

– Eż te chlopy! – mruknęła. – Za grosz rozsądku! Po co komu jej jaja?!

Znów zadzwonił telefon.

Po chwili matka Józeczka przekazała kolejne wieści. Były makabryczne.

Wszystko było pogrążone w ciemnościach, ale kiedy już człowiek się przyzwyczai, da się dostrzec pewne rzeczy. Józeczek miał telefon i latarkę w tym telefonie, ale nie zamierzał wystawiać się na atak snajpera, toteż dzwoniąc do matki, zakrywał bluzą głowę wraz z durszlakiem.

To, co do niego lazło, a właściwie czołgało się, musiało być naprawdę bardzo zdeterminowane, bo usiłowało chwycić go rękami, ale było tak grube, że nie było w stanie precyzyjnie się pod poprzeczką biurka.

– I tam jest taka wielka baa... ba.

Matka zrozumiała, że bomba.

Rozłączyli się.

I wtedy od tyłu zaatakował go obraz. Coś świsnęło, huknęło i z tyłu na krzesło zleciał obraz wiszący dotąd na ścianie, krzesło zakręciło się i jakimś cudem popchnęło obraz w bok.

Obraz był jednym z tych typowo polskich, ciężkich jeleni na rykowsku oprawionych w równie ciężką, udająca złoconą, rzeźbioną ramę.

Jeleń został wypatroszony, a rama się rozleciała. W pewnym sensie na szczęście.

– Aaaa – wrzasnęło coś, w co uderzyły jej ostre, połamane fragmenty.

Józeczek poczuł, że jest atakowany z wielu stron naraz. Ktoś leżał pod biurkiem, które było zbyt ciężkie, żeby mógł je dosunąć do ściany, szczególnie przebywając pod nim, coś zważyło obraz i coś tym razem dostało, miał nadzieję, że w leb.

Ta nadzieja mogła nie być płonna.

– O kurwa, o kurwa, o kurwa – zajączało z boku, jakby z góry. Ten głos wydał się Józeczkowi jakiś znajomy.

– Armagedon – znów zreferował matce, krzycząc do telefonu przerażonym szeptem. – Oni są wszędzie! Mamo, ratuj!

Był tym rodzajem faceta, co jak trwoga, to do mamusi, za co Anita zawsze dawała mu w kość.

Właściwie nie musiał się ukrywać. Oni wiedzieli. Dopadli go. Otoczyli. I chcieli go straszliwie okaleczyć. Byli w domu.

Myślał o atakujących jak o mężczyznach, choć to pod biurkiem było chyba kobietą, no ale nawet w obliczu śmierci nie chciał się przyznać przed samym sobą do tego, że przestraszyły go jakieś baby!

Usłyszał syreny.

Odetchnął z ulgą.

W tym momencie stojąca na biurku lampa z lawą rozprysnęła się, jakby ktoś do niej strzelił. Huk był tak wielki, że Józeczek wyrzwał spod biurka. Przed nim stał ktoś z łopata i walił nią jak popadnie w biurko.

Stękał.

Józeczek znów wlaź pod mebel, zastawił się krzesłem od tyłu i oparł plecami o bok biurka, a wtedy zobaczył, że tego, kto chciał go dorwać od spodu, już tam nie ma.

– Otoczyli go – oświadczył Lipski skonfundowanym głosem.

– Antyterrorysty?

– Raczej zbrojnicy. Chcą go ukatrupić, okaleczyć, obciąć mu ptaka, zastrzelić, zatłuc łopata.

Wszyscy, bo teraz pojawiła się też Luśka, Makaron i przyssana do nich Pijawka, popatrzyli na niego bardzo, ale to bardzo zdziwionymi oczami.

– Józeczka? Tego Józeczka? – zdziwiła się Luśka, bo mimo wszystko on po prostu nie pasował do niczego. Ani do sprawy, ani do takiego zmasowanego ataku.

– Tak, i to kilka osób.

– Ale kto?

– Nikt nie wie, ale matka podejrzewa, że to może być Marianna z Lutkiem, ja podejrzewam jego ciotkę Reginę, bo nam uciekła, ale to może być...

– Obciąć ptaka? – zapytała Pijawka zaciekawiona, jakoś tak, jakby jedynie tym aspektem ataku na Józeczka.

Ptaki, nie te zwykle, latające gdzie popadnie, ale te męskie zawsze bardzo Pijawkę interesowały.

– No właśnie, głupie, nie...

– No więc nie, nie takie znowu głupie. Pakoś powiedział, że obetnie ptaka każdemu, kto mu Kicię wyrucha – wyjaśniła Pijawka zdecydowanym głosem kogoś, kto wyjawia wszystkim tajemnice.

– Ale, że, ten, Józeczek? Wyruchał? – Eleonora z trudem wypowiedziała to ostatnie słowo, bo przecież jej uczniowie słuchali. To znaczy Lipski, jeden, i to były, ale jednak uczeń.

– No wiadomo. Jak każdy! – stwierdziła z dumą Pijawka. – On taki rekin na baby.

– Pies?

– No, pies też.

– Dobra, ktokolwiek go morduje, ja tam muszę się dostać! – oświadczył Lipski i nagle zdał sobie sprawę, że jest sam, a wszyscy są już daleko, bo właśnie lecą do domu Józeczka; z obawy, że starym policyjnym zwyczajem natychmiast im tego zabroni, postanowili do tego nie dopuścić.

– Poddajcie się, jesteście otoczeni – powiedział beznamiętnie policjant w czarnym uniformie, wyglądający jak robot kominiarski po przejściach.

Coś musiał zrobić, a nie było jeszcze ustalone co.

Nikt oczywiście mu nie odpowiedział.

Coś jednak huknęło. Raz, drugi, kolejny.

– Ratujcie go! – krzyknęła matka Józeczka straszliwym głosem, ale to nie ona wydawała rozkazy, więc nikt jej nie posłuchał, a przecież tam, wewnątrz, ktoś się nad nim znechał.

Ktoś strzelał do niego.

Było ciemno, nie wiadomo, dlaczego na posesji wyłączono światła. Dalej świeciły jakieś ledwie żywe latarnie, ale tu, naokoło domu, czerń nocy była naprawdę porażająca.

Lipski podszedł do jednego z antyterrorystów i coś mu powiedział.

– Możemy spróbować – odparł tamten z westchnieniem. – Nie wpuszczę tam ludzi, bo nie wiem, co tam się dzieje. Ktoś mówił, że tam zaraz wybuchnie jakaś bomba!

Dookoła wybuchła panika.

Józeczek drżał z podniecenia i przerażenia naraz. Ktoś tam był i go ratował. Tylko nie wiadomo, jak to się miało do tego, co działo się w środku.

Józeczek był ciekaw, kto chce go zabić.

Trudno zresztą to nazwać tylko ciekawością. On zupełnie nie rozumiał, kto i dlaczego mu grozi.

– Panie Pakoś, jest pan otoczony, proszę wyjść z podniesionymi rękami! – dobiegło przez megafon z okolic domu.

Józeczek tym razem ze strachu dostał czkawki.

Ta wiadomość nie przyniosła mu ulgi.

Pakoś? Czyli mafia! No to już koniec! – pomyślał i zwiomotał.

– Pusi, ja cię proszę! – zawołała histerycznie jakaś kobieta, w której nie bez trudu rozpoznano Kicię. – On nie jest tego wart! Ten jego zębaty penis jest do dupy!

Kobieta zamilkła.

– O przepraszam – powiedziała, a w jej głosie dało się wyczuć lekkie zakłopotanie.

– Zębaty penis? – krzyknęła Eleonora przerażonym głosem. – Przecież to nie może być prawda!

– Może, oczywiście, że może – westchnęła Kicia – ale co pani do tego?

– Luśka! – krzyknęła Eleonora. – Makaron, biegiem, od drugiej strony. Musimy ją złapać! To nie Pakoś! Szybko!

Armagedon ma to do siebie, że nigdy nie wiadomo, kiedy i dlaczego się zaczyna. Słysząc tylko piski, wrzaski, widać, albo nie widać, kotłujących się ludzi.

– Tam jest bomba!

– Nie ma żadnej bomby, jest wariatka! Szybko!

Ponieważ Lipski był od nich trochę oddalony i trochę zajęty, złapały Miziołka i rozpoczęły szturm na drzwi tarasowe.

Mogli po prostu wejść, ale jako że byli jednostką specjalną, musieli przecież coś wyważyć. Nie po to poszli do policji, żeby używać klamek, to jest nie tych, które tkwią w drzwiach. Pukać do drzwi też nie lubili, choć pukali. Najczęściej taranem.

Tym razem wpadli w kilku przez wywalone z szyn drzwi tarasowe i natychmiast padli na ich szczątki, pod którymi coś najpierw zawył, potem zajęczało. Podnieśli się. Złapali to coś i wytaszczyli.

– Mamy ją! – zawołał jeden z policjantów, oświetlając kobietę reflektorem.

Wszyscy zobaczyli Reginę. Była potłuczona, pokrwawiona, usmarowana i miała nóż. W rękę. To znaczy był wbity w rękę, ale był.

Jej kolorowa sukienka, bardzo podobna do psychodelicznego szlafroka, była podarta, zmięta i ociekała krwią.

– Morderczyni! – wrzasnął tłum.

Tłum ma to do siebie, że lubi wydawać wyroki, które potem strasznie trudno odwołać. Zawsze tak jest. Coś się dzieje, tłum i media znajdują winnego, a kiedy okazuje się, że winny był ktoś inny, to tłum i tak wie swoje, a teorie spiskowe mnożą się jak króliki po deszczu.

– Nikogo nie zamordowałam! – zawołała Regina, ślaniając się na nogach, zresztą nie miała niczego innego, na czym mogłaby się ślaniać, bo ręce miała unieruchomione, w tym jedną nie tylko przez poli-

cjantów, ale i przez nóż.

– Zamordowałaś Karolinę! – ryknęła Kaśka, która oczywiście wraz z Mariettą przybyła na miejsce, biegnąc jak po sznurku za wyjąłymi syrenami. Nie wiedziały, za czym biegną, ale liczyły na coś ciekawego. Ostatnim razem w ten sposób dotarły w miejsce, gdzie straż zdejmowała z balkonu przetrzymanego tam psa.

Takie rzeczy się przydają do książek. Psa się zamieni w piękną dziewczynę, konieczne półnagą, zakutą w kajdany i przywiązaną za szyję do bariereki, która wzywa pomocy, a jej Romeo okazuje się strażakiem i konsumują swój związek na drabinie. Będzie hit.

– Tak! Zamordowałaś ją! – dorzuciła Marietta od siebie.

Nie zamierzała stosować się do konwenansów, każdy wie, że nikt nigdy do morderczyni nie zwraca się per „pani”, wszyscy są z nią na ty. Inaczej dziwnie by to wyglądało.

Tłum wokół Reginy gęstniał.

– Jak mogłaś! – wrzasnęła jej siostra Idalia. – Mojego syna? Przecież to twój siostrzeniec, nie zabija się siostrzeńców! I dlaczego podłożyłaś bombę?! Powinni cię oskalpować, no i ten ptak... Dlaczego chciałaś mu obciąć jaja?! Regino! Wstyd! Nie powinnaś w ogóle się nimi interesować, jesteś zboczona!

– To nie ja! – jęknęła po raz któryś z rzędu osłabiona krwawieniem kobieta, której ratownicy właśnie bandażowali ramię.

– Jak nie ty, jak nie ty?! Przecież widzę, że to ty! Józeczku, powiedz!

Oczekiwanie na odpowiedź najbardziej zainteresowanego trwało dłuższą chwilę, ale jakoś się nie odezwał.

Nigdzie go nie było.

– Józeczku! Józeczku! – wrzasnęła matka, dopiero teraz zdawszy sobie sprawę, że pojmanie Reginy jakoś nie spowodowało uratowania jej syna.

Parafrazując Krasickiego i jego „wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły”, można by powiedzieć, że wśród tłumu obrońców Józeczka coś jednak dopadło.

Wrzask z domu nagle przebił się przez harmider tłumu.

– Aaaaaa, ratunkuuuu!

Wrzaskowi towarzyszyły huki. Potężne „łup, łup, łup” raz po raz sprawiało wrażenie, jakby coś tłukło chyba Józeczka na kotlety albo bitki z ludziciny.

Eleonora wraz z Lipskim wpadli do domu, ale nie dało się tam zapalić światła.

– Ty chuju jebany! – wrzeszczało to coś z łopata w rękę. – Zębaty chuju!

– Makary, Luśka, od tyłu – zarządziła Eleonora, wprawiając Lipskiego w zdumienie. – Pijawka, osłaniaj go!

Wszyscy wymienieni posłusznie wykonali rozkazy.

– Ale pani Eleonoro... – usiłował coś powiedzieć, kiedy łopata o mało nie przywaliła i jemu.

Złapał za nią i mocno pociągnął. Napastnik się poddał.

We czworo wytaszczyli go na zewnątrz.

Eleonora została, żeby wyciągnąć spod biurka jeszcze wciąż żywego Józeczka, który zakrwawiony, zasikany i zarzygany, dostał takich dreszczy, że nie był w stanie się odezwać.

– Ale ona? – zapytał, jękając się. – Oooo ooo oona?

– No a jak? Zębaty penis cię zdradził – westchnęła Eleonora.

– Ale on? Mój e... biedny... eee... rekinek?

Rozmowa o jakimkolwiek penisie ze starszymi paniami bywa trudna, wstydliva, dziwaczna i w ogóle nie do wzięcia, a tym bardziej o własnym.

Przed domem w świetle reflektorów samochodowych stała Anita. Była w kajdankach. Miotła się.

– Broniłam go przed tą wariatką. – Wskazała głową Reginę, usiłując jakoś się wyłgać, choć kotlety z ludziciny w postaci własnego męża całkowicie ją pogrążyły.

– Ratunku, ratunku! – usłyszeli wszyscy nagle zza domu i w tym momencie nikt już nie wiedział, o co chodzi.

– To znaczy co? Jest jeszcze trzecia morderczyni?

Nikt nie wątpił, że w tej chwili istnieją dwie: Regina, która została uroczystie obwołana morderczynią przez tłum, i Anita, którą złapali policjanci.

– Nie, no to jakiś męski głos.

Tłum pobiegł za dom. Pewnych rzeczy nie należy jednak robić ot tak sobie, po ciemku.

Szturm wypadł naprawdę wspaniale, bo ruszyli wszyscy, włącznie z Miziołkiem, jako że był policjantem i wiedział, co robić w sytuacji dotyczącej jakiejś morderczyni lub mordercy, ale Miziołek nie biegł pierwszy, co chyba było dobre, dla niego. Pierwsza biegła Kicia.

– Kiciu, stój, Kiciu, kochanie, nie przemęczaj się, bo ci pośladki obwisną! – Za Kicią biegł Pakoś, który dopiero dotarł i usiłował się zorientować, o co chodzi, za Pakosiem biegły pisarki bezczelnie i bezpardonowo chwytając go za szmaty i zostawiając z tyłu, na łaskę następnych...

Wszystkich do boju wzywał krzyk.

– Ratuuuunkuuu!

* * *

Lutek oczywiście chciał do ludzi, ale nie bardzo mógł, bo się nachlał i leżał w salonie u Marianny, która też się nachlała i też leżała w swoim salonie, ale ona nie była przyzwyczajona, ona po prostu padła.

Ludzie myślą, że picie pomaga przetrwać, ale to tylko tak wygląda, bo człowiek zwyczajnie przesypia więcej dnia i nocy niż zazwyczaj, za to resztę czasu nienawidzi sam siebie tak bardzo, że jak najszybciej tę nienawiść zapija.

Picie z rozpacy jest oznaką porażki, a porażki nie należą do rzeczy przyjemnych.

Dla Marianny dotychczas przyjemne było szaleństwo w bibliotekach, podkładanie zamordowanych książek i wyobrażanie sobie min bibliotekarek czy ewentualnych czytelniczek, jeżeli trafią na taki artefakt pomiędzy półkami.

Teraz jednak, po tym wszystkim, co się stało, choć nie była winna, to jednak zdawała sobie sprawę, że całe jej życie się po prostu skończyło.

W ogóle to miasteczko było skończone, zarazone, zatęchłe i do niczego.

Karolina je zabiła.

Tak właśnie, ta suka Karolina.

Najpierw pieprzyła się ze wszystkimi facetami w okolicy, potem opisała to w książce, później dzięki temu została sławną pisarką, albo choć pisarką, a w końcu ktoś ją zabił i dzięki temu jej sława była naprawdę wielka.

Nikt nigdy już o niej nie zapomni. Miną pokolenia, a ludzie będą ją wspominać, będą o niej opowiadać, pisać, a nawet śpiewać. O, na przykład tak...

*Była Karolina rodu puszczalskiego
co sobie złapała ptaka zębatego*

Z tego wszystkiego wynikało jedno.

Seks wcale nie jest taki zły, jak się Mariannie wydawało.

To odkrycie doprowadziło ją do takiej wściekłości, że postanowiła się upić.

Wódkę przyniósł Lutek.

Wreszcie raz się na coś przydał.

Kiedy wycie syren rozległo się w nocnej ciszy, w każdym razie w wieczornej na pewno, Lutek się ocknął.

Właściwie Marianna też, ale jej dojsście do zrozumienia, gdzie jest i co robi oraz co zamierza zrobić, zajęło trochę więcej czasu.

Lutek, wiedziony słuchem, pobiegł za syrenami, a że jechało kilka samochodów na sygnale, zdołał zorientować się, dokąd zmierzają, dogonić ich nie dał rady, ale poświata trwała w okolicach domu Józeczka, więc tam właśnie karetki i reszta wozów prawdopodobnie się zatrzymały.

Lutek postanowił iść skróta, bo przecież nie musiał lecieć drogą, choć oczywiście w jego stanie byłoby to o wiele logiczniejsze.

I łatwiejsze.

A tak niestety co chwila zaliczał jakieś potknięcia i bliskie spotkania z glebą oraz z żarłocznymi żywopłotami, które ludzie sadzili z tarniny chyba, bo kłuły jak szlag.

Dotarcie do domu Józeczka od tyłu, bo tak było bliżej, nie zajęło mu wiele czasu, przepchnął się między żywopłotem a śmietnikiem, zaliczył glebę, wstał, przebiegł chwiejnie ze dwa, trzy kroki, znów zaliczył glebę, ale to prawda, że pijanego Pan Bóg strzeże, bo nawet się za bardzo nie poturbował, padał z dość kocią miękkością, po prostu jak stał, tak padał, pysk tylko sobie ciut odrapał. Znów kilka kroków, żywopłot, chaszczce ogródka, grządka selerów, pad na dynię, grządka porów, pad na tyczki z fasolką, grządka aksamitek, pad na...

W tym momencie jego pad bardzo go zdziwił, bo nagle okazało się, że wpadł jakby w coś podobnego do grobu.

Było nawet przyjemnie.

Marianna zwołkła się z sofy i półprzrytomna poszła szukać źródła dźwięku, za którym, jak sobie mgliście przypomniwała, pobiegł Lutek.

Ona szła na odbłask, ale też tyłem.

Też przedzierała się przez kolczaste żywopłoty i mordercze śmietniki, ona też dotarła do domu Józeczka od tyłu, bo tak było bliżej, choć zajęło jej to sporo czasu, bo szła niepewnie, cały czas mrucząc pod nosem, że ona tak się nie bawi, że to wstyd tak latać po nocach po pijaku i że *seks nie jest taki zły, seks nie jest wcale mdły, niech no tylko zakwitną gamonie*. Przepchnęła się między żywopłotem a śmietnikiem, tracąc spory kawał spódnicy, zaliczyła glebę, wstała, przebiegła chwiejnie przez jakieś podwórko, znów się przewróciła, trochę się poturbowała, bo ze względu na swój wstydlivy stan biegła bardzo spięta, kobietom upijając się nie wypada. Potem był żywopłot, chaszczce ogródka, grządka selerów, dynie, grządka porów i nagle wpadła w dół, ale tak jakby nogami w dół. Poczula coś miękkiego. Poczula się jak na trampolinie, chciała się wybić. Trampolina wrzasnęła.

– Ratunkuuuu!

Z wrzaskiem rzuciła się do ucieczki. To znaczy z trudem się wyczołgała z wrzeszczącej trampoliny.

Po chwili dopadł ją tłum, jednak wyraźnie ten tłum nie ją chciał dopadać. Na przedzie biegła Kicia, podrygując biustem, który wyraźnie chrząścił. Kicia potknęła się o wyczołgującą się z trampoliny, tej podziemnej, Mariannę i wpadła do dołu z Lutkiem.

– Kiciu! – Pakoś nie mógł tego nie zauważyć. – Uwóżaj na biust! On jest cenny!

Genę tego biustu ledwie przeboleł, bo choć był zamożny, to jednak pieniądze umiał liczyć. Podbiegł, stanął jak wryty, bo rzeczywiście go wryło. Poświecił sobie latarką w telefonie.

– Czy ten grób jest dwuosobowy? – zapytał zdziwiony, a po chwili pełnej dezaprobaty kontemplacji mruknął również z dezaprobatą: – Kiciu, wstań z tego pana, jest martwy. Ja nie mam nic przeciwko, sama wiesz, nie jestem zazdrosny, ale z nieboszczykiem? Kiciu! Wstyd!

Józeczek został wyniesiony z domu, a właściwie wywleczony, tak bardzo się bał.

– To w końcu kto go chciał zabić?

– Ta Regina? Z powodu domu? – zapytał Miziołek.

– Nie, Anita, z powodu zdrady! Dowiedziała się, że Józeczek zdradzał ją z Karoliną.

Eleonora słuchała tego, co mówił Lipski, chcąc dołożyć swoje trzy grosze, gdyby się w czymś pomylił.

Kaśka pociągnęła nosem.

– Koty? Czy tu są gdzieś jakieś koty? To ten sam zapach, który czułam wtedy, w bibliotece, jak Karolinę ktoś zabił.

– Nie ktoś, tylko Anita. Ten zapach to waleriana, kojarzy się z kotami, ona tym włosy płucze. – Idalia, matka Józeczka, była gotowa zlinczować swoją synową, choćby za to, że ta ją kiedyś uwędziła, no ale za synekzka to lincz by nie wystarczył, łamanie kołem to też było za mało.

– Czyli ona zabiła Karolinę?

– No cóż, nie tylko.

Z oddali dobiegło ich nucenie. *Seks nie jest taki zły, seks nie jest wcale mdły, niech no tylko zakwitną gamonie.*

– No właśnie, że jest zły! – burknęła Regina. – Ja miałam już dość tego mojego amerykańskiego męża. Żeby choć mnie zdradzał, ale nie, gdzie tam, latał za mną napalony jak jakiś debil i trzy razy dziennie mu było mało, nie miałam już siły.

– No właśnie, a Karolina sypiała z każdym.

– Nie, no, przestańcie, Kicia sypia z każdym! – zaprotestował Pakoś, po czym jednak zamilkł, zawstydzony.

– W każdym razie odebrała Anicie dwóch facetów. Najpierw był Adam Kracz, ale przespał się z Karoliną, potem Marek Kusicki, obaj zaginęli.

– A co miałam pozwolić, żeby mnie zdradzali? – warknęła Anita. – Zasłużyli sobie, ale Józeczek, jemu wierzyłam, aż przeczytałam tę książkę i tam było o zębatym penisie. O Józeczkowym penisie! Zdzira nie tylko sypiała z moim mężem, ale jeszcze to opisała, żeby na tym zarobić, nie mogłam tego puścić płazem! Żadna kobieta by nie puściła, żadna!

– A przy okazji jeszcze wzięła dwie całkiem spore pożyczki u swoich byłych, wiedząc, co ich czeka, nawet nie zamierzała ich spłacać, dlatego mogliście kupić dom – wyjaśniła Eleonora. – Ale mnie ciekawi ta bransoletka, skąd tam ta bransoletka Reginy?

Anita roześmiała się diabolicznie.

– Gdyby ta idiotka nie uciekła od męża, wszystko byłoby na nią. Ukradłam jej i podrzuciłam. To proste.

– A jak zabicie Józeczka miało być na nią?

– Józeczka to postanowiłam zabić dopiero ostatnio. Najpierw wystarczyła mi Karolina, ale potem, jak zobaczyłam ciotkę w bibliotece, pomyślałam, że upiekę kilka pieczeni na jednym ogniu.

– Dokładnie cztery! – mruknęła Eleonora belferskim tonem.

– Nie, no co pani, a ta głupia Kicia? Pijawka? Marianna? One też sypiały z moim Józeczkiem!

– O ja pierdołę!

– Ja z nim nie sypiałam, jeszcze – Marianna podniosła dwa palce, jakby była w klasie – ale nie wykluczam.

– I ten Lutek. On też sypiał z Józeczkiem... I potem chyba Pakoś. Trzeba było ich zlikwidować. I Makary! Czy wy wiecie, że on jest zboczony? Uczy się francuskiego!

– Makary? – Luśka lekko się odsunęła od osiłka, który właśnie w tym momencie całował ją w szyję.

– Zdurniałaś? – odpowiedział pytaniem. – Nie moje klimaty! Ja typowo babski jestem. Tak mnie wychowali... No, matka tak mnie wychowała, no ta... Znaczy...

– Oj przestań, powiedz, o co chodzi?

– Wiesz, ja mam dwie matki, jedną biologiczną, dlatego uczę się francuskiego. Chcę ją odwiedzić.

Liczba osób, które Anita zamierzała zabić z powodu Józeczka, nagle wszystkich przytłoczyła.

– Ona musi go straszliwie kochać! – jęknęła Pijawka w romantycznej ekstazie.

– Z naciskiem na straszliwie! To wariatka!

– Taka miłość się nie zdarza! – rozczuliła się Kicia, nie biorąc chyba pod uwagę tego, że miała być jedną z ofiar. – Pusi? To jak? Większe cycki mi zafundujesz?

Pusio pokiwał głową.

– Nawet sześć! – zadeklarował w przyplwywie miłosnej ekstazy.

Eleonora przysłuchiwała się temu wszystkiemu ze zgrozą.

– Czy wy rozumiecie, co się dzieje?

Nikt jej nie odpowiedział. Postanowiła wyjaśnić to sama.

– To jest wariatka. Nie zamkną jej w więzieniu! Wsadzą ją do psychiatryka. Ucieknijcie i wymordujcie pół Zastronia! Musimy się jakoś zabezpieczyć!

* * *

Regina odzyskała dom, bo Józeczek był jej wdzięczny, że przyszła go ratować. Jednak zamieszkała z Eleonorą.

Luśka przedstawiła rodzicom Makarego. Po pobycie w szpitalu z powodu stanu przedzawałowego oboje zdecydowali się go zaakceptować. Naprawdę nie mieli wyjścia. Luśka wprowadziła się do Makarego.

Kicia zrobiła sobie operację brwi, po której wyrosły jej na czole dwa gigantyczne rogi. Pakoś uciekł z miasta. Mówiono, że wstąpił do jakiejś sekty.

Pijawka zamieszkała z Kicią.

Marianna zaczęła realizować się seksualnie. Z Józeczkiem. Zębaty penis jej nie przeszkadzał.

Wszyscy jednak czekali na katastrofę.

– Elo Ziom Agencja Detektywistyczna, słucham? – Eleonora odebrała telefon i pobladła.

– Że co? Niemożliwe. Jak to ktoś porwał burmistrza i obciął mu ucho? Czy to jakieś żarty?

Przez chwilę słuchała tego, co mówił jej rozmówca, po czym odwróciła się do Reginy i Makarego, bo tylko oni byli w tym momencie w biurze agencji, czyli w salonie Eleonory.

– Anita uciekła z wariatkowi!

W salonie zapadła mroczna cisza.

– I porwała burmistrza? – dopytała lękliwie Regina, w końcu część rozmowy słyszeli.

– Nie, burmistrza podobno porwała Kicia, te rogi to ponoć jego sprawka, zdradzał ją z żoną! A, jeszcze jedno: twój John przyleciał, chce cię odzyskać. Już tu jedzie.

Regina bez słowa podbiegła do wersalki, podniosła siedzisko, wywalila pościel na podłogę i schowała się do pojemnika.

– Nigdy mnie tu nie było. Słyszeliście? – zawołała z wnętrza wersalki.

I może wszystko by się ułożyło, jakoś, albo choć jako tako, ale John nigdy nie dotarł na ulicę Strunową. Znalaziono go martwego na przystanku autobusowym z drugiej strony miasta. Ktoś zadzgał go

jakimś sztyletem, a do gardła wepchnął mu bukiet.

Regina zniknęła.

KONIEC